MOC CZYTANIA NA DNI ZADUSZNE

TYGODNIK POWSZECHNY

Różczka: „Matki Pingwinów” i tabu
Cena książki: kto nami manipuluje
Czy Niemcy są do uratowania
Koziołek o nowej powieści Tokarczuk
Czego Prus nie lubił w Polakach
Kowalczyk-Tekieli: co dały i zabrały góry

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 28 października – 3 listopada 2026 | nr 44 (4034)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Rozmowy dokończone. Jak słuchać o śmierci i pytać o życie



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

STRONY SPECJALNE
Festiwal Ars Cameralis
Gdańsk – miasto literatury
Ignacy Daszyński, współtwórca Niepodległej

eprasa.pl 1cc070d3f1

TYGODNIK POWSZECHNY

Teraz też kurierem. Prosto pod Twoje drzwi.

InPost



Koniec z szukaniem „Tygodnika” w kiosku.
Teraz najlepszy tygodnik społeczno-kulturalny w Polsce sam do Ciebie przychodzi – kurier zostawia go pod drzwiami, zanim zdążysz pomyśleć, że czegoś Ci brakuje.

Zamów prenumeratę z dostawą kurierską!

- **Płacisz raz w roku** – bez rat, bez miesięcznych przypomnień.
- **Oszczędzasz ponad 40 zł** w porównaniu do zakupu w kiosku.
- Dostawa kurierem wliczona w cenę.
- Nowy numer „Tygodnika” w środę pod Twoimi drzwiami.

TygodnikPowszechny.pl/oferta-kurier-inpost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 1cc070d3f1

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, ANNA GOC

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Brak rabatów? Nareszcie!
MONIKA OCHĘDOWSKA

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Matka Polka wychodzi z worka



MARTA WOJTAL

ROZMOWA Z MAGDALENĄ RÓŻCZKĄ, AKTORKĄ I SZEFOWĄ FUNDACJI „UKOCHANI” *z okazji premiery 2. sezonu serialu „Matki Pingwinów”*

20 Puste gniazdo
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA: *Co się dzieje, gdy dzieci wyprowadzają się z domu*

23 Samotna wilczyca
MAREK KĘSKRAWIEC: *Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz odchodzi z rządu*

■ ■ REPORTAŻ

28 Oczy miała brązowe



ALICJA SCHWERTNER

JANUSZ SCHWERTNER: *Moja babcia niczym prawdziwa reporterka słynęła z opowiadania historii od szczegółu do ogółu*

■ ■ ŚWIAT

32 Namioty z Puerta del Sol
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MADRYTU: *Coraz trudniej o własny kąt*

35 Czy można jeszcze uratować Niemcy?
ANNA KWIATKOWSKA

38 Śmierć emigranta
ANNA MAŁASZ: *Odchodzenie na obcej ziemi to dla nas, Białorusinów, doświadczenie ciągle nieoswojone*

TEMAT TYGODNIKA

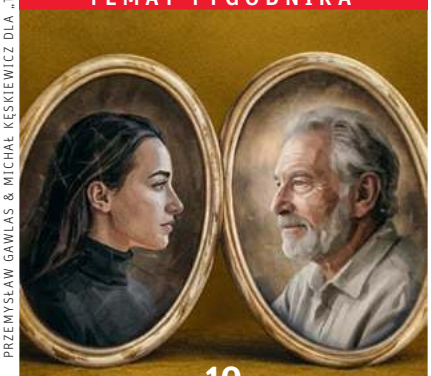

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

10 Rozmowy dokończone
ANNA GOC
Nie potrafimy ich prowadzić, ale ich potrzebujemy. Jak słuchać o śmierci i pytać o życie.

■ DODATKI ■

26 POZNAJCIE FINALISTKI I FINALISTÓW NAGRODY BONUS

55 IGNACY DASZYŃSKI, CZŁOWIEK LEWICY, WSPÓŁTWÓRCA NIEPODLEGŁEJ

71 GDAŃSK. MIASTO LITERATURY UNESCO

95 FESTIWAL ARS CAMERALIS. PUSTKA

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o skutkach niekorzystnej pogody*

25 OLGA DRENDA *o rechocie z Facebooka*

31 JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI *o szacunku dla straty*

70 WOJCIECH BONOWICZ *o zapomnianej poetce*

100 PAWEŁ BRAVO *o niezastąpionym smaku trufli*

106 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o usprawiedliwianiu przemocy*

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

REDAKTORKA PROWADZĄCA: ANNA GOC

■ ■ WIARA

40 Można ufać Bogu i mieć do Niego żal
KS. GRZEGORZ STRZELCZYK: *Jak głosić homilię pogrzebową*

44 Z kościoła do senatu
MARTA ZDZIEBORSKA: *W listopadowych wyborach Republikanie mogą stracić także monopol na sojusz z religijną Ameryką*

47 Co się dzieje w mózgu mnicha
KASPER KALINOWSKI

49 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ ROZMOWA

50 Polskie lalki
ROZMOWA Z ADAMEM LESZCZYŃSKIM: *Prus uważał, że nowoczesność jest pakietem, który powinniśmy kupić z Zachodu*

■ ■ NAUKA

64 Serce od świni
ROZMOWA Z MUHAMMADEM M. MOHIUDDINEM, KSENOTRANSPLANTOLOGIEM: *Nie sądziłem, że przeszczep serca świni człowiekowi będzie możliwy za mojego życia*

■ ■ KULTURA

80 Pani Faust



ŁUKASZ GIZA

RYSZARD KOZIOŁEK *o nowej powieści Olgi Tokarczuk*

84 Miłość i inne kłopoty
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Tajemnica „Rozważnej i romantycznej” tkwi w bibliotece, która dla Jane Austen była drugim domem*

87 Kiedy świat zamiera
JACEK WAKAR: *Teatr Luka Percevala nie powstaje w żadnej sprawie*

90 Szkody uboczne
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „NAZA”*

91 Wędrowiec
LEKTOR *o książce Patricka Leigh Fermora „Przerwana droga”*

■ ■ DNI ZADUSZNE

102 Nieśmiertelna chmurka
ŁUKASZ LAMŻA *o duszy*

eprasa.pl 1cc070d3f1

KS. ADAM

Boniecki: *Na tamtym świecie*

Teoretycznie wiemy, że umrzemy. Skoro wszyscy umierają, więc i my, prędzej czy później pójdziemy w ich ślady. Choć niby to wiadomo, to jednak wiedza na ten temat ewoluuje, zmienia się z teoretycznej w bardziej praktyczną i chyba wtedy trudniejszą do zaakceptowania. Robimy też, co się da, by nie umrzeć, by żyć długo i możliwie zdrowo. Śmierć bliskich boli nas wprawdzie, ale jest faktem, że sami nie tylko dalej żyjemy, ale z czasem zapominamy o tych, co umarli, a jeśli nie zapominamy, to pamięć w miarę upływu czasu nie jest już tak bolesna. Czasem tak nie jest, ale na ogół jednak tak jest. Właściwie można uznać, że to normalne. Mówimy, że czas leczy rany.

I teraz pytanie: jak do tych ludzkich przeżyć zastosować wiarę w życie po śmierci, w nieśmiertelność duszy (bo przecież nie ciała, które ewidentnie się zużywa), nie mówiąc już o zmartwychwstaniu? Jak w to można wierzyć?

Kiedy Jezus mówi o „Ojcu, który jest w niebie”, mówi o rzeczywistości, która jest dla Niego tak oczywista, jak wszystko, co się wokół nas dzieje. Mówi jak ktoś, kto wie, kto widzi, kto nie potrzebuje dowodów, bo dowodem jest Jego własne zmartwychwstanie i wniebowstąpienie.

Św. Tomasz sprawę rozpracował już dawno. Nie będę tu powtarzał jego nauk, wolę się raczej odwoływać do doświadczeń zwykłych ludzi. Wiem, że nie mają one siły argumentów, że mogą być zaliczone do złudzeń, marzeń, nawet majaków. A jednak jest



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

ANNA

Goc: *Rozmowy o życiu. I śmierci*

Po kilku minutach zamknęłam notes. Aneta Żukowska, z którą umówiłam się na rozmowę, stanęła przy oknie i powiedziała, że interesuje ją śmierć, więc jeśli mam zamiar pytać o życie, wywiadu nie będzie.

Byłyśmy prawie rówieśniczkami. Zobaczyłam jej sesję z ogoloną głową i wpis, że tymi zdjęciami chce opowiedzieć o chorobie na własnych zasadach. Na rozmowę o śmierci prawie nikt z jej bliskich nie był gotowy. Aneta założyła więc bloga i pisała o umieraniu wprost.

Zaczęła i naszą rozmowę. Podawała z pozoru błahe przykłady, jak ten z płaszczem, którego nie kupi już na tegorocznej wyprzedaży z myślą o kolejnym sezonie. Opowiadała o momentach złości, gdy sili się na dzielność i udaje, że wszystko jest dobrze, głównie jednak po to, by tym, którzy są dookoła, było trochę lżej. Aneta chciała rozmawiać o śmierci także w wymiarze praktycznym. O tym, jak będzie umierała, krok po kroku, bo odpowiedzi na te pytania unikali nawet niektórzy lekarze. „Przy każdej rozmowie zastanawiam się, ile mogę powiedzieć, ile ktoś może znieść” – mówiła.

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 2

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 1cc070d3f1

ich tak wiele, tak – mimo różnic – do siebie podobnych, że trudno je zaliczyć do projekcji, wspomnień albo czegoś w tym stylu. Zwłaszcza że mają na nas wpływ. Są jakby głosem, sygnałem z innego świata, wyraźnym, ale nie tak, żeby nie można było go odrzucić. I, co ciekawe: nie wszyscy mają zdolność odbierania tego sygnału. Dla jednych odbiór jest czymś całkiem naturalnym, inni nigdy niczego takiego nie zaznali. Dodam, że za normalność tych pierwszych ręczę.

Moje eschatologiczne myśli w tej chwili są takie, że obawiam się o ich ortodoksyjność. Sądzę więc, że wszelkie nasze wyobrażenia istnienia po śmierci są zanadto ziemskie, że sposób istnienia bez ciała jest dla nas po prostu niewyobrażalny. Dlatego więc wszystkie obrazy oparte na ziemskim istnieniu są niewiele warte. Teraz, w ostatnim etapie życia, bez trudu się z nimi rozstałem. Istnienie bez ciała jest (chyba) całkiem niewyobrażalne. Tak więc obrazy, które miałem wcześniej, zostawiłem po drodze i teraz, nie tracąc nadziei, czekam, ale nie wyobrażam sobie sposobu spełnienia. Przyznaję, że nie wiem, jak inni sobie z tym radzą, jak sobie z tym radzą ludzie święci i nieświęci, domyślam się, że wszyscy będziemy zaskoczeni. A jak już tam będę, to postaram się przekazać wiadomość żyjącym jeszcze tu, na ziemi. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

Zapis tego spotkania opublikowaliśmy w „Tygodniku” dziesięć lat temu. Wróciło do mnie, gdy prowadziłam to wydanie. Od tamtego czasu mówienie o śmierci weszło mocniej do przestrzeni publicznej, także za sprawą takich inicjatyw jak Instytut Dobrej Śmierci. A to, że ich potrzebujemy, pokazała choćby popularność spektaklu „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję” Mateusza Pakuły. Sale teatralne były pełne. Czy książka Marcina Wichy „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”.

Gdy w tym roku umówiliśmy się z Georgim Gospodinowem na wywiad o kilku jego książkach, ciągnęło nas zwłaszcza do jednej. „Ogrodnik i śmierć” jest historią relacji ojca i syna, ich niekończącą się i opowiadaną także przez cykliczność ogrodu, rozmową o śmierci. To również opowieść o dwóch pokoleniach, które musiały nauczyć się przytulać.

„W tym czasie, gdy mama odchodziła, przytuliłyśmy się po raz pierwszy, zwierzyłyśmy się sobie, rozmawiałyśmy o tym, co dalej. Byłyśmy bliżej niż kiedykolwiek wcześniej” – mówi jedna z bohaterek „Rozmów dokończonych”, reportażu otwierającego to wydanie. Bo choć to rozmowy o śmierci, to także rozmowy o byciu razem i o bliskości. I właśnie o tym piszą w tym numerze także **JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI,** która wspomina między innymi swojego męża Kacpra, i **JANUSZ SCHWERTNER,** który opowiada o swojej babci Danucie. ©℗

Anna Goc, dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu”, „Głuszy”, za którą otrzymała m.in. Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

SYLWIA CZUBKOWSKA
Łowcy promptów. Śledzenie śladów AI w nauce i kulturze to nowy, globalny sposób na zdyskredytowanie każdego. Wytwory sztucznej inteligencji otaczają nas na taką skalę, że trudno odróżnić prawdziwe od wygenerowanego.

MATEUSZ MAZZINI
Wszystkie lęki tego świata. Idąca przez Europę fala młodzieżowych protestów nie będzie powtórką z maja ’68. Dziś młodzi ludzie nie wierzą, że czeka ich jakakolwiek przyszłość.

MARIA ROGACZEWSKA
Sól ziemi i zapach deszczu. Czy chrześcijanie mają angażować się w politykę? Pytajmy raczej, w jaki sposób powinni to robić. Styl Jezusa jest niepodrabialny i kontrkulturowy. W dobie AI to szczególnie ważne. Lewicowy głos w debacie o relacjach religii i polityki.

PIOTR BERNARDYN
Warsztaty pokoju. Przez dekady Korea Południowa i Japonia spierały się o historię, krzywdy i reparacje. Jednak dziś znajdują nagle wspólny język. Co się stało?

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 1cc070d3f1

OBRAZ TYGODNIA

19 – 25 PAŹDZIERNIKA 2026

TRÓJSTRONNE ROZMOWY Rosja-Ukraina-USA mogą się odbyć w listopadzie w Abu Zabi – to efekt spotkań wysłannika Trumpa, Steve'a Witkoffa, z Władimirem Putinem i Wołodymyrem Zełenskim. Po interwencji Melanii Trump Moskwa i Kijów zgodziły się na tymczasowe zawieszenie broni w Ołeszkach, by umożliwić dostarczenie tam pomocy humanitarnej i ewakuować cywilów. ■■■ **SPÓR O STARLINKI** Prezydent Zełenski powiedział, że ograniczenia w działaniu terminali satelitarnych koncernu Elona Muska (oraz ich wojskowej wersji Starshield) zniknęły, ale Musk w emocjonalnym wpisie zarzucił Ukrainie naruszenie warunków świadczenia usługi. „Gdyby Starlink został wyłączony, ukraińska linia frontu natychmiast by się załamała" – dodał. ■■■ **LWOWSKI SAMORZĄD** ogłosił rok 2027 rokiem UPA i jej dowódcy Romana Szuchewycza. Współpracę z Lwowską Radą Obwodową zrywają polskie samorządy; rząd w Kijowie zdystansował się od jej decyzji. ■■■ **KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NAŁĘCZ** odeszła z rządu, a zarząd Polski 2050 usunął ją z partii. „Drogi Szymonie, wiem, że się starasz. Ale kierownik i tak nie doceni" – skomentowała niedawna minister funduszy i polityki regionalnej na portalu X. ■■■ **ZNIESIENIE LIMITU DWÓCH KADENCJI** dla wójtów, burmistrzów i prezydentów miast, którego nie udało się uchwalić w Sejmie, było bezpośrednim powodem rezygnacji Pełczyńskiej-Nałęcz; projekt forsowało PSL, a premier Tusk zapowiedział, że sprawa rychło wróci. ■■■ **SEJM ZŁAGODZIŁ USTAWODAWSTWO ANTYABORCYJNE**, m.in. legalizując przerwanie ciąży w przypadku dużego prawdopodobieństwa ciężkiej i nieodwracalnej wady płodu. Prezydenckie weto wydaje się pewne. ■■■ **POSŁOWIE PODNIEŚLI** próg podatkowy w PIT ze 120 tys. zł do 130 tys. zł, wprowadzili drugi próg w wysokości 150 tys. zł i nową, 24-proc. stawkę dla dochodów między 130 a 150 tys. zł. Progi mają być waloryzowane. ■■■ **PROTESTY WE FRANCJI** trwają kolejny tydzień. Z różnych powodów (wysokie ceny wynajmu mieszkań, kryzys zaufania do instytucji, anarchizm) manifestacje odbyły się również w miastach Portugalii i Włoch. ■■■ **„LIGA STUDENCKA"** wygrała przedterminowe wybory parlamentarne w Serbii – to efekt niemal dwuletnich protestów przeciwko korupcji i rządom sprzyjającego Rosji prezydenta Aleksandara Vučicia. ■■■ **W BRAZYLII** Luiz Inácio Lula da Silva pozostanie prezydentem: pokonał prawicowego senatora Flávia Bolsonaro, który nie chce uznać wyników. ■■■ **PIOTR FRANASZEK** został przewodniczącym Komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce. ■■■ **OSIEM LAT WIĘZIENIA** to wyrok dla Sebastiana M., który pędząc z prędkością 300 km/h zabił trzyosobową rodzinę; najwyższa kara przewidziana w kodeksie karnym za wypadek drogowy ze skutkiem śmiertelnym nawet sędzię prowadzącą sprawę skłoniła do rozważań o konieczności zaostrzenia prawa. ■■■ **TRZY MIESIĄCE W WIĘZIENIU** spędzi patostreamer Wojciech Olszański ps. Jaszczur za nawoływanie do nienawiści na tle narodowościowym.

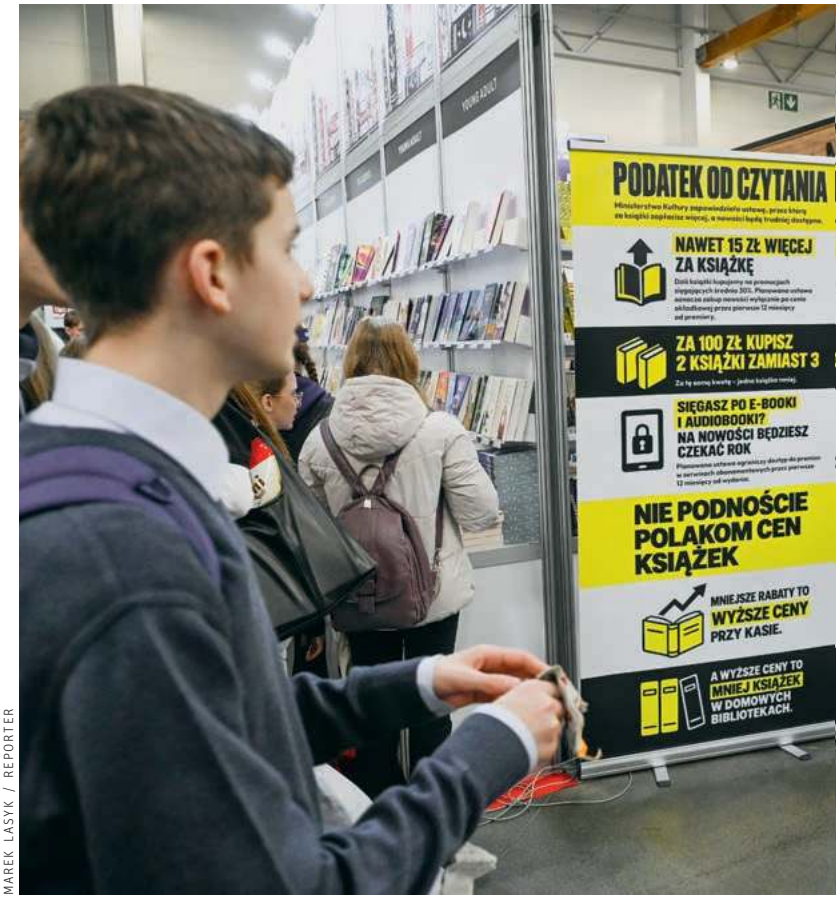

MAREK LASYK / REPORTER

POWYŻEJ: Targi Książki w Krakowie, 22 października 2026 r.

BRAK RABATÓW? NARESZCIE!

Państwo ma konstytucyjny obowiązek tworzyć warunki sprzyjające rozwojowi i upowszechnianiu kultury. Regulacja rynku książki to konieczność.

MONIKA OCHĘDOWSKA

Porozumienie Wydawców Książek (związek zrzeszający m.in. wydawnictwa Muza, Helion, Marginesy i Rebis) opublikowało w swoich mediach społecznościowych grafiki sugerujące, że państwo planuje „opodatkować czytanie".

Z towarzyszącego obrazkom alarmistycznego tekstu wynika, że opracowywana przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ustawa o książce – choć jej zapisów jeszcze nie znamy –

eprasa.pl 1cc070d3f1



Rynek książki w liczbach

0,7 euro rocznie w przeliczeniu na mieszkańca – tyle wydajemy w Polsce na biblioteki. Średnia UE to 4-5 euro.

2,87 zł otrzymuje autor ze sprzedaży jednego egzemplarza książki przy cenie okładkowej 57,50 zł (o ile jego umowa zapewnia takie honorarium).

4 firmy dystrybucyjne kontrolują 80 proc. polskiego rynku książki.

52 książki zaliczane do prozy wysokoartystycznej wydało w zeszłym roku małe wydawnictwo ArtRage. To więcej niż duzi wydawcy jak Znak czy Foksal, którzy protestują przeciwko zmianom na rynku.

31,5 tys. książek opublikowano w Polsce w roku 2025, z tego nieco ponad 12 tys. to publikacje literackie (beletrystyka, romanse, książki dla dzieci).

1 mld euro to szacowana wartość rynku książek w Polsce. Cały europejski rynek wyceniany jest na 40 mld euro.

doprowadzi do tego, że cena każdej książki wzrośnie średnio o 15 zł.

Plakaty straszące osobliwym „podatkiem" (a zatem sugerujące, że obciążenia fiskalne są środkiem represji, a Donald Tusk chce zarabiać na tym, co robimy w czasie wolnym) pojawiły się również na krakowskich Targach Książki, odwiedzanych przez dziesiątki tysięcy czytelniczek i czytelników.

PRZYJRZYJMY SIĘ TEMU, co sugerują wydawcy. Otóż wedle PWK po wprowadzeniu ustawy regulującej rynek książki „za 100 zł kupimy dwie książki zamiast trzech", na wydawnicze „nowości w serwisach z e-bookami i audiobookami będziemy czekać nawet rok", a „promocje w księgarniach zostaną ograniczone".

Przypomnijmy, że średnia cena książki wynosi dziś 55–60 zł, zatem za 100 zł niekoniecznie jesteśmy już w stanie kupić trzy tytuły (nowa powieść Olgi Tokarczuk kosztuje nawet w sieci ponad 50 zł, a najnowsza książka kucharska z przepisami Rozkoszne więcej niż 60 zł). Oczywiście, jeśli robimy zakupy w dużym sklepie internetowym, jest szansa, że zmieścimy się w takim budżecie. Jednak tylko duże sieci typu Empik – ze względu na wysoki rabat uzyskiwany od wydawców – mogą sobie pozwolić na sprzedaż o wiele poniżej ceny okładkowej. Jak radzą sobie pozostali?

Księgarnie kameralne (których zostało już w Polsce mniej niż tysiąc) bardzo liczą na zapis gwarantujący jednolitą cenę książki przez okres co najmniej kilku miesięcy – wyrównałby on po prostu szanse wszystkich podmiotów na rynku.

Kiedy zatem PWK pisze, że dziś książki „kupujemy w promocjach, korzystając z rabatów sięgających średnio 30 proc.", wskazuje raczej na patologię rynku prowadzącą do znikania małych wydawców oraz lokalnych księgarni, stanowiących centra kultury i miejsca spotkań z autorami (kiedy ostatnio byli Państwo na wieczorze autorskim albo klubie czytelniczym zorganizowanym przez Bonito albo Amazon?). Dziś to przede wszystkim mali wydawcy dbają o wytwarzanie i upowszechnianie dóbr kultury. Według danych Biblioteki Narodowej najwięcej tytułów zaliczanych do ambitnej prozy wydał w roku 2025 malutki ArtRage (52), pozostawiając daleko w tyle Znak (33) czy Foksal (23), które prewencyjnie oprotestowują regulacje rynku.

NCK W OPUBLIKOWANYM właśnie raporcie diagnozującym stan polskiej kultury słusznie przypomina, że zgodnie z art. 6 Konstytucji oraz zobowiązaniami wynikającymi z traktatów unijnych Polska ma strategiczny obowiązek tworzenia warunków sprzyjających wytwarzaniu i upowszechnianiu dóbr kultury. Właśnie z tego względu w wielu krajach sektor książki objęty jest szczególnymi rozwiązaniami systemowymi – od regulacji cenowych po rozbudowane programy wsparcia twórców, wydawców i instytucji odpowiedzialnych za obieg książki.

Niestety wiele wskazuje na to, że dezinformacyjna akcja PWK mniej ma wspólnego z troską o czytelników i dobro rynku książki, a więcej z obawami o losy uruchomionej przez tychże wydawców aplikacji Novelist, która umożliwia dziś dostęp do audiobooków i ebooków za niecałą złotówkę.

Jeśli zgodnie z ustawą na nowości w serwisach streamingowych trzeba będzie poczekać rok (tzn. pojawi się po prostu wymóg zapłacenia za nie ceny okładkowej), Novelist nie będzie mógł nam oferować tak niskiego abonamentu. Za każdą nową książkę ulubionego autora zapłacimy osobno. Ale czy to naprawdę takie dziwne?

KIEDY DO KIN trafia nowy film, nie oczekujemy, że jednocześnie pojawi się na platformach streamingowych. Zwykle mija co najmniej kilkanaście tygodni od premiery, zanim produkcja zostaje udostępniona na małym ekranie – a i wtedy często można ją wypożyczyć na określony czas za dodatkową opłatą – i bynajmniej nie za złotówkę. Sytuacja, w której płyta czy książka w dniu premiery trafiają do wszystkich kanałów dystrybucji, do tego w obniżonej cenie albo za darmo, jest patologią rynku, nie jego normą. I odbija się mocno na kieszeniach twórców i twórczyń. „Dla rodzin z dziećmi czy młodzieży" planowana ustawa „oznacza realny wzrost wydatków", straszy PWK. „A dla tych, którzy już dziś muszą ograniczać zakupy – konieczność rezygnacji z części lektur" – szantażują wydawcy.

Aby jednak rodziny z dziećmi mogły kupić jakiekolwiek książki, ktoś musi wcześniej je napisać. W akcji Porozumienia nie ma słowa na temat autorek i autorów, a także tłumaczek i tłumaczy, których interesy teoretycznie wydawcy reprezentują. Dziś, przed wprowadzeniem ustawy, 90 proc. osób, które piszą dla nas książki, uzyskuje ze swojej działalności dochody nieprzekraczające płacy minimalnej. ©℗

eprasa.pl 1cc070d3f1



Sukces Luli, klęska Trumpa

MACIEJ STASIŃSKI

81-letni Inácio Lula de Silva wygrał po raz czwarty prezydenturę Brazylii. To zwycięstwo sensacyjne, bo po pierwszej turze sondaże dawały przewagę jego rywalowi Flávio Bolsonaro. Tymczasem w drugiej Lula da Silva, dzięki dynamicznej kampanii na ulicach i w sieci, odrobił straty, zyskał ok. 10 mln nowych głosów i pokonał Bolsonaro różnicą 4 procent. Wyniku raczej nie zmieni zapowiedź zaskarżenia go przez zwyciężonego. Kwestionuje on fakt, że trybunał wyborczy przedłużył głosowanie o dwie godziny z powodu utrudnień w transporcie publicznym i rzęsistych deszczów (o przedłużenie wnioskowały oba sztaby, Luli i Bolsonaro, tylko ten drugi chciał przedłużenia w niektórych okręgach, a pierwszy wszędzie).

Sukces Luli przedłuża na kolejne cztery lata urzędowanie tego niekwestionowanego przywódcy brazylijskiej lewicy, który chlubi się tym, że w trakcie dotychczasowych rządów wydźwignął z biedy ok. 40 mln Brazylijczyków i – wbrew żądaniom cięć wydatków publicznych – zapowiada kontynuację polityki wyrównywania nierówności i szans życiowych.

Jego czwarta (i ostatnia) kadencja zagradza drogę powrotu do władzy klanowi Bolsonaro, przewodzącemu potężnemu lobby „trzech B" (*Biblia*, *bala*, *boi*, czyli Biblia, kula i wół, tj. zwolenników Kościołów neoewangelickich, wolności posiadania broni palnej i hodowców bydła). 45-letni Flávio to pierworodny syn Jaira Bolsonaro, prezydenta z lat 2019-23, który odsiaduje wyrok długoletniego więzienia za próbę zamachu stanu sprzed czterech lat. Próbował wtedy nie dopuścić na powrót do władzy Luli da Silvy, który wygrał wybory w 2022 r., i zorganizował szturm swoich fanatyków na władze republiki w styczniu 2023 r.

Dziedzictwo rządów Jaira Bolsonaro to katastrofalny bojkot walki z pandemią, podważanie demokracji i widmo powrotu do dyktatury wojskowej. Flávio obiecywał amnestię dla zamachowców i powrót ojca do władzy w kolejnych wyborach. Jego brat Eduardo uciekł do USA, gdzie zabiegał w administracji Trumpa o sankcje na swój kraj, a nawet groził, że Stany wyślą do Brazylii komandosów, jeśli Flávio przegra wybory.

Dlatego zwycięstwo Luli da Silvy to także klęska Trumpa, który zwalczał sprzeciwiający mu się rząd Luli, wspierał klan Bolsonaro i obiecywał sobie, że Brazylia, na powrót pod jego rządami, dołączy do kontynentalnego sojuszu łączącego prawicowe rządy. Z tego frontu sojuszników Trumpa na zachodniej półkuli jak dotąd wyłamują się przede wszystkim Meksyk, Urugwaj i właśnie największe z tych państw – Brazylia.

Czwarta kadencja Luli to także nadzieja na dalszą rządową ochronę lasów Amazonii, wbrew zakusom lobby hodowców i plantatorów, którym sprzyja klan Bolsonaro. ©



BRIAN SNYDER / REUTERS / FORUM

Lula da Silva w wyborczą niedzielę, 25 października 2026 r.



Wiara zerwana

ARTUR SPORNIAK

Czytając najnowszy dokument Dykasterii Nauki Wiary „Venite ad me" o groźbie zerwania przekazu wiary w dobie epokowych zmian, przypomniałem sobie pewne zdarzenie. Gdy w drugiej połowie lat 80. XX wieku studiowałem w Krakowie, pewnego razu do mojego pokoju w akademiku weszło dwóch młodych ludzi i przedstawiło mi tzw. cztery prawa duchowego życia. W skrócie głosiły one, że Pan Jezus mnie bezwarunkowo kocha oraz ma dla mojego życia wspaniały plan i nie powinienem tego zignorować. Okazało się, że ci ludzie związani byli z działalnością amerykańskich baptystów. Później odkryłem, że twórca ruchu oazowego ks. Franciszek Blachnicki wykorzystywał te same cztery prawa duchowego życia w najbardziej skutecznej jak do tej pory w polskim Kościele formacji religijnej.

Oficjalna katecheza wyglądała w tamtych czasach inaczej – aby zostać dopuszczonym do pierwszej komunii albo do bierzmowania, wkuwało się odpowiedzi na 100 pytań. Religijna relacja z Jezusem nie była przedmiotem troski, ważna była więź z instytucją Kościoła, a tę gwarantował przekaz pokoleniowy i... straszenie piekłem (jeśli się nie będzie chodzić do kościoła i do komunii).

Problem w tym, że dziś ten przekaz przestał funkcjonować – i to nie tylko w polskim Kościele. Powszechne rozczarowanie autorytetami, indywidualizm, załamanie się międzyludzkich relacji w zdigitalizowanym świecie doprowadziły do „zmiany epoki", w której przestały funkcjonować tradycyjne sposoby przekazywania wiary.

Jako antidotum Dykasteria Nauki Wiary proponuje przede wszystkim powrót do kerygmatu, czyli głoszenie fundamentalnych prawd (wspomniane cztery prawa duchowego życia są niczym innym, jak właśnie kerygmatem; dykasteria proponuje dziś zatem coś, co baptyści i ks. Blachnicki robili w Polsce już dekady temu). Czy skupienie się na fundamentach, katecheza dla dorosłych i dobre kaznodziejstwo wystarczą? Dokument niczego nie obiecuje i nie narzuca – ma inspirować do refleksji.

Kulturowe zmiany, kłopoty z przekazem wiary, nowe pomysły na ewangelizację – to tematy, którymi na co dzień zajmują się dwie dykasterie: ds. Ewangelizacji oraz ds. Kultury i Edukacji. Dlaczego to nie one opracowały dokument, który celowo nie ma waloru doktrynalnego? Franciszek, który go zlecił najważniejszej watykańskiej dykasterii, chciał podkreślić wagę tematu oraz pokazać, że żywy przekaz wiary to sprawa pilniejsza niż troska o doktrynę. Ważne, że takie rozłożenie akcentów Leon XIV uznaje także za swoje. ©℗

eprasa.pl 1cc070d3f1

Nagroda Conrada przyznana



KATARZYNA KUKIEŁKA / CONRAD FESTIVAL

Maja Mozga-Górecka, laureatka Nagrody Conrada 2026 za książkę „Figlarnie. Przestrzenie radykalnej prywatności" wydaną przez Karakter. Kraków, 25 października 2026 r.

ESEJ ▪ Zwykliśmy komunikować siebie światu nawet kilka razy dziennie. Komentarze i opinie, zdjęcia, nagrania i udostępnienia: zaskakująco szybko i chętnie powierzyliśmy swoją prywatność technologicznym korporacjom. Jeszcze szybciej daliśmy się przekonać, że widzialność warto skrupulatnie pomnażać i monetyzować. A przecież w naszych kulturach i religiach wartość wiązano dotąd przede wszystkim z niedostępnością i tym, co zakryte. Ikonostas i tabernakulum skrywają przed wzrokiem wiernych to, co najświętsze. Al-Kaba – główny cel rytualnej pielgrzymki muzułmanów – pokryta jest czarnym jedwabiem. Krzyż w ostatnich dniach Wielkiego Postu okrywany jest fioletową zasłoną.

Kiedy świat staje się przestrzenią ekspozycji, pisze koreański filozof Byung-Chul Han, zamieszkiwanie w nim staje się niemożliwe. Tymczasem „mieszkać" znaczyło – powtarza Han za innym filozofem, Martinem Heideggerem – „być wprowadzonym w spokój" (niem. *Friede*), to, co daje nam prawdziwą wolność (niem. *Freie*). Permanentny przymus widzialności nie ma ze spokojem i wolnością nic wspólnego. Wymiata z naszego doświadczenia to, co niedostępne i tajemnicze, pozbawia głodu oczekiwania. W świecie, w którym wszystko jest widzialne i nieustannie udostępniane (także wnętrza naszych domów), luksusem staje się przestrzeń, która pozwala nie patrzeć i nie być oglądanym.

Odwołuję się do Hana, bo jest to filozof bliski autorce nagrodzonych właśnie Conradem „Figlarni". Tytułowe „przestrzenie radykalnej prywatności" w esejach Mai Mozgi-Góreckiej odnoszą się do francuskich *maisons de plaisance*, „domów przyjemności", które elitom pozwalały oddalać się od formalności i obowiązków dworu (niegdysiejszej widzialności) w obszar niekontrolowanych uciech.

Historycznie *maisons de plaisance*, miejsca schronienia, były związane z klasą i przywilejem. Ale autorka jako „figlarnie" postrzega też przedwojenny wiedeński gabinet Zygmunta Freuda, praską willę Müllerów zaprojektowaną przez kontrowersyjnego architekta Adolfa Loosa oraz mieszkanie fotografa Carla Mollino w Turynie. Wszystkie te przestrzenie razem z nami odwiedza i kontempluje w swojej książce. Jako bohaterowie pojawiają się tu także architekci Dominik Merlini, Claude-Nicolas Ledoux, Alvar Aalto.

Elegancka, piękna polszczyzna debiutantki oraz sposób budowania opowieści przez Mozgę-Górecką zasługują zresztą na osobny namysł. Jak zauważyła Beata Chomątowska, historie układają się w tej książce w amfiladę: pośrodku odkrywamy sporo ciemnych zakamarków, ale pierwszy i ostatni rozdział są pełne światła i nadziei. „Jest ratunek dla prywatności", mówi nam autorka. Codzienną, dostępną nam wszystkim figlarnią może być świadomy sposób przeżywania tego, co nas otacza. Tyle że do zyskania świadomości przeżycia konieczna bywa zasłona.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 1cc070d3f1



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 1cc070d3f1

TEMAT TYGODNIKA

ROZMOWY DOKOŃCZONE

Nie potrafimy ich prowadzić, ale ich potrzebujemy. Jak słuchać o śmierci i pytać o życie.

ANNA GOC

Maria siedziała z poduszką pod plecami i laptopem na udach. Jej mama leżała obok i w pewnym momencie wtuliła się w córczyny brzuch.

Spędzały czas razem w łóżku mamy, odkąd Maria pamięta. Oglądały filmy, gadały. Nigdy się jednak nie przytulały. Mama, elegancka i zdystansowana, nie lubiła okazywania uczuć.

– Tamtego wieczoru, gdy poczułam ciepło jej ciała, a jednocześnie to, jak bardzo było kruche, nasze role się odwróciły. To ja dawałam jej energię i to ja się nią opiekowałam – mówi Maria.

Właśnie wtedy, tuż po diagnozie, na początku tej historii, powiedziały sobie, jak jest.

– Marysiu, ja najprawdopodobniej umrę – mówiła mama.

– Wiem, mamo, ja będę przy tobie przez ten cały czas – odpowiadała Maria.

Inne zdania

„Wiem mamo, że umrzesz". Co to jest za zdanie? – zastanawia się dzisiaj Maria. Przecież miała w głowie tyle innych: Nie umrzesz! Nie możesz! Jeszcze nie... Potrzebuję cię. Musisz walczyć! Nie chcę, żebyś umierała!

Po co im był ten „stop", wspólne zatrzymanie się? I ta krótka, szczera rozmowa?

Zwykle wszystko dzieje się szybko. Objawy, badania, niepewność, wyniki, konsultacje, dzwonienie, sprawdzanie, operacja, wizyta jedna, druga, lekarz jeden, drugi.

Co dalej? Ile mamy czasu?

Walcz! Musisz! Bądź dzielna! Jesteśmy z tobą!

To wszystko jest ważne. Ale w historiach o odchodzeniu bliskich są też inne momenty i rozmowy. Właśnie takie jak ta.

Nasze małe wspólne „stop"

Maria opowiada o ostatnich miesiącach z mamą i szuka tych momentów. Tych, kiedy zapytała o coś, czego o mamie nie wiedziała. Gdy zrobiły coś, w czym były naprawdę razem. I porozmawiały o odejściu mamy, na jej zasadach.

Jak wtedy, gdy mama była jeszcze w domu, ale wstawała z łóżka z trudem. Maria składała pranie, wieszała kolejne, prasowała. – Opowiesz mi o nich? O mężczyznach w twoim życiu, którzy byli ważni – zapytała nagle. Dotąd mama zwykle tylko się uśmiechała, że jeśli kiedyś komuś opowie, to swoim wnuczkom. A wtedy, po raz pierwszy, jak kobieta kobiecie, zwierzyła się córce.

Gdy była już w hospicjum stacjonarnym, Maria i jej przyrodnie siostry wymieniały się przy niej. Mama od zawsze lubiła operę, więc Maria kupiła bilety na „Traculę", balet z muzyką Wojciecha Kilara. Zorganizowała przepustkę. Kupiła mamie czapeczkę. Po raz pierwszy spróbowała zrobić jej makijaż. Nakładała puder na delikatną skórę policzków, podkreśliła brwi i rzęsy. Czuła, że jest bliżej mamy niż kiedykolwiek wcześniej, nawet jeśli makijaż nie chciał się trzymać, bo skóra była wiotka i zmęczona chorowaniem.

Poszły z najbliższymi kobietami. Przez cały spektakl trzymały się za ręce.

Przed operą wstąpiły do domu, choć reszkami sił. W sypialni leżał ojciec Marii. Kilkanaście lat starszy od mamy, też bardzo chory. Byli razem przez 40 lat i nie przypuszczali, że tamtego wieczoru widzieli się po raz ostatni.

– Mamo, jak chciałabyś być pochowana?

Ostatnie wspólne zatrzymanie.

Maria zadała to pytanie najszybciej, jak potrafiła. Wiedziała, że dzięki temu będzie mogła spełnić wolę mamy. Ale gdy je wypowiadała, czuła, jakby za nią mówił ktoś inny. Albo jakby odezwała się jakaś część jej ciała, o której nie miała pojęcia.

Mama odpowiedziała równie szybko, podała sposób pochówku i wybrała cmentarz.

Przed wyjściem na uroczystość pożegnania ciała usłyszała głos mamy: „No chyba żartujesz, że mnie nie poperfumujesz". Wrzuciła perfumy do torebki, zdążyła spryskać szyję mamy. – To jesteś Ty. I to już nie jesteś Ty – pochyliła się nad trumną i zrobiła mamie ostatnie zdjęcie.

Tata Marii zmarł miesiąc później.

– W tym czasie, gdy mama odchodziła, przytuliłyśmy się po raz pierwszy, zwierzałyśmy się sobie, rozmawiałyśmy o tym, co dalej. Byłyśmy bliżej, niż kiedykolwiek wcześniej – mówi Maria. ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ Maria Puchalska jest współzałożycielką Fundacji Instytut Dobrej Śmierci, prowadziła ceremonię pożegnania swojej mamy. Jej tata miał, zgodnie z jego wolą, pogrzeb katolicki.

Zeszyt dla córki

– Nieodbyte rozmowy o śmierci są w nas. Nie potrafimy ich prowadzić, ale ich potrzebujemy – mówi Joanna Młynarska, założycielka Fundacji Hapori, wspierającej kobiety, które straciły mamy.

Zanim przyniesie zeszyty, opowie o tym, że na pożegnanie miały trzy tygodnie. Przyjechała do domu rodzinnego świętować 26 maja, a mama przeprosiła, że nie miała siły ugotować obiadu. I że nie wie, co się dzieje. Gdy miesiąc później Joanna odwiedziła znów rodziców w dniu ojca, mama miała już termin badań. Wyniki były fatalne. Czas przyspieszył: konsultacje, szpital, próby leczenia.

– Popatrzcie na mnie, mówiła nam wtedy mama, przecież ja nie mam na to wszystko siły. Ona już wiedziała – wspomina Joanna.

Wrócili ze szpitala do domu. Joanna przypomniała sobie o zeszytach, które podarowała mamie pod choinkę kilka miesięcy wcześniej. Plan był taki, że mama zapisze w nich swoje przepisy świąteczne dla córek.

Nie zdążyła. Joanna odszukała więc puste zeszyty, usiadła obok łóżka mamy. – Dobra, mama, co robimy na Boże Narodzenia, na Wielkanoc, ty mów, ja będę zapisywała – poprosiła.

Pamiętała kuchnię babci. Zbierali się w niej, gotowali, piekli: Joanna i jej siostra, jeszcze jako małe dziewczynki, ich mama, babcia, przyjaciółka babci z podstawówki i siostra dziadka.

– Mam w pamięci obraz babci – stoi nad wielką misą, w której są dwa kilogramy mąki i wyrabia naoliwione ciasto drożdżowe. Widzę, jak się uśmiecha. I czuję zapach ciasta – opowiada. – Dziadzio w tym czasie siedzi przy stole, na miejscu, gdzie zwykle rozwiązuje krzyżówki albo czyta, i uciera jajka na masę. Opowiada żart, który wszyscy dobrze znamy – najważniejsze to „posadzić babę, niech trze". Takie zdanie znalazł w starej książce kucharskiej babci i odtąd wchodził w rolę „baby" co roku.

– Zobacz – Joanna rozkłada zeszyt mamy z przepisami – milion luźnych karteczek. A tu naklejki, które miała przygotowane na słoje z przetworami. Znalazłam ostatnio w spiżarni jej dżemy. Żal mi było je otwierać, ale przekręciłam wieczko i pomyślałam: „Cześć, mama".

Przewraca kolejne strony. Na pierwszej przepis na ciasto drożdżowe babci. Czyta na głos: kilo mąki, 20 deko tłuszczu, 20 deko cukru, jedno całe jajko, 2 lub 3 żółtka, 5 deko drożdży, 250 ml mleka, wanilia, szczypta soli, w nawiasie pół łyżeczki, starta skórka z cytryny. Rodzynki jeszcze były! Dziwne, że ich tutaj nie dopisała. No i nie ma instrukcji, w jakiej kolejności dodawać składniki.

Na kolejnych stronach, usmarowanych i pozaginanych, nagłówki: „Szarlotka Żańci", czyli siostry dziadka, „Sernik Żańci" i „sernik mamy" – dwa przepisy, „Masa kawowa Cioci Dragusi", czyli przyjaciółki babci.

Wtedy przy łóżku nie było już czasu na szczegółowe zapisywanie każdego przepisu. W zeszycie Joanny są tylko krótkie instrukcje: przepis na ciasto drożdżowe w zeszycie mamy, lista zakupów na Boże Narodzenie i Wielkanoc „dla naszej czwóreczki" – na ostatniej stronie. I najistotniejsze wskazówki: jak długo moczyć śledzie, jabłka koniecznie zetrzeć, a warzywa do barszczu gotować osobno.

Zamyka zeszyt. – Niewiele wtedy zapisałyśmy razem. Mama musiała być już zmęczona – mówi.

Pierwsze święta bez mamy Joanna przechorowała. Babkę drożdżową z przepisu babci zrobiły z siostrą w ubiegłym roku. I po raz pierwszy im wyszła. Joanna była wtedy w ciąży.

– Codziennie, gdy wsiadam do samochodu, mam ochotę do niej zadzwonić, bo tak zaczynałyśmy poranki. Za każdym razem, gdy wyjmuję z szafy za małe śpioszki, wiem, że gdyby tu była, miałabym je uporządkowane. Ilekroć gotuję barszcz, chcę ją zapytać, jak go doprawiała, bo w zeszycie tego nie ma, a mnie jeszcze nigdy nie wyszedł taki barszcz

REKLAMA



eprasa.pl 1cc070d3f1

jak jej. Jednocześnie wiem, że jest ze mną w każdej chwili – mówi Joanna.

Gdy świętowała pierwsze urodziny dziecka, biegła z wózkiem z domu do restauracji, gdzie czekali goście. I nagle, zupełnie nie wiadomo skąd, piórko spadło do wózka. Ot, z nieba. „Cześć, mama", powiedziała i od tamtej pory nosi je przy sobie.

– Moje rozmowy z mamą się nie skończyły, one się zmieniły. Mój syn ma babcię Dorotę, nawet jeśli jej nie poznał. Dziewczyny, z którymi się spotykam w Hapori, odkrywają, że mogą mówić o swoich mamach. Nie tylko o tym czasie, gdy umierały. Także o tym, kiedy żyły, bo o tym wciąż mówimy najmniej.

Nie jestem przyzwyczajony do śmierci

– Tu u nas śmierć jest tematem codziennym – mówi dr Agata Malenda, która specjalizuje się w medycynie paliatywnej, chorobach wewnętrznych i hematologii, członkini Fundacji Instytutu Dobrej Śmierci.

Opowiada o rozmowach z dzisiaj.

Weszła rano do sali, uśmiechnęła się do nich jak zwykle, zatrzymała przy łóżku pierwszego. Znali się przecież świetnie. Flirtował, jak to on, zaczepiał, prawił komplementy. Zagadnęła o noc, o samopoczucie, o ileś rzeczy koniecznych. Spojrzała mu w oczy, zobaczyła błysk. Poprawiło mu się, zauważyła od razu.

Stanęła przy łóżku drugiego. Pamiętała ich krótkie rozmowy, o tym, że w życiu nie pozostawało za wiele, czasem się napić, zapalić sobie papierosa. Obserwowała spieszne wizyty dalszej rodziny, bo bliższej nie miał. Przynosili jedzenie, wymieniali ubrania. Ciągle byli, ale prawie z nim nie rozmawiali. Wahała się, czy zagadnąć, bo jak ktoś życie przeżył sam, to i rozmowa nie zawsze przychodzi mu łatwo.

– Coś dzisiaj chyba gorzej u pana? – zapytała. – Jakiś pan przytłumiony czy tylko mi się wydaje?

Spojrzał tak na nią.

– Sąsiad w nocy umarł – powiedział i odwrócił się w stronę pustego łóżka: – A czemuś ty umarł?, mówię do niego, czemuś ty umarł?, się go pytam.

Wrócił spojrzeniem do niej.

– Co by panu pomogło? – zatrzymała się przy nim.

– Nie jestem chyba taki znowu do śmierci przyzwyczajony. Z miesiąc żeśmy tu sobie tak razem leżeli. Obudziłem się rano, a jego nie ma.

Gdy świętowała pierwsze urodziny dziecka, biegła z wózkiem z domu do restauracji, gdzie czekali goście. I nagle, zupełnie nie wiadomo skąd, piórko spadło do wózka. Ot, z nieba. „Cześć, mama", powiedziała i od tamtej pory nosi je przy sobie.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Odwrócił głowę.

– To chyba musi minąć.

– Może niech płynie, czasem trzeba popłakać – powiedziała.

– A tam, ja nie umiem płakać.

– Coś mi się wydaje – zaczęła, ale wtedy ten pierwszy się włączył: – A jak byłem kiedyś w szpitalu, to 27-latek obok mnie... podłączyli go do aparatury, wszystko się świeciło na zielono, i po chwili na czerwono. Nikt nie jest do śmierci przyzwyczajony.

To oni nas prowadzą

Wcześnie rano Agata przyjmowała do hospicjum czterdziestoletnią kobietę. Zadawała jej kolejne pytania, oglądała ciało. Było w złym stanie – nieleczone, zaniedbane. Niedługo potem przyjechali jej rodzice. Mieli jedno pytanie: kiedy córka wyjdzie? Chcieli to ustalić, bo samotnie opiekuje się siedmioletnim synem.

Zawahała się. Zaczęła od tego, że choroba ma nazwę. Że jest zaawansowana. I że w związku z tym... znów się zawahała, bo nigdy nie wie, kiedy i jak to powiedzieć... i w związku z tym rokowania są takie i takie. I jeszcze, że nie lubi używać słowa „nigdy", woli nie wiedzieć na pewno.

Dodała, że zrobi wszystko, żeby córka nie cierpiała. Zasugerowała, żeby to syn przyjechał do mamy, odwiedził ją jeszcze. Pomyślała przez chwilę, że to, co robi, to hospicyjny *small talk*. Więc kiedy się upewniła, że słuchają, powiedziała, że nie wie, ile córka będzie żyła.

– Tak wprost?

– Tak, i dodałam, że choroba jest nieprzewidywalna: córka może być z nimi kilka tygodni, kilka dni, ale też może umrzeć tej nocy.

No i wtedy jest różnie. Ktoś nie dowierza, ktoś zaprzecza, ktoś dopytuje, ktoś krzyczy, że nieprawda, ktoś chce wychodzić, ktoś płacze, ktoś milczy.

– O śmierci częściej chcą rozmawiać pacjenci. To jest temat, który ich interesuje. Ale najpierw muszą się do nas przyzwyczaić – mówi Agata.

Zanim zapytają, chcą wiedzieć, czy będzie bolało i czy da się ból uśmierzyć. Zdarza się, że ci, którzy są zmęczeni, mówią, że chcieliby już umrzeć. Zastanawiają się, jak to będzie. Jedni mówią, że woleliby ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ być przytomni. Inni, że chcieliby odejść we śnie.

Czasem ktoś poprosi o więcej morfiny. Ktoś zażartuje, że w jego sali znów wszyscy umarli, a o nim Pan Bóg sobie najwyraźniej zapomniał. Ktoś poprosi, by gdy śmierć przyjdzie założyć mu różowy sweter.

– Zżywamy się z naszymi pacjentami. I choć wiemy, że odejdą, też szukamy sposobu, by pewne rozmowy mogły się odbyć – opowiada Agata.

Jak ta z tego tygodnia. Pojechała do małżeństwa, które odwiedza w ramach hospicjum domowego. Poznali się w kinie. Ona usiadła za nim. Miała pończochy i czółenka. Jedno się nagle zsunęło, wpadło za jego fotel. On się po nie schylił, ale bucika nie oddał tak łatwo. Trzymał czółenko w ręce do końca filmu. I tak się zaczęła ich miłość, 65 lat temu.

– Rzadko jeżdżę do moich pacjentów na kawę. Z tym małżeństwem czasem rozmawiam, bo to rozmowy o odchodzeniu, ale i o życiu, o miłości, o tym, co się naprawdę liczy – mówi.

Jeśli przeczuwa, że dla kogoś to może być ostatnia noc, zagląda co chwilę, przykrywa kocem. Jeśli towarzyszą umierającemu bliscy, i do nich przychodzi. Wyjaśnia, co się będzie działo. Że być może tato będzie nierówno oddychał. Weźmie głębszy oddech, potem może być dłuższa przerwa, zanim złapie kolejny. Ręce mogą mu lekko zasinieć. Usta wyschnąć, wtedy można je lekko zwilżyć. Oddech może się zrobić chrapliwy, rzężący, i że to jest naturalne. Jeśli pytają, co mogą zrobić, odpowiada, że złapać za rękę, przytulić, jeśli dotyk nie sprawia bólu. Mogą mówić. Albo po prostu być. Czasami ktoś pyta, ile to będzie trwało. Odpowiada, że nie wie. Że tego nigdy nie wiadomo.

Opowiadają też o tym, że bywają niesłyszani przez bliskich. „Niech dziadek nawet tak nie mówi, będzie dziadek żył wiecznie", „Jeszcze babcia nas przeżyje, nigdy nie wiadomo, kto pierwszy".

– Myślę, że najtrudniejsze są momenty, gdy ludzie nie chcą w ogóle o śmierci rozmawiać. Gdy nie przyjmują jej do wiadomości – mówi Agata. – A wiele starszych osób nie potrafi, nie wie jak, boi się, że zostaną niewysłuchani albo uciszeni. Zwykle te rozmowy zaczynają nasi pacjenci. I to oni nas prowadzą. Gdy pytają, nie uciekamy z odpowiedziami. Nie udajemy, że tematu nie ma. Ale jeśli poczuję, że nie potrafią lub nie chcą o tym rozmawiać, nie mówię za wiele.

Miałem dobre dzieciństwo. I choć wiem, że rodzice mnie kochają, są z tego pokolenia, które tego nie mówi. I teraz, gdy jestem nieuleczalnie chory, zaczynamy się przytulać.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Nadciąga burza

Zanim zaczniemy nagrywać, Tamás Dombi prosi jeszcze asystenta, żeby założył mu respirator, który wspiera mięśnie w oddychaniu.

Diagnozę dostał chwilę przed czterdziestką. Pierwsze objawy pojawiły się półtora roku wcześniej. Mówi, że choroba zbliżała się jak burza. Przeczuwał ją w ciele. Jak ciemne chmury, które zbierają się na horyzoncie.

Gdy pytam, czy nasza rozmowa o śmierci to dobry pomysł, potwierdza. I że takie rozmowy prowadzi z żoną, z córką, z rodzicami, z bratem. Bo do odejścia można się przygotować. A właściwie, to nie są rozmowy, tylko nauka przytulania.

Najpierw przytulała go żona, która razem z nim obserwowała mimowolne ruchy mięśni, czekała na wieści po kolejnych wizytach, miała nadzieję, że leczenie przyniesie efekty i okaże się, że to tylko niedobory magnezu.

Po półtora roku, bo tyle trwało ustalenie, że to stwardnienie zanikowe boczne, siedzieli razem na korytarzu szpitalnym. – Przyjechała tuż po tym, jak się dowiedziałem, że moje życie się zmienia, bo będę potrzebował wsparcia w oddychaniu i jedzeniu. I że ono się może bardzo skrócić. Nie rozmawialiśmy, po prostu przytuliliśmy się i długo razem płakaliśmy – mówi Tamás.

Jego rodzice i brat mieszkają na Węgrzech. Najpierw powiedział im o objawach, a gdy się znów spotkali – że musi iść do szpitala. Z informacją o diagnozie też poczekał na ich przyjazd, nie chciał przez Skype'a. Rozdzielił rozmowy. Brata wziął na spacer. Wieczorem powiedział rodzicom.

– Miałem dobre dzieciństwo. I choć wiem, że rodzice mnie kochają, są z tego pokolenia, które tego nie mówi. I które nie przytula. I teraz, gdy jestem nieuleczalnie chory, zaczynamy się przytulać i razem płakać – mówi Tamás. – Rozmawiamy o śmierci, nawet jeśli nie od razu się nam to udaje. Z córką o tym, że może mnie nie być, ale że gdybym tylko mógł, byłbym z nią jak najdłużej.

Opowiada, jak chciałby być zapamiętany – że miał szczęśliwe życie. I jak nie chciałby, by o nim pisano – że przegrał walkę z chorobą.

eprasa.pl 1cc070d3f1

– Żyję z chorobą. Nie mogę z nią walczyć, bo to byłaby nierówna walka. A jeśli to nie walka, to może nie zawsze muszę być dzielny – mówi. – Mogę za to zdecydować, co dalej. Nie mam oczekiwań, co będzie po śmierci. Ale mam bardzo konkretne plany, co będzie z moim ciałem tutaj. Zdecydowałem się przekazać je na badania naukowe, co oznacza, że nie będę miał pochówku.

– I jak się z tym macie?

– Mój tata powiedział coś bardzo trafnego, że jedni ludzie chodzą na cmentarz i to im pomaga, a drudzy nie lubią tego robić. I tak się składa, że rodzice orzekli, że należą do tej drugiej grupy.

I dodaje: – Porozmawialiśmy. Ciągle rozmawiamy. I dzięki temu jesteśmy bliżej, jest nam trochę lżej.

Zamiast milczenia

– Nie wiem, czy można oswoić śmierć, mnie się dotąd nie udało – mówi Izabela Zdziebko, fotografka i współwłaścicielka Zakładu Pogrzebowego Niebieski w Wałbrzychu.

Miała 9 lat, gdy zmarł jej tata. Powiedział jej o tym dziadek. Mimochodem, bo rozmowa dotyczyła tego, że będą szykowali się na pogrzeb taty. Rodzice się rozwiedli i z mamą nigdy o tej śmierci nie rozmawiały. W ich domu o śmierci się milczało.

O śmierci najbliższych. Bo jednocześnie mama z ojczymem założyli zakład pogrzebowy. I mama prowadziła długie rozmowy o śmierci obcych ludzi przy ich stole kuchennym. Izabela robiła kanapki i słuchała tych rozmów. Dziwiły ją, bo mama była dla tych obcych ludzi, którzy przychodzili do ich domu, bardzo czuła. Dopytywała, słuchała, czasami nawet płakała.

– Wtedy wydawało mi się, że w naszym domu gramy w grę „nic się nie stało". Wygrywa ten, kto będzie lepiej udawał, że wszystko jest jak dawniej. Tata był. I tata nagle zniknął – mówi.

Z pogrzebu pamięta, że było jej bardzo zimno. I że gryzła łodygi kalii, których wiązankę trzymała. Miały ohydny smak, gorzki i cierpki. Miała wrażenie, że podrażniają usta, upośledzają czucie.

Zapamiętała też kaplicę, ale z lotu ptaka. Jakby całe nabożeństwo obserwowała z góry. – Być może nie chciałam patrzeć na trumnę taty i dlatego zadzierałam głowę? Wolałam żyrandole i witraże – zastanawia się. – Myślę, że długo nie rozumiałam, co to znaczy, że mój tata umarł. Wymyślałam o nim różne historie i opowiadałam je obcym ludziom na czatach internetowych, które wtedy stawały się popularne. Może dlatego, że w domu o jego śmierci milczeliśmy?

Coś, co nas uruchamia

Izabela czuje, że praca w zakładzie pomogła jej poradzić sobie z nieopowiedzianą śmiercią ojca. – My, pracownicy domu pogrzebowego, jesteśmy często na pierwszej linii. Nie dalsza rodzina, nie znajomi czy psycholog. Widzimy, że ci, którzy do nas przychodzą, potrzebują wsparcia. Opowiadają o zmarłych, szukają ich zdjęć w telefonie.

Przychodzą w tym najbardziej burzliwym momencie: tuż po śmierci i przed pogrzebem. I najmniej zaopiekowanym. Czasami ktoś ma tylko odebrać nekrologi, i to trwa trzy godziny. Zaczyna opowiadać. Najpierw o zmarłym. W końcu: o własnych emocjach.

Gdy zamawiają wieńce, Izabela pyta, co napisać na szarfie. Pytają, co można napisać. Można: „ostatnie pożegnanie". Ale można też coś osobistego: „Nigdy nie powiedziałam, jak bardzo cię kocham". I wtedy zaczynają płakać. Bo to są te niewypowiedziane słowa.

– Widzę, że emocje potrzebują być uruchomione. Bo większość przychodzi w pancerzu. Prowokujemy te sytuacje, bo nam też się wydaje, że nasz dom pogrzebowy jest miejscem, gdzie można trochę popłakać. Trochę sobie ulżyć – mówi. – Na niektóre ceremonie przychodzę. Gdy mąż żegna żonę i na koniec słyszymy piosenkę, przy której się poznali, to sobie popłaczę. Bo wiem, że za tą piosenką jest cała ich historia. I że tu ich świat się na chwilę zatrzymuje.

©℗ ANNA GOC

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Justyna Kowalczyk-Tekieli, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Paweł Pieniążek, Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 1cc070d3f1



K. GRABOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

MATKA POLKA WYCHODZI Z WORKA

MAGDALENA RÓŻCZKA, AKTORKA I SZEFOWA FUNDACJI „UKOCHANI”:

Serialem „Matki Pingwinów” mówimy między innymi: minęły czasy kobiet, które wstydziły się tego, że posiadają życie poza macierzyństwem.

eprasa.pl 1cc070d3f1



Maksymilian Młodawski i Magdalena Różczka w 2. sezonie „Matek Pingwinów”.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Zdążyłaś obejrzeć 2. sezon „Matek Pingwinów”?
MAGDALENA RÓŻCZKA: Zdążyłam.

I o czym to jest dla Ciebie?
Ty mi powiedz!

O tym, że matka osoby z niepełnosprawnością i ta osoba to odrębne byty. Ona może chcieć więcej od życia niż tylko bycia mamą, on może mieć potrzeby uczuciowe, choć ma trzynaście lat i jeździ na wózku.

Faktycznie, bardzo długo kobiety, które rodziły dzieci z ciężkimi niepełnosprawnościami, były niejako skreślane z innych niż macierzyństwo typów aktywności. Ale podpięłabym pod to zjawisko macierzyństwa w ogóle.

Kobieta ma być matką, a dopiero jak „dowiezie” grafik macierzyński, wolno jej się spełniać?

Coś w tym stylu. Jeszcze nawet moje pokolenie, ludzi urodzonych w latach 70. i 80., było wychowywane w tym duchu.

Ciekawe w tym kontekście, że rozmawiamy w Twoim samochodzie, w czasie gdy Twoja córka jest w pobliżu na korepetycjach.

I chyba tylko dlatego, że przy okazji załatwiam sprawę rodzinną, rozmawiam z tobą bez większych skrupułów (*śmiech*). Oczywiście zjawisko, o którym mówimy, zmienia się w czasie, podobnie jak i ja się zmieniam: dziś jestem kimś innym niż w czasie, gdy rodziła się moja pierwsza córka – a było to kilkanaście lat temu. Ale bywało, że te wyrzuty nękały mnie każdego dnia.

Współczesny facet takich problemów nie ma?

Wychodzi do pracy, potem wraca, zwykle się chyba nad tym nie zastanawiając. Ja te swoje wyrzuty musiałam sobie mocno przepracować. A wracając do „Matek Pingwinów”, pomyślmy: skoro kobiety takie jak ja, mające zdrowe i pełnosprawne dzieci, mają podobne dylematy, co musi odczuwać matka dziecka z ciężką niepełnosprawnością? Ona powinna – w społecznym odbiorze – jako „nie-matka” w ogóle zniknąć, stać się szara, przezroczysta, poświęcona domowi i niczemu więcej.

Grasz matkę takiego dziecka, a partneruje Ci w roli Michała Maksymilian Młodawski, chłopak z dystrofią mięśniową.

Poznałam jego rodziców, wspaniali ludzie – Maks jest szczęściarzem. Gram z nim pewnego razu scenę, a on nagle krzyczy: „Osa, osa!”. Myślę sobie, o co mu chodzi, przecież tego nie ma w tekście. Okazało się, że on w ten sposób alarmuje rodziców, że coś jest nie tak – a oni są obok niego na każde zawołanie, gdy np. trzeba odegnać osę. Tego nie ma w DPS-ach, to mogą dać tylko poświęcający się i kochający rodzice.

Mama Maksa, z którą także rozmawiałam o społecznym postrzeganiu rodziców dzieci z niepełnosprawnościami, powiedziała mi pewnego razu: „Etap chodzenia w workach jutowych mam już za sobą!”, mając na myśli wspomnianą konieczność dostosowania się do potocznego wyobrażenia matki jako kogoś szarego. Przyszła zresztą wtedy na plan w pięknej, kolorowej sukience, w której wyglądała zgrabnie i olśniewająco.

Serialem „Matki Pingwinów” chcemy powiedzieć między innymi i to: minęły czasy kobiet, które musiały się wstydzić, że mają życie poza macierzyństwem. Także dlatego ten serial to jeden z najważniejszych projektów mojego życia.

To rzadki przypadek, że społeczną misję daje się godzić z artystyczną jakością.

Wielki za to ukłon w stronę współautorki scenariusza i współreżyserującej serial Klary Kochańskiej-Bajon! Gdy byłam na zdjęciach próbnych, już wiedziałam, że chcę w tym projekcie wziąć udział – ze względu na temat. Ale w życiu nie przypuszczałam, że serial obejrzy tyle osób, i że będzie on i zabawny, i wzruszający, i do tego prawdziwy. A co najważniejsze: że trafi zarówno do tytułowych matek „pingwinów” – oraz ojców – jak i do szerokiej publiczności, która dzięki temu zauważy coś ważnego wokół siebie.

Ty co zobaczyłaś?

Zobaczyłam, że można popełniać błędy – czasami bardzo poważne, bo i takie zdarzają się zarówno mojej bohaterce, jak i mnie. Matka to nie jest wzorowa uczennica, też ma prawo błądzić. Pod warunkiem, że będzie się później umiała do tego błędu przyznać.

Twojej bohaterce zdarza się np. błądzić w relacji z synem. On chce żyć jak każdy rówieśnik, ona chroni go przed zranieniem.

I na tym też łapie się pewnie niemal każda matka i każdy ojciec. Chronimy nasze dzieci przed potknięciem, upadkiem, smutkiem, czasami pewnie przesadzając, bo te wszystkie elementy są częścią życia. Sama zbyt często próbuję moje dzieci przed czymś ochronić. Ale też się uczę dawania im prawa do porażki, zawodu, rozczarowania. I unikania zdań typu: ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ „Nie martw się, to głupstwo. Inni mają poważniejsze problemy”.

W „Matkach...” młodzi bohaterowie dostają prawo do własnego życia uczuciowego. Ich matki również, nawet jeśli w społeczeństwie nie ma na to przyzwolenia.

Ten serial daje kombinację nowego i starego świata: mamy geja samotnie wychowującego dziecko z niepełnosprawnością, czyli wyżyny inkluzywności, ale też facetów pogubionych – jeden ląduje w więzieniu, drugi na jakiś czas znika, bo założył nową rodzinę. W życiu mężczyźni też często nie unoszą tematu choroby albo niepełnosprawności dziecka.

Ten stereotyp jest do tego stopnia żywotny, że gdy rodzice wspomnianego Maksa przyprowadzili go na plan, zastanawiałam się przez chwilę, kim jest ten pan... A co do filmu, odpowiedzią na ów stereotyp jest postać wspomnianego przez ciebie Jerzego, granego przez Tomasza Tyndyka, ale też odgrywany przez Mateusza Damięckiego Paweł, który wychowując samotnie córkę, wiąże się z kobietą mającą dziecko neuroatypowe.

A jeśli chodzi o życie, znam mnóstwo rodzin zastępczych, w których faceci stają na wysokości zadania na równi z kobietami. Poznałam niedawno parę, która wychowuje jedenaścioro dzieci z niepełnosprawnościami! Równocześnie przy okazji swojej działalności społecznej poznałam kilka tworzących rodzinę zastępczą samodzielnych kobiet bez mężów czy partnerów, a tylko jednego znajdującego się w analogicznej sytuacji mężczyznę [do założenia rodziny zastępczej w Polsce wystarczy jedna dorosła osoba – red.].

Działasz społecznie od dwóch dekad, a dwa lata temu założyłaś Fundację „Ukochani”, pomagającą rodzinom, głównie tym zastępczym. W pieczy zastępczej mamy wielki kryzys, a jego ofiarą padają często pozostawione przez rodziców dzieci z niepełnosprawnościami. Nie ma dla nich rodziców, więc bywa, że lądują w domach pomocy społecznej. Od 1 stycznia przyszłego roku ma to być zakazane.

W Polsce wiele rzeczy jest zakazanych, a jednak się dzieją. Np. nie wolno już wysyłać małych dzieci do placówek opiekuńczo-wychowawczych, a samorządy nadal to robią, tłumacząc się brakiem rodzin zastępczych. Obawiam się, że z DPS-ami może być podobnie. A nie powinno być, bo miejsce każdego dziecka jest przy rodzicach. Poznałam niedawno rodzinę, która przyjęła pod dach malutką dziewczynkę z ciężkimi niepełnosprawnościami, która żyła kilka lat w placówce, a następnie dostała skierowanie do DPS-u. Tam spędziłaby zapewne resztę życia.

Mam wielką pretensję do systemu, do urzędników, że nie poczynili nawet próby, by zmienić los tego dziecka i poszukać dlań rodziny. Mało tego: gdy już taka rodzina się znalazła, opiekun prawny i organizator pieczy zastępczej twierdzili, że DPS to najlepszy wybór dla tego dziecka!

Dlaczego tak się dzieje?

Bo tkwimy w myślowych koleinach: „To i tak się nie uda” albo „Nie dawajmy mu nadziei”. Rzucają więc kłody nawet wtedy, gdy dziecko ma szansę na normalne życie. W przypadku małej Kasi się udało, ale w wielu innych nie. Właśnie się dowiedziałam, że w dużym mieście kilkutygodniowe, zdrowe dziecko trafiło, wbrew prawu, do placówki zamiast do rodziny.

Ze źródeł w pieczy zastępczej wiem, że jesteś na tym polu fighterką. I że nie wahasz się używać swojej rozpoznawalności, by pomóc dzieciom w podobnej sytuacji. Drzwi się łatwiej otwierają?

O pierwszym takim dziecku usłyszałam, gdy jeszcze nie istniała fundacja. Mała miejscowość, dziecko z już wydanym przez sąd orzeczeniem o umieszczeniu w pieczy nadal przebywało ze stanowiącą dla niego fizyczne zagrożenie matką. I to pomimo faktu, że wszyscy – na czele z sąsiadami – wiedzieli, że jest maltretowane! W dodatku – rzecz niebywała – działo się to tuż po tragedii Kamilka z Częstochowy.

Zrobiło mi się słabo. Zaczęłam wydzwaniać po urzędach, dowiadywać się, co się dzieje, dlaczego to orzeczenie nie jest realizowane. Miałam nawet pomysł, żeby tam jechać i zamieszkać na tej samej klatce, na której mieszkała ta kobieta, a w razie czego narobić rabanu, nagrać filmik itd. Wreszcie postanowiłam inaczej: wprosiłam się na spotkanie ważnych ludzi, którzy radzili na temat tego dziecka. Historia skończyła się dobrze, nawet nie wiem, czy także za sprawą moich działań, czy nie – zapewne ten *happy end* był wypadkową starań wielu osób. Pewne jest jedno: dziecko trafiło do bezpiecznej rodziny, a ja za sprawą tamtych doświadczeń założyłam fundację.

Teraz, gdy tylko dowiem się o podobnej sytuacji, zawsze próbuję pomagać. Albo dzwonię, albo jadę i się spotykam z kimś na miejscu. Raz jako „pani prezes fundacji”, innym razem jako „znana aktorka”.

Ta „znana aktorka” miała do pewnego momentu wizerunek ugruntowany rolami: raczej grzecznej, dobrej i uczynnej kobiety. Wizerunek artystyczny rymował się z tym prywatnym.

Tak było do czasu serialu „Rojst ’97”, gdzie zagrałam rolę zgoła niegrzecznej policjantki. Od tamtej pory zdarza mi się wchodzić w projekty łamiące moje stare *emploi*. A przy okazji w filmy bardziej wymagające artystycznie.

Ten stary wizerunek Ci ciążył?

Absolutnie nie! Było mi z nim bardzo dobrze.

Jego ucieleśnieniem było chyba „1800 gramów”, gdzie zagrałaś szefową ośrodka preadopcyjnego – kogoś bliskiego Tobie jako szefowej fundacji. To nie było kinowe arcydzieło, raczej przyjemny dla oka familijny obraz.

Ja bardzo ten film lubię, dobrze go wspominam. I rzeczywiście, moja fundacja to też był efekt, jak w tym filmie, niezgody na świat, w którym istnieją dzieci bez choćby jednego stałego opiekuna – rodzica. Jest na świecie wiele kataklizmów, na które mamy ograniczony albo żaden wpływ: to choroby czy konflikty zbrojne. Ale na ten fenomen – porzuconych dzieci – musimy i możemy mieć wpływ!

Możemy szukać, a potem szkolić rodziny zastępcze, możemy promować adopcje. Możemy wspierać rodziców, żeby poradzili sobie z niepełnosprawnością czy chorobą dziecka, jak czyni to choćby nieoceniony franciszkanin, ojciec Filip Buczyński, założyciel i prezes Lubelskiego Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia. Możemy nawet poprawić życie porzuconym chorym dzieciom, które

eprasa.pl 1cc070d3f1



MARTA WOJTAL

MAGDALENA RÓŻCZKA jest aktorką, zagrała w kilkudziesięciu produkcjach, m.in. serialach „Oficer", „Czas honoru", „Heweliusz", a także filmach takich jak „Lejdis", „Zadra" czy wchodzący do kin w styczniu „Dziki, dziki wschód". Jest działaczką społeczną, ambasadorką dobrej woli UNICEF, a także założycielką i prezeską Fundacji „Ukochani".

są w stanie paliatywnym i leżą osamotnione w hospicjach. Znam przypadki, że znajdowali się zastępczy rodzice dla takich dzieci – „tylko" po to, żeby miał je kto trzymać za rękę w najważniejszych momentach.

Twoja fundacja opłaca szkolenia dla kandydatów na rodziców zastępczych.

Myślę, że może być już w Polsce nawet dwusetka rodziców wyszkolonych dzięki naszym dotacjom. Niby takie szkolenia przysługują każdemu nieodpłatnie, a zapewnić je musi powiat, tyle że często odbywają się w niedogodnych terminach albo czeka się na nie pół roku – a dla małego dziecka to może być połowa życia!

To wszystko przekłada się na konkretne historie konkretnych dzieci. Np. Kacperka i Marysi [imiona zmienione – red.], którzy na pewno byliby już w placówkach, gdyby nie wsparcie ludzi i fundacji. Dziś zasypiają w ramionach mamy, budzą się w podobnych okolicznościach, bo udało się dla nich znaleźć rodziny. Kacper ma pełnoobjawowy FAS [alkoholowy zespół płodowy, będący konsekwencją picia w ciąży, a skutkujący niepełnosprawnościami i zaburzeniami – red.], miał w ogóle nie chodzić, nie miał nawet odruchu ssania i sam nie jadł. A po miesiącu przebywania w rodzinie zastępczej już wstawał, łapiąc się mebli, po kolejnych dwóch tygodniach zaś robił pierwsze kroki. Nie wierzyłam, więc nowi rodzice przesłali mi filmik – Kacperek idzie, bo naprzeciwko widzi mamę z rozpostartymi rękami. Teraz chodzi, biega, zjeżdża na zjeżdżalni.

To wszystko mogłoby się nie wydarzyć, gdyby nie łańcuszek ludzi. Ktoś dowiedział się o istnieniu tego dziecka. Ktoś inny znalazł kandydatów na rodziców, ktoś jeszcze następny ich wyszkolił, ktoś kolejny pomógł obalić biurokratyczne bariery, żeby wszystko zadziało się jak najszybciej.

Gdy przy takich okazjach rozmawiam z urzędnikiem, dla którego problemem jest to, że istnieją procedury i że on „nie będzie miał należytego nadzoru", to wyrywam sobie włosy z głowy i pytam: „Serio?".

Zmierzasz do modelu Anny Dymnej: dobroczynność na pierwszym miejscu, aktorstwo na drugim?

Chcę obie te rzeczy robić z równym zaangażowaniem. Nie tylko dlatego, że aktorstwo kocham, ale również z tego powodu, że chciałabym, by moja działalność charytatywna była faktycznie zawsze charytatywna – a do tego potrzebuję finansowej niezależności.

Ta działalność jest dziś bardziej potrzebna niż wtedy, gdy ją zaczynałaś. Mamy gigantyczny kryzys dzietności, który dotyka też adopcji i rodzicielstwa zastępczego. Skąd się to bierze?

Jestem tym przerażona: rodzice zastępczy, których dzisiaj mamy, starzeją się, a młodych przypływa coraz mniej. Przyczyn jest pewnie wiele, ale jedną z nich jest być może fakt, że dzisiaj młodzi ludzie nie czują się na tym świecie pewnie.

Anna Krawczak, znana ekspertka i matka adopcyjna oraz zastępcza, podzieliła się ze mną nieoczywistą hipotezą: mamy mało dzieci, bo nie promujemy mądrze rodzicielstwa. Mówimy o nim językiem wad, niedogodności albo w ogóle nie mówimy. Także w kulturze, m.in. w filmie.

W dużej części podzielam tę diagnozę, ale też zastanawiam się, z czego ten język się bierze. Pokolenie moich rodziców traktowało dzieci jako oczywistość. Do tego stopnia, że gdy to mnie się rodziły, dzwoniłam do mamy z wyrazami podziwu: jak ona to macierzyństwo dzielnie i bez słowa narzekań znosiła? Teraz te młodsze pokolenia chcą wychowywać potomstwo inaczej, niż robiło się to kiedyś – dając więcej uwagi, miłości, czasu. I może tak właśnie to czasami odczuwają: raz jako szczęście, innym razem jako trud.

Gdy moja koleżanka rodziła dziecko, miałam do wyboru albo kłamać, albo mówić, co czułam. A nie czułam, by moja ciąża była „stanem błogosławionym". To, co się działo później, też bywało chaosem i zaskoczeniem. Więc być może jest tak, że nasze pokolenia urealniły obraz rodzicielstwa? A te młodsze uznały, że skoro jest tak ciężko, to może nie warto?

Co do filmów, to nie chcę się wypowiadać. Prawdę mówiąc, rzadko je oglądam. Helunia może potwierdzić [Magdalena Różczka zwraca się do 12-letniej córki, która zdążyła wrócić z korepetycji – red.].

HELENA: Potwierdzam, bardzo rzadko.

To wróćmy do serialu, w którym zagrałaś i który obejrzałaś w finalnej wersji. Tobie się, Helena, podobało?

HELENA: Tak, mega fajne. Chyba najbardziej podobało mi się to, że tam wszyscy są ze sobą razem.

MAGDALENA: Pięknie to powiedziałaś, mnie się też to podoba!

HELENA: Może dlatego, że jak ten film nagrywaliście, to się dobrze bawiliście. ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ **MAGDALENA:** No właśnie! I tu wracamy do wyrzutów sumienia: nie dość, że wychodziłam na długie godziny na plan, to jeszcze się dobrze bawiłam (*śmiech*). Tak rzeczywiście było, przy czym nastąpiła jedna ważna zmiana, jeśli chodzi o atmosferę na planie. Zmiana w porównaniu z tym, co pamiętam sprzed dekady czy dwóch.

Co to za zmiana?

Wspólnota i odpowiedzialność za innych. Mówię nie tylko o tym, że zaprzyjaźniliśmy się z rodzicami dzieci grających w filmie, a one same bawiły się ze sobą, nie widząc pomiędzy sobą różnic. Mam też na myśli fakt, że twórcy serialu wzięli pełną odpowiedzialność za bezpieczeństwo i dobrostan tych dzieciaków. Jest psycholożka Magdalena Glapińska, która ma też swoich asystentów, dzięki czemu każde z grających dzieci ma swój „cień", swojego opiekuna.

Nie zawsze tak było. Pamiętam, że gdy lata temu grałam w serialu „Oficer", na planie była z nami mała blondyneczka grająca moją córkę. Grała sceny, że ktoś ją uprowadza, zakłada jej worek na głowę, wynosi itd. I byłam chyba jedyną osobą, która starała się ją – poza jej tatą – zaopiekować psychologicznie, a o specjalnie zatrudnionych do tego osobach nie było nawet mowy.

O, proszę, kto tutaj jedzie! [stoimy pod blokiem Magdaleny Różczki, drugim samochodem podjechał właśnie jej partner Jan Holoubek: reżyser, u którego aktorka zagrała kilka ról, m.in. w serialu „Rojst" – red.].

Wróćmy do filmu. W czym byś jeszcze chciała zagrać?

Zagrać to nie wiem, ale chciałabym, żeby powstał serial o rodzinach zastępczych. I mogę powiedzieć, że taki serial się tworzy.

W reżyserii pana, którego właśnie spotkaliśmy?

Nie, u tego pana są zazwyczaj trupy (*śmiech*). „Heweliusz", „Wśród nocnej ciszy" – wszędzie mrok i trupy.

„Matki Pingwinów" będą miały trzeci sezon?

To jeszcze nie jest pewne, ale mogę powiedzieć jedno: bardzo tego chcemy.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Puste gniazdo

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

RODZINA | Przez kilkanaście, czasem kilkadziesiąt lat życie wielu par organizują dzieci – ich potrzeby, problemy i codzienność. Co się dzieje, gdy wyprowadzają się z domu, a rodzice muszą na nowo spojrzeć na swój związek?

Dobiegająca sześćdziesiątki Jola uśmiecha się nerwowo. – Oczywiście wiedziałam, że to kiedyś nastąpi, ale teraz, kiedy córka spakowała swoje rzeczy, czuję dziwny smutek i niepokój. Nie wiem, kiedy to minęło – przyznaje.

Wspólnie z mężem Mariuszem wychowali czwórkę dzieci. W październiku ich najmłodsza, 19-letnia córka rozpoczęła studia w Poznaniu i wyprowadziła się z domu, położonego w niewielkiej wsi w Wielkopolsce. Dla jej rodziców to duża i trudna zmiana, bo przez lata ich dom był wielopokoleniowy – oprócz małżonków i ich dzieci mieszkali w nim także rodzice Mariusza.

– Zawsze było tu pełno ludzi i gwaru. Ale potem dzieci, jedno po drugim, wyprowadziły się, a moi rodzice zmarli. Taka kolej rzeczy, musimy się przyzwyczaić do tego stanu – mówi mężczyzna.

Izabela Górnicka-Zdziech i Marek Zdziech, mieszkający w Warszawie rodzice trójki dorosłych już dzieci, w tym nowym stanie funkcjonują od prawie czterech lat. Dziś cieszą się nim i czerpią z życia pełnymi garściami, ale czas po wyprowadzce najstarszego syna nie był łatwy. – Bardzo to przeżywałam. Pamiętam, że przez kilka pierwszych dni sporo czasu spędzałam w jego pokoju – opowiada Izabela.

Stopniowo przyzwyczajali się jednak do nowej rzeczywistości, a fakt, że kolejne dzieci po wyfrunięciu z rodzinnego gniazda dobrze sobie radziły „na swoim", napawał ich optymizmem. Swoje zrobiły też lata intensywnego wychowywania nastolatków. – Po wyprowadzce najmłodszego dziecka byliśmy gotowi, żeby być tylko we dwoje – dodaje Marek.

Nie tylko smutek i żal

Zacznijmy od kluczowego rozróżnienia – pojęcie „pustego gniazda" łączy w sobie dwa wymiary: socjologiczny i psychologiczny. W ujęciu społecznym jest ono kolejną fazą w cyklu życia, którą przechodziła, przechodzi lub w przyszłości będzie przechodzić zdecydowana większość rodzin wychowujących dzieci – a tych w Polsce według Narodowego Spisu Powszechnego, przeprowadzonego przez GUS w 2021 roku, było ponad 7,5 miliona.

Czymś zgoła innym jest omawiany w psychologii syndrom pustego gniazda, będący emocjonalną reakcją na wyprowadzkę dorosłych dzieci, który jednak nie pojawia się automatycznie u wszystkich rodziców. Tylko u części z nich zmiana ta wiązać się będzie ze spadkiem nastroju, poczuciem pustki, smutkiem, żalem, lękiem o przyszłość dzieci, a czasem również z utratą poczucia własnej tożsamości czy sensu życia.

Jedni rodzice – często mieszkańcy małych miast i wsi – z pierwszymi wyprowadzkami mierzą się stosunkowo wcześnie, np. gdy po zdaniu matury dzieci przeprowadzają się do dużych miast, w których rozpoczynają studia lub pracę. W innych rodzinach kwestia wyprowadzki „na swoje" pojawia się później lub w ogóle. Od kilku lat w Polsce przybywa bowiem tzw. gniazdowników, czyli młodych dorosłych, którzy wciąż mieszkają z rodzicami. Ogólnie średni wiek wyprowadzki z rodzinnego domu oscyluje dziś u nas w okolicy 26 lat dla młodych kobiet i 28 dla mężczyzn.

Skoro wyprowadzka dzieci z domu jest zjawiskiem powszechnym i zarazem absolutnie naturalnym etapem życia rodziny, można by się spodziewać,

eprasa.pl 1cc070d3f1



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

że jest to temat doskonale znany i przebadany. Tymczasem w Polsce – jak przekonuje dr hab. Magdalena Żadkowska z Zakładu Socjologii Życia Codziennego Uniwersytetu Gdańskiego – wyprowadzka dzieci z domu i zmiany, jakie to powoduje, nie są widocznym i często analizowanym aspektem życia rodzinnego. A jeśli już są, to uwaga koncentruje się na negatywnych skutkach, związanych z syndromem pustego gniazda.

Badaczka dla kontrastu przytacza przykład USA, gdzie temat wyfruwania z domu jest mocno obecny zarówno w popkulturze, jak w społecznej dyskusji. – Moment, gdy dzieci wyjeżdżają do college'u, jest regularnie eksploatowany w filmach i serialach. Widzimy dorosłe dzieci pakujące kartony i rodziców machających im na pożegnanie. Natomiast szkoły wyższe bardzo często przygotowują poradniki o tym, jak poradzić sobie z wyprowadzką dziecka i jak odnaleźć się w nowej sytuacji – mówi dr hab. Żadkowska.

Cztery scenariusze dla par

Polscy rodzice – w zdecydowanej większości – wchodzą w ten etap życia bez żadnego scenariusza na podorędziu, a bardzo często za jedyny drogowskaz służy im wyświechtane: „daj spokój, przecież każdy to przeżył". Moment, w którym dzieci dorosły i właśnie „idą na swoje", bywa postrzegany jako nieistotny i staje się społecznie zapomnianym etapem rodzicielstwa. Bo o ile o pierwszych miesiącach życia dziecka, o jego pójściu do przedszkola, a później do szkoły czy o trudach wychowania nastolatka mówi się i pisze naprawdę dużo, to gdy dziecko już dorośnie, zainteresowanie kolejnym etapem życia rodzinnego zanika.

Tymczasem – jak wyjaśnia dr hab. Żadkowska – jest to przełomowy moment: i dla pary, i dla dziecka, i dla całej rodziny. A to, co znane, wywraca się do góry nogami. – Struktura rodziny ulega przetasowaniu, ponieważ zmieniają się role i relacje między jej członkami, zmienia się codzienność i rutyna, która przez lata organizowała życie. Zmienia się także domowa przestrzeń i życiowe priorytety – tłumaczy socjolożka, dodając, że współczesny świat lubi serwować proste odpowiedzi na trudne pytania. Tymczasem nie ma jednej, uniwersalnej recepty na to, jak przeżyć wyprowadzkę dorosłych dzieci z domu.

Dr hab. Żadkowska kierowała w latach 2019-2023 badaniami na temat rekonfiguracji ról w fazie pustego gniazda w Polsce i we Francji. Socjolodzy i socjolożki z Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz trzech uczelni francuskich – po przeprowadzeniu ponad 250 wywiadów w obu krajach – wypracowali model czterech scenariuszy dla par, ukazujących, jak może zmienić się relacja między partnerami po wyprowadzce dzieci.

Istnieją więc związki, które po latach rodzicielstwa oraz wyprowadzce dzieci pozostają „razem, ale osobno". Są też pary dalej „zanurzone w rodzinie" i wciąż żyjące jej problemami, jak również takie, które potrafią ten etap zamknąć i stać się „rodzicami-partnerami dzieci". Dla innych z kolei pusty dom staje się początkiem „nowego miesiąca miodowego" i skupienia na sobie.

Kim dziś jesteśmy?

Marek Zdziech przyznaje, że dla niego odnalezienie się w nowej rzeczywistości było dużo trudniejsze niż sam fakt wyprowadzki dzieci. – Ta była tylko kamykiem, który spowodował lawinę pytań piętrzących się w głowie – wspomina. – Razem z żoną musieliśmy inaczej poukładać dotychczasowe życie, zbudować na nowo naszą relację, ułożyć stosunki z dziećmi, które stały się dorosłymi ludźmi. Musieliśmy się zastanowić, jak będziemy spędzać czas, którego nagle pojawiło się dużo więcej, gdzie tak naprawdę chcemy teraz mieszkać i na co wydawać pieniądze. Trzeba było też wspólnie odpowiedzieć na pytanie, o czym właściwie ma być teraz nasze życie – dodaje.

Konfrontacja z pytaniami, o których mówi Zdziech, dla wielu rodziców może być trudna – dotyka bowiem kwestii ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ tożsamości oraz redefinicji życiowych ról. Jak zauważa dr hab. Żadkowska, w dużej mierze jest to pokłosie tego, jak przed laty wyglądało wchodzenie w dorosłość. Było dużo bardziej „unormowane" w porównaniu do dzisiejszych czasów.

– Zdecydowana większość współczesnych 50- i 60-latków kończyła edukację, dostawała pracę i wchodziła w związek. Dość szybko pojawiały się dzieci, choć partnerzy ze względu na kwestie obyczajowe nieszczególnie mieli okazję, by wcześniej pobyć parą. Wiele osób od młodości funkcjonowało więc w związkach w roli rodzica – wyjaśnia badaczka.

Właśnie dlatego wiele lat później, gdy „projekt dzieci" dobiega końca, gdy rola mamy i taty przestaje być tą, która organizuje i porządkuje codzienność, w wielu związkach pojawia się fundamentalne pytanie: co właściwie zostało z nas jako pary?

Jola i Mariusz właśnie przed nim stoją. – Jesteśmy małżeństwem od 35 lat, oboje dobiegamy sześćdziesiątki, a dopiero teraz po raz pierwszy jesteśmy tak naprawdę samodzielną parą – opowiada kobieta. Wcześniej ich uwaga była podzielona między dzieci, pracę i dom. Nie wyjeżdżali sami, niewiele czasu spędzali tylko we dwoje.

– Z perspektywy lat widzę, że to nie powinno tak wyglądać – przyznaje Jola. Dziś z jednej strony cieszy się z wolności i mniejszej liczby domowych obowiązków, z drugiej zaś obawia się, że ich relacja z mężem okaże się chłodna i będą żyć obok siebie: niby razem, a jednak osobno.

Izabela Górnicka-Zdziech zwraca uwagę na inną ważną kwestię: po latach wspólnego życia i intensywnego rodzicielstwa partnerzy są już innymi osobami, ukształtowanymi przez nowe doświadczenia. – Przez tych dwadzieścia kilka wspólnych lat i ja, i Marek bardzo się zmieniliśmy – przyznaje kobieta, ale widzi w tym zjawisku dobrą, rozwojową stronę. – Wyfrunięcie dzieci z gniazda pozwala spotkać się i poznać na nowo; odkrywając cechy, zainteresowania czy talenty, które przez lata życia w biegu mogły pozostać niezauważone lub zapomniane. To może być nowym, ciekawym początkiem – mówi.

Pasje, czyli para w ruch

Sposób, w jaki przez lata układała się relacja partnerów oraz miejsce, jakie zajmowała w rodzinnej hierarchii, w dużej



NIKOLA WIERZBICKA-MRÓZ

DR HAB. MAGDALENA ŻADKOWSKA:

Po wyprowadzce dzieci struktura rodziny ulega przetasowaniu. Zmieniają się role i relacje między jej członkami, życiowe priorytety oraz rutyna, która przez lata organizowała życie.

mierze decydują o tym, jak para przejdzie przez wyprowadzkę potomków z rodzinnego domu. Na pewno w rzeczywistości bez dzieci dużo łatwiej się odnaleźć ludziom, którzy przez lata nie zaniedbywali relacji partnerskich. Tak uważa Marta Komorowska, pracująca z parami psycholożka i psychoterapeutka, zawodowo związana z Kliniką SWPS w Poznaniu. Niestety, jej zdaniem w wielu związkach ten temat mocno kuleje, bo rodzice skupiają się wyłącznie na dzieciach, które – wedle powtarzanych jak mantra narracji – są przecież najważniejsze.

– Dzieci oczywiście są niezwykle istotne, ale para powinna pamiętać, że to relacja między rodzicami jest fundamentem i spoiwem całej rodziny – zauważa psychoterapeutka, dodając, że nie chodzi o to, by stawiać potrzeby dziecka na dalszym miejscu. – Kluczowe jest zachowanie równowagi, bo jeśli całe życie emocjonalne rodziny koncentruje się dookoła dzieci, ich potrzeb i problemów, to wyprowadzka może zostawić po sobie ogromną pustkę – wyjaśnia ekspertka.

Zachowanie odpowiedniego balansu w rodzinie nie było i nadal nie jest zadaniem prostym, zwłaszcza że wychowywanie dzieci często przybiera formę tzw. rodzicielstwa helikopterowego, które opiera się na silnej potrzebie kontrolowania i towarzyszenia dziecku na każdym etapie jego życia. I choć tego typu podejście wyrasta z troski i lęku o bezpieczeństwo latorośli, może sprawić, że cała uwaga i energia rodziców skoncentruje się tylko na nim. A stąd prosta droga do rozminięcia się partnerów w przyszłości.

– Właśnie dlatego niezwykle ważne są wspólne pasje, tematy, punkty styku. Jeżeli ich zabraknie, partnerzy latami mogą żyć obok siebie, ale nie razem – podsumowuje Marta Komorowska.

Marek Zdziech przyznaje, że kiedy zostali z żoną tylko we dwoje, bardzo się obawiał, że bez dzieci – które przez lata były centrum rodzinnej codzienności – każde z nich pójdzie w swoją stronę lub oboje utkną w przeszłości i będą rozpamiętywać, jak to „kiedyś" (czyli z dziećmi u boku) było. – Bardzo zależało nam na tym, by mieć jakąś wspólną przestrzeń, coś, co nas połączy, co będzie dla nas ważne, co będziemy mogli wspólnie realizować – wspomina.

Właśnie tak narodził się pomysł na podkast, który małżonkowie nazwali „Pokój dla Dwojga". Ich zdaniem to określenie najlepiej oddaje, czym jest dla nich etap pustego gniazda: nie smutkiem i żalem po dzieciach, ale przestrzenią, którą można czymś wartościowym wypełnić. – Rozmawiamy o tym, co nas w tym nowym życiu ciekawi, martwi lub zastanawia. Bo puste gniazdo to dla wielu ludzi nie tylko codzienność bez dzieci, ale czasem też nowe wyzwania. Choćby przyjęcie partnera naszego dziecka do rodziny albo to, gdzie i jak spędzać święta. Cieszymy się, widząc, że ludzi to interesuje – mówią małżonkowie.

Pozwolić dzieciom żyć

Dla części rodziców trudność w odnalezieniu się w pustym gnieździe nie wynika tylko z problemów w relacjach czy nagłego braku codziennego gwaru i licznych zadań do wykonania. Bardzo często sporym wyzwaniem okazuje się pogodzenie z faktem, że „wychuchane i wydmuchane" dziecko, które przez lata stanowiło centrum wszechświata, nagle staje się niezależnym człowiekiem, podejmującym własne decyzje, układającym życie według własnych zasad i realizującym scenariusz niekoniecznie pokrywający się z tym, co wymarzyli sobie rodzice.

eprasa.pl 1cc070d3f1

Jak zauważa Marta Komorowska, tendencję do traktowania dziecka jak własność dobrze obrazuje nawet język, którym opisujemy rodzicielstwo. – Mówimy przecież o „posiadaniu dziecka". To sformułowanie jest dość nietrafione, pokazuje naszą tendencję do zawłaszczania jego przyszłości – mówi Komorowska i dodaje, że kluczowe znaczenie ma to, w jaki sposób rodzice budują relację z dzieckiem. Jeżeli pozostaje ona symbiotyczna, czyli oparta na głębokim uzależnieniu emocjonalnym i silnej ingerencji w życie dziecka – rodzicom bardzo trudno będzie pogodzić się z jego wyprowadzką. Będą mieć poczucie, że wraz z odejściem z domu latorośli tracą część siebie.

– Dlatego tak ważna jest świadomość, że dzieci nie wychowuje się dla siebie, ale dla świata, dla innych. W pewnym momencie one wyfruwają z domu, tworzą własne relacje, związki i budują własne życie – mówi psychoterapeutka.

Choć czasy się zmieniają, wiele osób etap pustego gniazda nadal kojarzy z dość wstydliwym, mało istotnym, jałowym okresem życia. Odchowane dzieci idą w świat, a na ewentualne wnuki trzeba jeszcze poczekać. Dlatego – jak przekonują Zdziechowie – warto w tym czasie znaleźć sobie coś, co wypełni czas i da mądrą pożywkę umysłowi. Dla nich „puste gniazdo" okazało się najlepszym etapem w życiu.

– Kochamy nasze dzieci na zabój, ale teraz jesteśmy w takim momencie, w którym i one, i my możemy żyć tak, jak chcemy. Traktujemy ich jak naszych dobrych przyjaciół – mówią małżonkowie, którzy ostatnio sporo podróżują, sprzedali też rodzinny dom i po latach spędzonych na przedmieściach wiodą wielkomiejskie życie w centrum Warszawy.

Odnaleźli także nowe pasje – Izabela w tym roku skończyła podyplomowe studia na Akademii Sztuk Pięknych, a Marek złapał muzycznego bakcyla. – Świetne jest to, że w dojrzałym wieku znów możemy być na samym początku drogi. Żona jest początkującą architektką wnętrz, ja początkującym perkusistą. Kto wie, co będzie dalej? – śmieje się Marek.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz na posiedzeniu Rady Ministrów. Warszawa, 2 września 2025 r.

Samotna wilczyca

MAREK KĘSKRAWIEC

POLITYKA | Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz swoich idei broniła zaciekle, ale nie rozumiała, że w polityce kompromis nie zawsze jest zdradą. Musiała przegrać, choć jej pomysły były dobre dla Polski.

O swoim odejściu z rządu Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz poinformowała na portalu X, po głosowaniu w sprawie dwukadencyjności w samorządach. Choć zasada ta została zgodnie z jej wolą utrzymana, poczuła się rozczarowana, gdyż „znaczna część posłów Polski 2050 stanęła przeciw ludziom, a za politykierskimi układami". Po czym dopisała, że odchodzi „z rządu Donalda Tuska, bo wartości są dla niej ważniejsze niż stołki".

Sondażowe klęski

Nie minęły dwie doby, a zarząd krajowy wyrzucił swą szefową z partii, umożliwiając przejęcie resztek Polski 2050 przez twórcę ugrupowania, Szymona Hołownię, któremu była już minister życzyła, „by przypomniał sobie, w imię jakich wartości szedł do władzy".

Wcześniej jednak Pełczyńska-Nałęcz poprowadziła partię do rozłamu i notowań sondażowych na poziomie 0,5-2 proc. Poniosła tu klęskę i trudno wierzyć, by mogła jeszcze coś wielkiego osiągnąć w polityce. Ma ogromną wiedzę i spójną wizję rozwoju Polski, ale bywa apodyktyczna. Do tego jej idee nie pasują do utartych podziałów na lewicę i prawicę, stąd bywało jej ostatnio blisko zarówno do Partii Razem, jak i Rozwoju Plus, zwłaszcza w kwestiach solidaryzmu społecznego i roli państwa w kreowaniu ambitnych projektów.

Raczej jednak nie dołączy do żadnego z tych ugrupowań, zresztą byłaby niebezpiecznym transferem. Nie uznaje autorytetu szefów, jeśli się z nimi nie zgadza; nie potrafi mozolnie przekonywać do swych racji ani iść na konieczne w polityce kompromisy. Karierę w rządzie i koalicji zakończyła na własne życzenie. Na ile naprawdę zniechęciła ją postawa posłów jej partii, a na ile zdała sobie sprawę, że ani nie zostanie wicepremierem z realną władzą, ani Hołownia nie pozwoli jej dalej rządzić Polską 2050 – pozostanie tajemnicą.

Wszystko albo nic

Z jej odejścia cieszy się zdecydowana większość polityków koalicji rządzącej, którzy z wyraźną złośliwością żegnali ją w internecie, oraz premier, który z trudem tolerował jej obecność w swoim gabinecie. Zwłaszcza po tym, jak krnąbrna minister, której niezależny charakter kazano Tuskowi znosić w imię interesów większości parlamentarnej – doprowadziła ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ do jednego z silniejszych kryzysów. Chodzi o słynne projekty realizowane z europejskich funduszy w ramach KPO, mające być dowodem na sprawczość ekipy Tuska w porównaniu z PiS.

Do dziś nie wiadomo, na ile pani minister mogła zapobiec przekazywaniu przez PARP pieniędzy na jachty czy kluby dla swingersów, jednak faktem pozostaje, iż nadzór nad przyznawanymi w pośpiechu funduszami kulał. I nawet jeśli nieprawidłowości były nieduże, to resortowi Pełczyńskiej-Nałęcz nie udało się skontrować negatywnej narracji przekonującą kampanią ukazującą cywilizacyjny skok, jaki KPO miałby dać lokalnej Polsce. To zresztą dobry przykład niezrozumienia polityki przez ekspertkę z tytułem doktora, związaną przez lata z Ośrodkiem Studiów Wschodnich, która swym profesjonalizmem do tego stopnia zauroczyła Szymona Hołownię, że uczynił ją 6 lat temu szefową think tanku Polski 2050.

Zasada „wszystko albo nic" nie pasuje do polityki oraz koniecznych w niej taktycznych ustępstw, i być może dlatego Hołownia trzymał ją poza Sejmem. Niemniej trzeba przyznać, iż Pełczyńska-Nałęcz na fotel w parlamencie nie nalegała; nigdy też nie stała się zakładniczką stanowiska w rządzie. Co prawda zależało jej na funkcji wicepremiera, ale nawet nie próbowała ułożyć sobie życia z Tuskiem. Pozostała w jego gabinecie obcym ciałem, uważała sposób nadzoru premiera nad rządem za „przemocowy", a ostatnio otwarcie nie zgadzała się ze sposobem walki o TK i reakcją na aferę szpitalną. Chciała opodatkować mocno banki i bogaczy, a jednocześnie podwyższyć wszystkim wiek emerytalny. Musiała odejść.

Wrogowie z koalicji

Kłopoty miała niemal od początku. Gdy rząd z zadziwiającym uporem i wbrew ekspertom forsował w 2024 r. program mieszkaniowy „Kredyt o procent", w którym spłatę odsetek miało wziąć na siebie państwo – publicznie alarmowała, że doprowadzi to do wzrostu cen na rynku i nabije kieszenie deweloperom; w zamian proponowała rozwój budownictwa społecznego. W końcu uśmierciła projekt, doprowadzając przy okazji do rezygnacji związanego z PSL wiceministra Jacka Tomczaka i robiąc sobie zajadłych wrogów w koalicji.

Tak samo było z projektem ucywilizowania najmu krótkoterminowego, któremu próbował wybić zęby kolejny związany z PSL polityk, Ireneusz Raś. Pani minister przypuściła szturm, dowodząc, że wymagana przez UE ustawa w polskiej wersji uniemożliwia samorządom, spółdzielniom i wspólnotom decydowanie, czy mieszkańcy chcą mieć „za ścianą hotel czy burdel". Doprowadziła do zmian w ustawie, ale w koalicji, której część posłów zarabia na wynajmie, nie mogło to wzbudzić entuzjazmu. W PSL, z którym Polska 2050 była w ścisłym sojuszu, jej ciągłe aluzje o uleganiu lobbystom oraz zarzuty, że PSL walczy o zniesienie dwukadencyjności tylko dla stołków – budziły wręcz nienawiść.

Odeszła z politycznego mainstreamu i chyba do niego nie wróci. Szkoda. W naszym sformatowanym politycznym świecie siała chaos, ale w imię prawdziwych wartości. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

REKLAMA



OLGA

Drenda:
Zamroczenia



Za kilkadziesiąt lat, kto wie, przyszli ludzie będą dziwić się niektórym przejawom dzisiejszej obyczajowości i zastanawiać się, cóż też mogło ludzi tak zamroczyć. Będą patrzeć ze zdumieniem, tak jak dzisiejsi na przejawy świata na opak w przeszłych dziejach: choreomanie dawnych wieków, te zaraźliwe fenomeny, które kazały ludziom na ulicach tańczyć do utraty przytomności, albo na bańki spekulacyjne, które ludzi rozważnych przeobrażały w owładniętych obietnicą szybkiego bogactwa ryzykantów gotowych stawiać wszystko na jedną kartę.

Z takim niedowierzaniem będą być może dowiadywać się o istniejącym na początku XXI wieku zjawisku o nazwie Facebook, na początku narzędziu używanym do komunikacji międzyludzkiej, podtrzymywania istniejących kontaktów lub nawiązywania nowych, czasem podglądania cudzych żyć, kłótni lub plotkowania, czyli do wszystkich tych drobnych grzechów ludzkich spotykanych wcześniej np. na targowiskach lub osiedlach.

Wynalazca tego narzędzia postanowił jednak wykoleić sposób jego działania i wtedy zaczęły dziać się rzeczy przedziwne. Do niedawna jeszcze dobrzy znajomi zaczynali żywić do siebie śmiertelną wrogość z powodu byle drobiazgu. Sympatyczne seniorki generowały kaskady najpodlejszych wyzwisk. Ludzie poważani zaś, legitymujący się nieraz imponującym wykształceniem i piastujący stanowiska, z uzależniającą, dziecinną przyjemnością używali ikonki „haha” w reakcji na cudze, często wcale niegłupie słowa, co upodabniało ich do bobasów pierwszy raz odkrywających przyjemność z jednoczesnego naciskania wszystkich klawiszy zabawkowego pianinka.



OLGA DRENDA

Dzisiejsze obyczaje staną się tajemnicze jak hieroglify

Dziwna substancja, którą zamroczył użytkowników platformy jej właściciel (ale oni przede wszystkim sami poddali się jej działaniu z gorliwością godną lepszej sprawy; żeby nie było, że są bez winy), to mieszanina rozkoszy umysłowej regresji i samouwielbienia. Reakcja „haha” początkowo oznaczała zwyczajną wesołość, lecz dziś częściej to skrótowa forma powiedzenia „co za idiota” i szybkiego zdyskredytowania czyichś słów (nawet wtedy, gdy wcale nie są idiotyczne; wystarczy, że pojawiły się w polu widzenia w złą godzinę).

Nie jest to to samo, co zwyczajna drwina, która wymaga jednak zastanowienia się odrobinę nad ripostą. Reakcja „haha” to satysfakcja z działania czysto bezmyślnego, znamiennego dla czasów oszczędzania na wysiłku umysłowym. Dlatego ciekawie apokaliptycznym widokiem jest obserwowanie zwłaszcza ludzi szacownych, jak oddają się tej przyjemności, zupełnie ignorując dbanie o swój wizerunek człowieka poważnego i sprawiając, że lata ich pracy przestają mieć znaczenie. Oczywiście żadna kolekcja tytułów, żaden dorobek nie chronią przed małostkowością, a edukacja nie oducza bycia podłym – często jednak dają dodatkowy kredyt zaufania w oczach innych, co przynajmniej powinno zmuszać do utrzymywania pewnego poziomu. Ale śmiesznie łatwo ten cenny kredyt przehulać.

Zastanawiam się nad naturą przyjemności, jaka płynie z nazwania kogoś na oślep idiotą czy jakichś słów bzdurami. Jest to przyjemność pochlebcza: ma związek z poczuciem posiadania doskonałego refleksu i radaru. Ale też z ulgą, jaka wiąże się z czmychnięciem samemu przed podejrzeniami. Skoro to ja umiałem w porę rozpoznać swobodnie poczynającego sobie „idiotę”, to musi znaczyć, że sam jestem bystry i nikt mnie głupim nie nazwie – myśli sobie zadowolony z siebie człowiek. On mi się trochę nie spodobał, więc niechybnie jest głupi, a skoro on jest głupi, to ja mądry, mądry, mądry!

Być może ludzie przyszłości, o ile zachowają się informacje z czasów dzisiejszych, a oni będą umieli je odczytać, będą patrzeć na to zjawisko jak na okrutne rozrywki dworu Ludwika XVI w filmie „Śmieszność” Patrice’a Leconte’a. Znudzeni arystokraci oddają się tam zawiłym intrygom, w których istotne jest to, kogo uda się skompromitować, a komu udało się po raz kolejny umknąć przed ośmieszeniem. Oczywiście refleks i bezbrzeżne samozadowolenie ostatecznie zdało się im na nic, ale nie o tym mowa. To raczej opowieść o beztroskim trwonieniu życia na trującą przyjemność z błahych okrucieństw.

Historia kultury ludzkiej to także historia masowych szaleństw i nawracających ochłonięć, więc i tym razem zapewne nie będzie inaczej. Masowe szaleństwa też na ogół nie zatrzymują się aż do wypalenia. Ale spróbujmy sobie wyobrazić kogoś tak łatwo przyklejającego łatki idiotów dookoła, jak zatrzymuje się w pół kroku, przygasa i dobiega do niego myśl: a co, jeśli to także ja? ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

eprasa.pl 1cc070d3f1

Poznajcie finalistów nagrody B( )NUS

TYGODNIK POWSZECHNY

Dla tych, którzy łączą, nie dzielą

Nagroda BONUS powstała, by wyróżniać ludzi, którzy wzmacniają dialog, budują zaufanie i potrafią działać ponad podziałami. Doceniamy osoby, które w swojej pracy nie ulegają logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji. Chcemy pokazywać tych, których działalność realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej.



FOT. MAREK BEDNARZ

Finaliści kategorii KULTURA | Dla twórców, którzy otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw. KAPITUŁA: Michał Kuźmiński (przewodniczący), Olga Drenda, Paulina Frankiewicz, Monika Ochędowska, Anita Piotrowska, Ziemowit Szczerek.

ELWIRA NIEWIERA | Za nagradzane filmy dokumentalne i za niestrudzoną, prowadzoną od początku wojny pomoc dla Ukrainy, do której potrafi przekonać ludzi dobrej woli z wielu krajów.

MARCEL BALIŃSKI | Za Współgłosy – porywającą, pełną wyobraźni i twórczej energii muzykę, w której głosy osób z niepełnosprawnościami wybrzmiewają w pełni i na równych prawach.

ANJA FRANCZAK | Za „Żabę" – książkę artystyczną, która znajduje sposób, by opowiedzieć o żałobie dzieciom (i nie tylko im), oraz za otwieranie przestrzeni rozmowy o śmierci, którą tak często spychamy na margines.

JURIJ ZAWADSKI | Za budowanie mostów między polską i ukraińską kulturą – jako wydawca, tłumacz, animator i autor piszący po polsku – oraz za to, że wszędzie, gdzie się pojawia, kultura zaczyna żyć spotkaniami.

Finaliści kategorii MEDIA | Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów. KAPITUŁA: Jacek Stawiski (przewodniczący), Marcin Giełzak, Brygida Grysiak, Karolina Wigura.

ZBIGNIEW NOSOWSKI | Za kierowanie „Więzią" i za to, że jest w wielu środowiskach autorytetem, pomagającym zrozumieć złożone problemy społeczne i religijne.

DARIUSZ ROSIAK | Za stworzenie popularnego podkastu „Raport o stanie świata", który dla tysięcy Polek i Polaków jest jednym z głównym źródeł wiedzy o sprawach międzynarodowych.

TOMASZ TERLIKOWSKI | Za zdecydowaną obecność w dyskursie publicznym oraz takie prowadzenie debat, które pozwala rozumieć i poznawać wrażliwość różnych stron dyskusji.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ | Za pokazywanie z pasją i konsekwencją różnym odbiorcom ważnych i nieoczywistych spraw politycznych i cywilizacyjnych współczesnego świata.

Finaliści kategorii DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | Dla osób, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic. KAPITUŁA: Michał Okoński (przewodniczący), Bogdan de Barbaro, Aleksander Kardyś, Ryszard Koziołek, Joanna Kuciel-Frydryszak, Marcin Napiórkowski.

MARINA HULIA | Za „Dzieci z dworca Brześć" i wieloletnią pracę na rzecz wykluczonych społecznie, zmieniającą dotychczasowe miejsca marginalizacji w przestrzenie godności.

MAGDALENA BIGAJ | Za działalność na rzecz higieny, kultury i edukacji cyfrowej – za wspieranie rodziców, wychowawców i dzieci, na równi zagubionych w wirtualnym świecie.

ANJA FRANCZAK | Za przywrócenie przestrzeni publicznej jednego z najbardziej wypartych tematów naszych czasów, za mądre towarzyszenie odchodzącym i pogrążonym w żałobie.

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ | Za obronę praw, godności i bezpieczeństwa najmłodszych — również w wymiarze państwowym – i ze świadomością, że ochrona dzieci zaczyna się od ich wysłuchania.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 1cc070d3f1

Finaliści kategorii TECHNOLOGIA | Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające, zamiast wykluczać. KAPITUŁA: Agata Kaźmierska (przewodnicząca), Katarzyna Bąkowicz, Grzegorz Błażewicz, Grzegorz Brona, Wojciech Brzeziński, Tadeusz Gadacz, Dariusz Jemielniak, Artur Kurasiński, Przemysław Kuśmierek, Dariusz Mazurkiewicz.

ANDRZEJ BYSZEWSKI, CYBERSPRAWNI CYBERMOCNI | Za otwieranie drzwi, które wydawały się zabarykadowane na zawsze; za pokazanie, że dzięki technologii osoby z niepełnosprawnościami mogą w pełni korzystać ze swoich możliwości.

SEBASTIAN KONDRACKI, BIELIK | Za stworzenie otwartego modelu językowego, który wzmacnia polską niezależność technologiczną, i pokazanie, ile można osiągnąć dzięki bezinteresownej, oddolnej współpracy.

JACEK SIADKOWSKI, TECH TO THE RESCUE | Za stworzenie sieci, która połączyła setki firm z organizacjami pomagającymi ludziom – za umożliwienie najlepszym specjalistom od technologii wykorzystania swoich umiejętności do rozwiązywania problemów społecznych.

JAN SZUSTER, TOTUPOINT | Za wynalazek, dzięki któremu budynki i przestrzeń publiczna zaczynają mówić, pomagając osobom niewidomym poruszać się po tysiącach miejsc w całej Polsce.

Finaliści kategorii MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ | Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagradzamy tych, którzy poprzez swoją hojność czynią dobro – mądrze i długofalowo wspierają inicjatywy kulturalne, naukowe i pomocowe. KAPITUŁA: Jacek Ślusarczyk (przewodniczący), Andrzej Betlej, Piotr Cywiński, Dobrosława Gogłoza, Aleksandra Kamińska.

IGOR CZERNECKI | Za łączenie refleksji naukowej z systemową i dalekowzroczną filantropią, dzięki której edukacja, demokracja i społeczeństwo obywatelskie w Polsce oraz Europie Środkowo-Wschodniej zyskują trwałe wsparcie.

JOANNA, PAWEŁ I MICHAŁ GŁADYSZOWIE | Za wieloletnie, rodzinne zaangażowanie w ochronę pamięci o ofiarach Auschwitz-Birkenau oraz bezcenny wkład w zachowanie prawdy historycznej i autentyzmu miejsca dla przyszłych pokoleń.

WOJCIECH PAWŁOWSKI | Za budowanie polskiej gospodarki z klasą, odpowiedzialnością i wyobraźnią — w którym sukces rynkowy konsekwentnie idzie w parze z zaangażowaniem w rozwój społeczeństwa obywatelskiego oraz z wieloletnim, hojnym wspieraniem polskiej kultury.

EWA VOELKEL-KROKOWICZ | Za nowatorskie i pełne pasji łączenie biznesu, kultury i projektowania oraz budowanie przestrzeni, gdzie kreatywność i filantropia stają się siłą społecznej zmiany.

Laureatów poznamy podczas gali wręczenia nagród 7 listopada 2026 w Małopolskim Ogrodzie Sztuki w Krakowie.

Wieczór zakończy koncert zespołu ØRGANEK.

Dowiedz się więcej: szczegółowe informacje o nominowanych i o nagrodzie na **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

ORGANIZATORZY:

Tygodnik Powszechny | Fundacja Tygodnika Powszechnego | 75 Narodowe Centrum Kultury | Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Projekt zrealizowano we współpracy z Narodowym Centrum Kultury. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY:

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej | Mazowsze. serce Polski | Kraków | Gdańsk | ERGO Hestia | Terlan | Albatros travel | Herbewo International S.A. | Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie

PATRONI MEDIALNI:

65 TVP3 Kraków | TVP Info | Trójka Polskie Radio

eprasa.pl 1cc070d3f1

REPORTAŻ

OCZY MIAŁA BRĄZOWE

Wojna kojarzyła się jej z beczką marmolady i niebieskimi oczami chłopca, którego Niemcy zabili, gdy wracała ze szkoły. Nie powinno jej tam być. Ale przecież całe życie lubiła się włóczyć. Moja babcia.

JANUSZ SCHWERTNER

Na pomysł, by pójść do babci i nagrać jej wspomnienia, wpadłem wieki temu. Choć jestem dziennikarzem, zbierałem się do tego pewnie z dziesięć lat. Wstyd się przyznać, nawet przed samym sobą, że trwało to tak długo, bo babcia, gdy w końcu dotarłem do niej z dyktafonem, kończyła już 95 lat.

Wiedziałem, że może odejść w każdej chwili, poza tym z miesiąca na miesiąc postępowała u niej demencja. Nie darowałbym sobie później, gdybym tego nie zrobił.

Krew ze sobą wymieszana

– Czyli, babciu, jak to było? To się wydarzyło niedaleko dzisiejszej siedziby Opery Krakowskiej, a ten chłopiec, co mu się przyjrzałaś, miał niebieskie oczy?

– To było jakoś w maju, po południu. Byłam w szkole, bo w tamtej okolicy, gdzie dziś jest opera, to ja, kochany mój, chodziłam do szkoły konspiracyjnej.

Skończyły się lekcje. Część dzieci poszła do domu, a ja jeszcze nie, miałam jakąś sprawę do załatwienia. Tylko jaką? Nie pamiętam, minęło 80 lat. Miałam wtedy czternaście.

Wylazłam przed budynek, zobaczyłam polskich chłopców. Boże kochany, ilu ich było, kilkudziesięciu! I Niemców, którzy ich prowadzili. Schowałam się do środka. Łeb mi się zmieścił w taką szczelinę niewielką i zza szyby się wszystkiemu przyglądałam. Wszyscy ci chłopcy byli w niebieskich swetrach, do dziś pamiętam, wszyscy w jednakowych niebieskich swetrach.

A jeden miał niebieskie oczy i jeszcze niebieski szal na szyi. Ustawili ich rzędem i padł jeden, i kolejny, i następny. Kilkadziesiąt wystrzałów! Myślałam, że umrę. To były takie fajne chłopaki, młodsze od ciebie, ale wyglądali tak jak ty dokładnie. No, tylko bardziej smukli, chudsi. Ich Niemcy przywieźli z więzienia przy Montelupich.

Niemcy poodkrywali studzienki kanalizacyjne i krew tych chłopców, ze sobą wymieszana, spływała potem do tych dziur.

Mama krzyczała później na mnie: „Po coś ty tam polazła?". Długo nie mogłam przyjść do siebie, a ten chłopak w niebieskim swetrze, jemu się patrzyłam w oczy, on oczy miał bardzo, bardzo niebieskie, do niego też strzelili, upadł i do studzienki spływała jego krew.

Wydarzyło się naprawdę

Czy babci, relacjonującej wydarzenia, które rozegrały się w jej dzieciństwie, po latach mogą mylić się fakty? Pamięć, przeplatana z traumą, ma prawo płatać figle. – Nic z tych rzeczy – mówi prof. Andrzej Chwalba, znawca wojennego Krakowa. – To, co opowiedziała pańska babcia, wydarzyło się naprawdę – dodaje, gdy streszczam mu jej opowieść.

27 maja 1944 r. Niemcy, mszcząc się za zastrzelenie dwóch swoich policjantów, wyprowadzili z więzienia przy ul. Montelupich 40 Polaków, aresztowanych wcześniej za działalność konspiracyjną. Przywieźli ich na zbieg ulic Lubicz i Botanicznej. Egzekucję przeprowadzili publicznie: więźniów ustawili w szeregu i rozstrzelali.

Czemu zdecydowali się na tak brutalny akt terroru w środku dnia? Prof. Chwalba zwraca uwagę na rosnącą wtedy panikę okupantów. Sytuacja na frontach stawała się dla Rzeszy krytyczna: na wschodzie wojska sowieckie kontynuowały ofensywę i zbliżały się do linii Bugu, na południu trwały walki we Włoszech, na zachodzie spodziewano się alianckiego lądowania. Niemcy w Krakowie czuli się coraz mniej pewnie.

– Ta egzekucja była klasycznym przykładem tzw. terroru prewencyjnego – mówi prof. Chwalba. – Wokół miasta, w lasach świętokrzyskich, na Podhalu czy w rejonie Częstochowy prężnie działały już oddziały partyzanckie, w samym Krakowie rosła w siłę Armia Krajowa. Zabijając więźniów, Niemcy próbowali brutalnie zabezpieczyć własne zaplecze i zdusić w zarodku ewentualny wybuch powstania.

Historyk opowiada, że Niemcy wierzyli w odstraszającą moc publicznej przemocy do tego stopnia, że w Krakowie na egzekucje przymusowo prowadzili szkolne klasy. Ta strategia obróciła się przeciw nim. Wśród dorosłych egzekucje wywoływały lęk, by synowie nie szli do konspiracji, ale wśród młodzieży potęgowały gniew i chęć odwetu.

Na stronach IPN czytam, że wśród 40 zamordowanych na oczach mojej babci chłopców i mężczyzn był komendant Krakowskiej Chorągwi Szarych Szeregów kpt. Edward Heil ps. „Jerzy" i kilku redaktorów harcerskich wydawnictw. Ich śmierć upamiętnia dziś tablica.

eprasa.pl 1cc070d3f1



ARCHIWUM RODZINNE

Danuta Schwertner. Kraków, pierwsza połowa lat 50. XX w.

Chleba naszego codziennego

Ilu z nas odwleka takie rozmowy w nieskończoność? Czy jest nas więcej, takich, co potem żałują, że nie zdążyli porozmawiać z rodzicami, z babcią, z dziadkiem, tak szczerze, tak dogłębnie, żeby wszystkiego się dowiedzieć? Zadać takie pytania, jakie padają na filmach: „Czego w życiu się bałaś?", „Czy czegoś żałujesz?", „Z czego jesteś najbardziej dumna?".

Niemożliwe, by takie rozważania tkwiły tylko w mojej głowie.

Moja babcia: – Tak na co dzień chleba nie było, ale my, co tu dużo mówić, zawsze trochę tego szczęścia w nieszczęściu mieliśmy. Mama pracowała w piekarni i miała płaszcz, taki przedwojenny, z dużym kołnierzem. Temu kołnierzowi zawdzięczaliśmy w czasie wojny, że nie pomarliśmy z głodu.

Wyglądało to u mamy w piekarni tak: przy piecu pracowali mężczyźni, a przy ladzie – kobiety. Jak się kończyło pracę, chłopy zawijały parę bochenków i brało się po jednym dla siebie. Był tylko problem, że te chleby były świeżo wypieczone, przeraźliwie gorące, a trzeba było je ukryć przed Niemcami, bo jakby kogo nakryli, wywieźliby do obozu. No więc mama kładła sobie bochenek na szyję, przykrywała kołnierzem i tak zakonspirowana wracała do domu. Łzy jej ciekły nieraz, przygryzała zęby, twierdziła, że wszystko w porządku i daje radę, ale gdy się kiedyś przyjrzałam, to zobaczyłam, że całą szyję ma, jakby ją ogniem przypalali.

Opowiadała mi, że na warcie też stali Polacy i oni ostrzegali, gdy miała nadejść kontrola. Krzyczeli: „Baby, nie bierzcie chleba, bo dziś Niemcy będą liczyć bochenki!".

Mama lubiła tam pracować, nikt jej nigdy tam nic złego nie zrobił. Zajmowała się liczeniem kasy. Ja potem też całe życie byłam księgową.

Pragmatyka przetrwania

Znów proszę prof. Chwalbę o ujęcie babcinej historii w historyczne ramy. Czy rzeczywiście Krakowianie, podobnie jak mama mojej babci, mogli odbierać pracę u Niemców pozytywnie? – Jak najbardziej – odpowiada historyk. – W zatrudnieniu w niemieckim zakładzie nie było piętna kolaboracji, lecz czysta pragmatyka przetrwania.

Prof. Chwalba przypomina, że w realiach okupacji obowiązywała bezwzględna reguła: kto nie pracuje, ten nie żyje. Odpowiednie dokumenty – z zaświadczeniem z zakładu pracy na czele – stanowiły najważniejsze alibi. Podczas ulicznych łapanek papier potwierdzający, że zatrzymany jest „użyteczny dla Rzeszy", stanowił często jedyny sposób na uniknięcie wywózki na roboty przymusowe lub do obozu.

Ale historia z piekarnią odsłania jeszcze jeden ciekawy mechanizm: relacje między polskimi robotnikami a niemieckimi zarządcami, zwanymi powiernikami. – Z punktu widzenia Niemców dominowała zasada: biznes to biznes – tłumaczy prof. Chwalba. Przejmowali oni majątki polskie czy żydowskie z jednym nadrzędnym celem: chcieli zarobić i wywiązać się z norm produkcyjnych narzucanych przez Berlin. Żeby jednak zarobić, musieli zadbać o swoją niewolniczą siłę roboczą – polski robotnik musiał być na tyle silny i sprawny, by wydajnie pracować przy warsztacie.

Stąd brała się postawa, która z dzisiejszej perspektywy może zaskakiwać. Niemieccy zarządcy organizowali dla załogi stołówki pracownicze, kupowali na czarnym rynku dodatkową żywność, a z okazji świąt potrafili wręczać paczki dla dzieci pracowników, w których było nawet kakao czy czekolada. Co więcej – mając świadomość głodowych pensji, ostentacyjnie przymykali oko na dorabianie po godzinach i wynoszenie towaru. Dlatego mojej prababci udawało się przynosić do domu świeże bochenki chleba, choć przypłacała to poparzeniem szyi.

↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ Niemieccy przedsiębiorcy tworzyli w ten sposób swoisty parasol ochronny. – Znamy przypadki, gdy powiernicy potrafili wyciągnąć aresztowanego pracownika z więzienia, a nawet z obozu w Auschwitz – mówi prof. Chwalba.

Kim jestem, skąd pochodzę

Gdy babcia zmarła (z początkiem września 2026 r. przewróciła się we własnym mieszkaniu, trafiła na moment do szpitala, zdążyli ją jeszcze wypisać, potem odwiedził ją w domu mój tata, po czym zapowiedziała mu, że żyć już dłużej nie ma siły, a po jego wyjściu położyła się do łóżka, zasnęła i po piętnastu minutach odeszła we śnie), zacząłem zastanawiać się, czym właściwie jest ta pierwotna emocja, drzemiąca w człowieku, która kazała mi chwycić dyktafon, udać się do babci i przeprowadzić z nią wywiad, tak aby później nie wypominać sobie przez całe życie pytań, których nie zadałem.

Czułem intuicyjnie, że chciałem poskromić własne wyrzuty sumienia i więcej się nie bać, że nie zdążę. Chodziło też o to, by wyposażyć się w wiedzę i nadać historii mojej babci nieśmiertelność. Być może puścić nagranie kiedyś własnym dzieciom czy wnukom – tak, by usłyszały i poczuły jej emocje, jej tembr głosu, jej płacz i radość.

– A może tak naprawdę był pan po prostu ciekawy samego siebie. My jako ludzie najczęściej jesteśmy ciekawi nas samych – tłumaczy mi Urszula Neumann, socjolożka rodziny i psychoterapeutka, gdy w końcu do niej udaję się po rozwiązanie zagadki.

– Całą historię rodzinną nosimy w sobie. Im bardziej jesteśmy jej świadomi, tym lepiej rozumiemy siebie – przekonuje Neumann. – To nie jest tylko kwestia dowiedzenia się, co babcia robiła w czasie wojny, ale odpowiedzenia sobie na pytanie: kim jestem i skąd pochodzę?

Koniec wojny miał smak marmolady

– Babciu, a ta marmolada?

– To było, jak Niemcy się wycofywali z Krakowa, zbliżał się koniec wojny, a w mieście chodziło się na grandy. *Vis-à-vis* kościoła karmelitów bosych funkcjonował magazyn żywnościowy dla żołnierzy niemieckich. Jedli tam obiady, brali stamtąd suchy prowiant i trochę też pomieszkiwali. A gdy uciekali przed Ruskimi, to myśmy ten ich magazyn splądrowali. Szło się całymi rodzinami i każdy brał na ręce tyle, ile się dało. Pamiętam, zima była okrutna, ręce miałam całe przemarznięte. Mój brat się świetnie spisał, bo nabrał trochę butelek wódki, a wódkę można było potem wymienić na cukier.



ALICJA SCHWERTNER

Moja babcia Danuta niczym prawdziwa reporterka słynęła z opowiadania historii od szczegółu do ogółu. I nie tylko tą jedną, nagraną rozmową uczyniła moje życie lepszym.

Ale najwięcej tam było marmolady. Cholera jasna, co skrzynka, to z marmoladą! Wiedziałam, że mama będzie ze mnie zadowolona, jak jej trochę zdołam przytargać do domu. Udało się, ale wcześniej miał miejsce mały wypadek. Po tym magazynie ja w samych kapciach chodziłam, poślizgnęłam się i sięgając do beczki tak zaklinowałam rękę, że nie mogłam się ruszyć. Heca była, nie mogłam się wydostać i cała się lepiłam w tej marmoladzie.

Ale to był smak, ta marmolada, mama wszystko robiła z marmoladą, a najbardziej pamiętam placki, świeże i ciepłe. Tylko marmolady jeść już dzisiaj nie mogę, tyle, co się najadłam za Niemców, już mi na resztę życia starczyło.

Andrzej Chwalba potwierdza: – W Krakowie rozegrał się wtedy jeden wielki szaber. A pańska babcia rzeczywiście miała szczęście, bo w tamtych okolicach znajdowały się dawne obiekty austriackie: koszary i zakłady produkcyjne. W okresie międzywojennym przejęło je wojsko polskie, a po wybuchu wojny – niemieckie. W związku z tym tego bogactwa było tam dużo. Niemcy w popłochu uciekali, a Krakowianie ruszyli na łowy.

Epilog

Urszula Neumann opowiada mi o nierozerwalnej zależności trzech pokoleń. Przeżycia, traumy i lęki naszych dziadków i rodziców przenikają do kolejnych generacji – czasem świadomie, a czasem w sposób utajony.

W czasie naszej rozmowy Neumann przywołuje przykład własnej matki – przesiedlonej po wojnie ze Lwowa łączniczki AK, wychowanej w konspiracyjnej zasadzie, by o nic nie pytać. Lęk przed wykorzenieniem sprawił, że całe życie bała się przeprowadzek i zachodniej Polski, wciąż żyjąc w przeświadczeniu, że „przyjdą Niemcy". W ten sposób niezapamiętane lub przemilczane historie kształtują nasze dzisiejsze myśli i obawy. – Gdy planowałam przenieść się do Wrocławia, ona mi to odradzała – wspomina socjolożka.

– Historia rodzinna to łańcuch powiązań, który wiąże nas z poprzednimi i przyszłymi pokoleniami – mówi Neumann. – Przekazując te opowieści dzieciom i wnukom, sprawiamy, że babcia pozostaje żywa, ze swoimi przygodami i błędami. W świecie, w którym tak łatwo stracić tożsamość i zostać „rozmytym", pojawia się w nas tęsknota za konkretnym miejscem i rodzinną sagą.

Urszula Neumann przyznaje, że większość z nas budzi się za późno. Potrzebę zadania pytań odkrywamy często wtedy, gdy nie ma już kogo zapytać – zderzając się z poczuciem winy wobec samych siebie i wobec naszych dzieci czy wnuków, którym nie będziemy potrafili opowiedzieć o własnych korzeniach.

Chwytając za dyktafon, podświadomie próbujemy ten ciąg pokoleń ocalić. Podobno – zapewnia mnie Urszula Neumann – jest nas coraz więcej.

A babcia moja, Danuta Schwertner, niczym prawdziwa reporterka słynęła z opowiadania historii od szczegółu do ogółu, oczy miała brązowe i nie tylko tą jedną, nagraną rozmową uczyniła moje życie lepszym. Nawet po śmierci wywinęła mi numer: od dawna nic nie potrafiłem napisać, a ona z zaświatów podarowała mi trochę weny. © JANUSZ SCHWERTNER

eprasa.pl 1cc070d3f1

JUSTYNA

Kowalczyk-Tekieli: *Ku przestrodze*



Gdy potwierdziła się informacja o śmierci Męża, wykrzyczałam: „Kacperku, coś Ty narobił!". Podobno. Nie pamiętam ani tego, ani znakomitej większości kolejnych osiemnastu miesięcy. Dokładnie przypominam sobie jednak, jak zaczęłam obdzwaniać Jego najbliższych. Wiedziałam, że mam bardzo mało czasu. Że medialny sąd rozpocznie obrady najdalej za dwie godziny. Więc dzwoniłam na inne kontynenty, w różne góry, pod różne skały. Byłam dzielna. Tylko przez te dwie godziny byłam dzielna. Słyszę wciąż siebie, jak mówię: „Wyłączcie radio, telewizję, nie zaglądajcie do internetu. Błagam. Nie wierzcie w nic, co tam będą komentować". I przepraszałam w myślach Kacpra, że przeze mnie nie może odejść spokojnie. Nie ma w sławie nic dobrego.

Po pewnym czasie skontaktowały się ze mną osoby, które rozmawiały z Nim ostatnie. Zjedli razem kolację i śniadanie w schronisku. Wiedziałam o tym. Pisał przed zaśnięciem, że spotkał świetnych alpinistów. Teraz doceniam, że to byli ludzie gór. Mówili mnóstwo miłych rzeczy. I choć wtedy głównie płakałam albo bez sił gapiłam się w sufit, ta rozmowa wywołała uśmiech. Ech, ludzie słuchać nie mogli, jak my o sobie opowiadaliśmy. Ostatnie słowa. Ostatnie gesty. To jest tak ważne. To czasem ratuje życie osób, które zostały. A przecież mogli pobiec do mediów i to im zrelacjonować te Kacpra rozważania, rozterki, plany. Ku przestrodze, tak się mówi. Bo przecież po takich wywiadach wszyscy soliści śmiałkowie przestaliby być solistami śmiałkami i nigdy żaden nie poszedłby w góry w trakcie trójki lawinowej. Proste, prawda?

Niedawno kolega udostępnił mi film, na którym widać odbijające się od zbocza góry ciało dziewczyny. Spadała spod Zawratu. Zamarłam. Kto? Dlaczego? Co z jej bliskimi? Przecież im właśnie runął świat. Włączają telewizor, a tam w każdych wiadomościach ona. Ku przestrodze, tak się mówi, ale nie zgadzam się na to. Ku jakiej przestrodze? Gdyby to tak działało, to służby po każdej akcji publikowałyby zdjęcia i filmy. A mają takie, że nawet osobie, która nie miała skrupułów i udostępniła nagranie spod Zawratu, opadłaby szczęka. Każda akcja ratunkowa musi być udokumentowana. Ratownicy przy ciele ofiary zostawiają gałązkę kosodrzewiny. To tradycja. I oddanie szacunku. A potem w sposób najdelikatniejszy z możliwych przekazują hiobowe wieści rodzinie.

Kacpra poznałam, bo Polski Himalaizm Zimowy się o mnie upomniał. Nie umiałam nic, więc miał mnie nauczyć. Później twierdził, że po pierwszym dniu kursu wiedział, że będę jego żoną. Nie podzielił się ze mną przez kilka miesięcy tymi planami. Ale dość szybko opowiedział mi o jednej z najtrudniejszych sytuacji, z jaką przyszło Mu się zmierzyć. O spotkaniu z żoną kogoś, kto w górach odszedł na Jego oczach. Kacper był blisko. Przez długi czas. Datę wybrał symboliczną dla nich. Był u specjalistów wcześniej, by zadbać jak najbardziej o komfort załamanej kobiety. Nie potrafiłam się wczuć ani w sytuację wdowy, ani w sytuację Kacpra. To było tak smutne. Tak intymne. Tak ważne. Mimo że minęło od tamtego wydarzenia trochę czasu, nie potrafił powstrzymać emocji. Teraz wiem, że w kobiecie, która została nagle sama, te emocje jeszcze przez długi, długi czas są żywe. Tam nie było ani słowa o błędach. Nie było pouczania. Była pokora i szacunek do tych, którzy zostali i muszą się mierzyć z tragedią.

Los tak chciał, że trzy miesiące później widzieliśmy śmierć w górach. To był łatwy, ale jednak pozaszlakowy, wspinaczkowy teren. Kacper w ułamku sekundy popędził w stronę tragedii. Schodziłam wolniej i nie odważyłam się podejść. Trzęsłam się cała. Tak, wiedziałam już, że ludzie w górach giną. I ci doskonale przygotowani, i ci z piwem w ręku, i ci asekurujący się niemal książkowo, i ci goniący po graniach szybko, i ci w klapkach, i ci w rakach. Wiedzieć a zobaczyć to jednak różnica. Gdy Kacper wrócił do mnie, nie oceniał. Nie prawił morałów. Był ogromnie poruszony. Ludzie, którzy w górach spędzają większość roku, sytuacji trudnych widzą na pęczki. Radzą. Pomagają. Spokojnie. Bez patosu. Bez szumu.

Nie godzę się na publiczne pokazywanie śmierci dziewczyny. To jest populizm. Uruchamia tych najgorszych, którzy sobie popiszą o nagrodzie Darwina, o głupocie, o selekcji naturalnej. A ludzie dalej będą chodzić w góry. Jedni w adidaskach w październiku na Zawrat, inni z czekanem w czerwcu na Kasprowy.

Nie potrzebujemy epatowania śmiercią. Potrzebujemy długofalowej kampanii edukacyjnej. Polska to kraj nizinny. Nie wiemy, jak się zachować wyżej. Ludzie po prostu czasem nie mają pojęcia, co może ich spotkać po czterech godzinach marszu. Nie gubi ich buta, tylko niewiedza.

Tak bardzo chciałabym móc na czas powiedzieć najbliższym dziewczyny z Zawratu, by wyłączyli telewizję i internet. Ale jest już za późno. Za chwilę czeka ich Święto Zmarłych. Pierwsze takie. To pierwsze jest jak rozdarcie rany tępym nożem. Ta dziewczyna zapłaciła najwyższą cenę. Jej najbliżsi nie są niczemu winni. Wszyscy robimy głupie rzeczy. Zdarza się przekroczyć prędkość, wyprzedzić w niedozwolonym miejscu. Zjeść przetworzone rzeczy. Wypić alkohol. Ktoś, kto publikuje takie filmiki z przekonaniem, że robi akcję edukacyjną, jest okrutnym megalomanem, bo nagrywanie cudzych tragedii nie staje się wzniosłe, nawet jeśli robisz to w wysokich górach. ©

Justyna Kowalczyk-Tekieli jest mistrzynią olimpijską i mistrzynią świata w narciarstwie biegowym, doktorką nauk o kulturze fizycznej, działaczką i komentatorką sportową.

eprasa.pl 1cc070d3f1

NAMIOTY Z PUERTA DEL SOL

Eksmisja 87-letniej Maricarmen, która wstrząsnęła Hiszpanią, nie była odosobniona. Za takimi historiami kryją się osobiste dramaty, a także rosnące czynsze, niedobór mieszkań i rynkowe spekulacje. Coraz trudniej tu o własny kąt. Nie tylko młodym.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MADRYTU



eprasa.pl 1cc070d3f1

Txema Escorsa ma 34 lata i jest nauczycielem biologii w szkole średniej. Jedenaście lat temu postanowił się usamodzielnić: wynajął mieszkanie w okolicy Sagrady Famílii w Barcelonie, z entuzjazmem zaczynał dorosłe, niezależne życie.

W marcu firma New Amsterdam Developers, która przejęła budynek, poinformowała go, że zrywa umowę najmu i Txema musi się wyprowadzić. Powód: planowany remont, po którym mieszkania miałyby zostać przeznaczone na wynajem turystyczny. Na drzwiach wejściowych zamontowano już czytniki kart magnetycznych, które miały umożliwiać dostęp do budynku.

Txema i pięcioro innych najemców odmówili wyprowadzki. Nadal płacą czynsz i walczą o możliwość pozostania w mieszkaniach.

Strefa napiętego rynku

Zgodnie z przepisami obowiązującymi w Barcelonie, łączna kwota pobierana za wynajem poszczególnych pokoi nie może przekraczać maksymalnego czynszu ustalonego dla całego mieszkania. Przepisy te dotyczą obszaru zwanego *zona tensionada* (strefa napiętego rynku mieszkaniowego).

– Płacę za mieszkanie 800 euro, gdy inwestor chciał wynajmować pokoje w sąsiednim lokalu za 950-1000 euro. Dlaczego? Bo może. Brakuje mieszkań, a liczba turystów w Barcelonie rośnie – mówi mi Txema.

Ostatecznie władze miejskie nałożyły na właściciela kary, łącznie 20 tys. euro. Ale to nie oznacza, że Txema może odetchnąć. Jego przyszłość stoi pod znakiem zapytania. Na wszelki wypadek trzyma kartony, gotów do pakowania. – Życie w ciągłym zagrożeniu, że stracę mieszkanie, wpływa na codzienne funkcjonowanie, prowadzi do ciągłego niepokoju. W efekcie wszystkie inne sprawy życiowe stają się trudniejsze – mówi 34-latek.

Jego historia nie jest odosobniona. Każdego dnia w Hiszpanii eksmitowanych jest średnio 45 osób, zwykle z powodu rosnących czynszów i rat kredytów hipotecznych, których nie są w stanie terminowo spłacać. W ciągu pierwszych trzech miesięcy 2026 r. eksmitowano 4005 osób – podaje Rada Generalna Władzy Sądowniczej (CGPJ).

Miasteczko namiotowe na Puerta del Sol; widoczny po prawej transparent nawiązuje do postaci 87-letniej Maricarmen, której eksmisja stała się katalizatorem protestów. Madryt, 3 października 2026 r.

PABLO BLAZQUEZ DOMINGUEZ / GETTY IMAGES

Razem możemy więcej

Chcąc lepiej zrozumieć problemy mieszkaniowe w swoim mieście, Txema Escorsa zaangażował się w działalność Związku Najemców w Barcelonie (Sindicat de Llogateres). Dziś jest jego rzecznikiem.

Takie zrzeszenia są dziś aktywne w wielu miastach. A wszystko zaczęło się jesienią 2016 r.: traf chciał, że na osiedlach Barcelony, Madrytu czy Malagi w podobnym czasie mieszkańcy zaczęli spotykać się i rozmawiać o wysokości czynszów i groźbie eksmisji. Skarżyli się też na właścicieli, którzy zaniedbywali budynki, np. pod względem ich stanu technicznego.

– Pomyśleliśmy, że skoro przedsiębiorcy mają swoje stowarzyszenia, to dlaczego my nie mielibyśmy stworzyć własnego? Kiedy każdy z nas rozmawia z właścicielem mieszkania osobno, niewiele może wskórać. Albo jesteśmy ignorowani, albo słyszymy groźby podwyżek czynszu czy wręcz wyrzucenia z mieszkania. Dopiero razem stanowimy siłę – mówi Txema.

Członkowie związku to przekrój społeczny: są tu opiekunki do dzieci, osoby sprzątające ulice, prawnicy, nauczyciele, a nawet urzędnicy państwowi.

Bo groźba eksmisji dotyczy nie tylko najuboższych. – Jesteśmy różnorodną grupą. Większość z nas ma 20-30 lat, ale są wśród nas również osoby dziewięćdziesięcioletnie. Utrata mieszkania i groźba eksmisji mogą być traumatycznymi doświadczeniami. Z danych naszego Sindicat de Llogateres wynika, że w ubiegłym roku w Barcelonie 124 osoby próbowały targnąć się na życie w związku z eksmisjami – mówi Txema.

Moje pokolenie

27-letni Lucas Vaquero Álvarez jest doktorantem na Uniwersytecie Complutense w Madrycie, a także działaczem stołecznego Związku Najemców. Podobne organizacje działają dziś w kilkunastu hiszpańskich miastach, także m.in. w Maladze i Saragossie. Największy związek powstał jednak w Madrycie.

– W 2020 r. odnieśliśmy historyczne zwycięstwo w sporze z gigantycznym funduszem Blackstone. Ostatecznie zgodził się on podpisać ponad 80 nowych umów najmu, bez podwyżek. To pokazało, że wspólna presja może przynieść konkretne rezultaty – opowiada Lucas.

Na swojej uczelni Álvarez bada sposoby organizowania oporu społeczności lokalnych w ramach ruchu na rzecz prawa do mieszkania. Do Związku Najemców dołączył, gdy właściciel wynajmowanego przez niego lokalu chciał podnieść czynsz.

– Mówiono nam, że wystarczy się uczyć, potem zdobyć dobrą pracę, a będzie można kupić mieszkanie. To wielkie kłamstwo. Moje pokolenie nie może sobie pozwolić na własne lokum. Mieszkań brakuje. Jeśli masz szczęście, możesz coś odziedziczyć, ale na zakup stać coraz mniej osób – mówi 27-latek.

Lucas podkreśla, że problem rosnących kosztów wynajmu dotyczy nie tylko młodych. – To nie jest kwestia wieku, lecz klasy społecznej. Niewielka grupa rentierów utrzymuje się z czynszów płaconych przez resztę społeczeństwa – przekonuje.

Według Związku Najemców ok. 30 proc. mieszkańców Madrytu i 40 proc. mieszkańców Barcelony wynajmuje mieszkania. Do tego dochodzą osoby spłacające kredyty hipoteczne, które również muszą przeznaczać znaczną część dochodów na dach nad głową.

– Ceny są astronomiczne i zupełnie nie przystają do zarobków, nawet w zawodach, które uchodzą za dobrze płatne – ocenia Lucas Álvarez.

Demonstracje i namioty

Historia 87-letniej Maricarmen z Madrytu, która po 70 latach spędzonych w jednym mieszkaniu została z niego eksmitowana, a następnie zmarła w szpitalu, przelała czarę goryczy. Do protestów wezwały lokalne związki najemców. W ostatnich kilku tygodniach miały one miejsce w co najmniej 54 miastach w całym kraju.

W Madrycie w pierwszy weekend października na ulice wyszło pół miliona ludzi. Wcześniej, pod koniec września, namiotowe miasteczka wyrosły w kilkunastu miastach; największe na Puerta del Sol w stolicy. Protestujący mówią, że to dopiero początek.

Namiotowe protesty nawiązują do ruchu 15M, który narodził się w 2011 r. Wtedy też demonstrujący spali w namiotach na Puerta del Sol. Ich hasło brzmiało: ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ „Prawdziwa demokracja już teraz. Nie jesteśmy towarem w rękach polityków i bankierów". Spuścizną tamtego ruchu było powstanie skrajnie lewicowej partii Podemos (hiszp. Możemy).

Dziś głównym tematem ruchu protestu jest kryzys mieszkaniowy: rosnące czynsze, niepewność najmu, eksmisje. Demonstranci domagają się bezterminowych umów najmu, zakazu eksmisji, jeśli lokatorzy nie mają zapewnionego alternatywnego miejsca zamieszkania, i zamrożenia czynszów na czas obecnego kryzysu. Chcą też ograniczenia nadużyć ze strony właścicieli nieruchomości.

Nie tylko turyści

Dlaczego w Hiszpanii brakuje mieszkań? Przyczyn nie sposób sprowadzić tylko do masowej turystyki. Choć ona istotnie jest tu jednym z problemów – w 2025 r. kraj odwiedziło 97 mln zagranicznych turystów, a wielu korzystało z mieszkań na najem krótkoterminowy.

Eduardo Gutiérrez – prawnik, pracownik socjalny i zarazem dyrektor stowarzyszenia Provivienda – uważa, że należałoby ograniczyć wydawanie licencji na wynajem turystyczny i wprowadzić ściślejsze kontrole, ale to przede wszystkim w tych częściach miast, które są najbardziej oblegane przez turystów.

Jednak zdaniem Gutiérreza problem ma głębsze podłoże: popyt na mieszkania zdecydowanie przewyższa podaż.

Liczba mieszkańców Hiszpanii z roku na rok rośnie, populacja zbliża się do 50 mln, przede wszystkim za sprawą imigracji. Tymczasem rocznie buduje się średnio tylko ok. 100 tys. nowych mieszkań. Szczególnie dotkliwy jest niedobór lokali socjalnych: to niespełna 3 proc. zasobu mieszkaniowego.

– Hiszpania miała kiedyś znacznie więcej mieszkań socjalnych, przeznaczonych dla osób, których nie było stać na zakup lokalu na wolnym rynku. Z czasem część z nich sprzedano najuboższym mieszkańcom. System miał jednak lukę: po 15 latach zakupione tak mieszkanie można było sprzedać dalej na wolnym rynku i traciło status mieszkania socjalnego – wyjaśnia Gutiérrez.

Budowa nowych mieszkań socjalnych to z kolei proces, który może trwać nawet do 10 lat. Rozwój budownictwa utrudnia brak odpowiednich gruntów, rozbudowana biurokracja i niedobór pracowników. Kryzys pogłębił też gwałtowny wzrost kosztów materiałów i energii.



ARCHIWUM PRYWATNE

34-letni Txema Escorsa doświadczył działań deweloperów, dziś jest rzecznikiem Związku Najemców w Barcelonie, marzec 2026 r.

Tymczasem według szacunków Banku Hiszpanii w kraju brakuje 750 tys. mieszkań.

Miliony pustych mieszkań

Jednym z problemów, którymi zajmuje się Provivienda, są puste mieszkania. Szacuje się, że w całym kraju może być ich nawet cztery miliony. Część znajduje się poza dużymi miastami, w regionach, w których trudno o pracę. Są jednak lokale, których właściciele nie chcą ani wynajmować, ani sprzedawać.

– Kontaktujemy się z właścicielami mieszkań, które od lat stoją puste, i próbujemy przekonać ich do zmiany decyzji. Gwarantujemy im ubezpieczenie na wypadek, gdyby najemca przestał płacić czynsz. W ubiegłym roku na Wyspach Kanaryjskich odkupiliśmy 76 mieszkań, wyremontowaliśmy i wynajęliśmy dzięki dotacjom lokalnych władz. Średni czynsz wynosi nieco ponad 300 euro miesięcznie. To jednak kropla w morzu potrzeb – mówi Gutiérrez.

W latach 90. XX w. stowarzyszenie pomagało w znalezieniu mieszkań bezrobotnym, emerytom i rencistom oraz osobom o niskich dochodach. Dziś, jak przyznaje Gutiérrez, coraz częściej wsparcia potrzebują też przedstawiciele klasy średniej: choć mają pracę, nie wystarcza im pieniędzy na pokrycie podstawowych wydatków.

Pokój na własność

Gdy sytuacja na rynku najmu jest tak trudna, coraz większą popularność zdobywa dziś nietypowe rozwiązanie: zakup pojedynczego pokoju.

– Od początku figurujesz jako właściciel w rejestrze nieruchomości. Pokój należy do ciebie i możesz z niego korzystać, sprzedać go, a nawet później wynająć, jeśli zechcesz – mówi Oriols Valls, dyrektor firmy habitación.com, startupu z sektora proptech (tj. technologii nieruchomości).

Firma ta zajmuje się właśnie sprzedażą pojedynczych pokojów na własność. Ceny zaczynają się od ok. 40 tys. euro i mogą sięgać 100 tysięcy. Możliwe jest również uzyskanie kredytu hipotecznego. Kupujący nabywa prawo do konkretnego pokoju, a zarazem udział we wspólnych częściach mieszkania – salonie, łazience i kuchni.

Prawne podstawy takich transakcji budzą jednak wątpliwości. – Hiszpańskie prawo nie przewiduje sprzedaży pojedynczych pokoi jako odrębnych nieruchomości. W umowie można więc co najwyżej figurować jako współwłaściciel – komentuje prawnik Eduardo Gutiérrez.

Polityczna cena kryzysu

Kryzys mieszkaniowy coraz mocniej wpływa również na hiszpańską politykę.

Po eksmisji Maricarmen parlament nie zdołał przegłosować dwóch dekretów dotyczących ochrony lokatorów.

eprasa.pl 1cc070d3f1

Jeden z projektów, nazwany imieniem „Maricarmen" na pamiątkę eksmitowanej seniorki, przewidywał m.in. wstrzymanie eksmisji osób będących w trudnej sytuacji do 2030 r. oraz przedłużenie długoterminowych umów najmu o dwa lata.

Drugi zaś projekt zakładał automatyczne przedłużanie umów o pięć lat w przypadku najmu od właściciela prywatnego oraz o siedem lat, gdy wynajmującym była firma. Właściciel pragnący zakończyć najem musiałby poinformować o tym z sześciomiesięcznym wyprzedzeniem; w przeciwnym razie musiałby płacić odszkodowanie w wysokości równowartości dwunastu miesięcznych czynszów.

Oba projekty upadły w głosowaniu 2 października, m.in. po tym, jak katalońska partia Junts, wcześniej negocjująca z rządem ich treść, zmieniła stanowisko. Wkrótce potem protesty przeciw kryzysowi mieszkaniowemu objęły kilkadziesiąt hiszpańskich miast.

Presja społeczna stała się jednym z czynników, które skłoniły premiera, socjalistę Pedro Sáncheza, do ogłoszenia przedterminowych wyborów; odbędą się 29 listopada. Z sondaży wynika, że gdyby głosowanie odbyło się teraz, prawicowa Partia Ludowa wraz ze skrajnie prawicową partią Vox mogłyby mieć 198 deputowanych, czyli większość bezwzględną. Vox może dziś liczyć nawet na 18 proc. głosów; to daje jej prawie 30 mandatów więcej niż trzy lata temu.

Przygotowania do strajku

Tymczasem związki najemców wraz z największymi związkami zawodowymi przygotowują strajk generalny, który ma odbyć się 11 listopada.

– Hiszpania stanie. Do protestów mają przyłączyć się także pracownicy oświaty i ochrony zdrowia. Na ulice może wyjść nawet sześć milionów ludzi. Takiego wydarzenia nie było u nas od kilkunastu lat – przewiduje Lucas Vaquero Álvarez ze Związku Najemców w Madrycie.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Czy można jeszcze uratować Niemcy?

ANNA KWIATKOWSKA

NIEMCY | Scena polityczna za Odrą zmienia się, partie wcześniej marginalne są coraz bardziej wpływowe. Nie można liczyć, że wszystko samo wróci do dawnego układu. Co może zrobić Polska?

Czy można nas jeszcze uratować? – takie dramatyczne pytanie postawił Niemcom siedem lat temu Wolfgang Schäuble, ówczesny przewodniczący Bundestagu i nestor chadecji.

Wtedy, jesienią 2019 r., gdy Schäuble – występujący z wykładem na Uniwersytecie w Kolonii – mówił o pułapkach, które czyhają na Niemcy i Europę, mogło się to wydawać abstrakcyjne. Tymczasem jego słowa czytane dziś robią szczególne wrażenie.

Schäuble sformułował bowiem zestaw problemów, które w kolejnych latach spadły na Niemcy (i nie tylko na ten kraj): kryzys zaufania do instytucji, fragmentacja systemu partyjnego, napięcie między procedurami a zdolnością państwa do działania, spór o granice dopuszczalnej debaty. Wreszcie: jak demokracja ma bronić się przed tymi, którzy wykorzystują jej prawa przeciw niej samej.

Wówczas Schäublego zignorowano. Może jego diagnoza przyda nam się dziś?

POLITYK Z WIZJĄ | Schäuble nie był komentatorem przypadkowym. Rocznik 1942, należał do czołówki polityków Republiki Federalnej. Wieloletni minister w rządach Helmuta Kohla i Angeli Merkel, współautor zjednoczenia Niemiec, minister finansów w czasie kryzysu strefy euro, na koniec przewodniczący Bundestagu. Był autorytetem i szarą eminencją, nie tylko dla chadecji (do CDU wstąpił w 1961 r., mając 19 lat).

Jego biografia miała wymiar symboliczny (także z powodu osobistej determinacji: postrzelony w 1990 r. przez zamachowca, odtąd poruszał się na wózku). W Bundestagu spędził ponad pół wieku. Należał do ostatniego pokolenia polityków, dla których III Rzesza, powojenna odbudowa i podział Niemiec były bezpośrednimi punktami odniesienia w myśleniu o państwie.

Dla polskiego czytelnika ważne jest i to, że Schäuble należał do konsekwentnych zwolenników europejskiego zakotwiczenia Niemiec. Niemiecka siła, w jego rozumieniu, miała sens tylko, jeśli była osadzona w Unii, NATO i współpracy z sąsiadami. Jego wystąpienie w Kolonii było zatem refleksją kogoś, kto uważa, że kryzys niemieckiej demokracji prędzej czy później stanie się problemem całej Europy.

DIAGNOZA ZMIAN | Punktem wyjścia wykładu Schäublego, wygłoszonego w ramach cyklu „Adenauer Lecture", był rok 1919. Przypomniał słowa Konrada Adenauera, ówczesnego burmistrza Kolonii, wypowiedziane podczas ponownego otwarcia tamtejszej uczelni. Wtedy, po I wojnie światowej, Niemcy były pokonane, społeczeństwo rozbite, przyszłość niepewna. Adenauer mówił o „duchu niezgody i buntu" krążącym po kraju.

Schäuble nie stawiał znaku równości między rokiem 1919 i 2019. Pytał za to, jak rozpoznać moment, gdy demokracja formalnie nadal działa, ale zaczyna tracić zdolność do tworzenia wspólnoty politycznej.

Zaczął od obserwacji, że podstawą niemieckiej demokracji i społecznego kontraktu była zawsze efektywność, tj. przekonanie, iż państwo działa sprawnie, a instytucje rozwiązują problemy obywateli. W kraju, w którym akceptacja systemu opiera się na skuteczności, biurokratyczna niesprawność staje się zagrożeniem egzystencjalnym. Krytykował ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ więc postępującą ociężałość administracji, która sprawia, że decyzje grzęzną „w dżungli regulacji".

Drugim wątkiem jego wystąpienia była erozja konsensu, który wcześniej stanowił o stabilności Niemiec. Schäuble zauważał, że „wygodna dominacja dwóch dużych partii masowych zniknęła", a chadecy (CDU/CSU) i socjaldemokraci (SPD), którzy przez dekady tworzyli centrum, nie reprezentują już większości (w latach 80. XX w. na obie te formacje głosowało łącznie 80 proc. wyborców, dziś jest to jedna trzecia lub nawet mniej).

Efektem jest nie tylko coraz bardziej mozaikowy pluralizm partyjny, lecz także rozpad modelu tzw. demokracji konsensualnej, opartej na ciągłym szukaniu kompromisu, która stanowiła niemiecki ideał.

MOŻLIWOŚĆ ODNOWY | Najbardziej przenikliwa część analizy Schäublego dotyczyła kryzysu kultury sporu, która przez lata była chlubą niemieckiej debaty publicznej (przynajmniej tej toczonej oficjalnie, chciałoby się dodać). Ostrzegał przed „moralizującą i zarozumiałą rezygnacją z tolerancji", która rzeczową polemikę coraz częściej zastępuje emocjonalnym potępieniem.

Schäuble oceniał, że niemiecka demokracja cierpi dziś na nadmiar moralizmu, który paraliżuje dyskusję. Wzywał do zmiany proporcji w dyskursie, w kierunku: „mniej wykluczania, więcej sporu". Uważał, że społeczeństwo, które przestaje tolerować odmienne opinie, samo podważa fundament swojej wolności. Bo tam, gdzie różnica zdań zostaje wyparta przez potępienie, populizm znajduje żyzne podłoże. W tym sensie jego diagnoza była głęboko republikańska: demokracja żyje nie tyle dzięki zgodzie, co dzięki umiejętności sporu.

Mimo wszystko przesłanie Schäublego było optymistyczne. Wierzył w możliwość odnowy i apelował o „odwagę wolnych ludzi" do wzięcia odpowiedzialności za wspólnotę.

TRAFNA PRZESTROGA | Wtedy słowa Schäublego zignorowano. Może dlatego, że państwo niemieckie wydawało się stabilne: gospodarka jeszcze rosła, rządzący mogli być przekonani o bezalternatywności ich polityki (było to wręcz hasło Angeli Merkel), a starzejące się społeczeństwo czuło się zamożne (zwłaszcza na zachodzie kraju) i wraz z politykami broniło *status quo* przed jakąkolwiek zmianą.

Wkrótce jednak diagnoza Schäublego zaczęła się ziszczać. Kolejne lata – pandemia, kryzys energetyczny, napaść Rosji na Ukrainę, stagnacja gospodarcza, wzrost popularności partii skrajnych z prawa i lewa (AfD, BSW, Die Linke) – pokazały, że to, co nazwał on kruchością zaufania, staje się realnym problemem niemieckiej polityki.

Także drugi element diagnozy Schäublego – kres dominacji tradycyjnych partii – stał się faktem. CDU/CSU i SPD – partie tworzące dziś koalicję kanclerza Friedricha Merza – utraciły pozycję naturalnych reprezentantów większości. Status partii masowej zdobyła zaś AfD, największa partia opozycyjna. Nie tylko dlatego, że ma ok. 30 proc. poparcia w skali kraju, wyprzedzając już chadecję Merza, ale też dlatego, że jej wyborcy należą do różnych grup wiekowych, zawodowych i majątkowych.

OBLICZA KRYZYSU | Zdolność do przekroczenia 5-procentowego progu wyborczego i wejścia do Bundestagu ma dziś (choć nie w każdych wyborach) cała mozaika partii, od Zielonych, przez liberalną, po dwie skrajnie lewicowe i AfD. Mamy więc do czynienia z fragmentacją sceny politycznej, gdzie kompromis jest coraz trudniejszy, a koalicje coraz bardziej egzotyczne i tymczasowe.

O ile po 1945 r. Niemcy Zachodnie zbudowały model „demokracji integrującej", opartej na szerokim centrum, dziś to centrum kurczy się w szybkim tempie, a w miejsce tradycyjnej dyscypliny debaty pojawiła się emocjonalność, polaryzacja i „nowa moralność opinii", przed którą ostrzegał Schäuble.

Jego ostrzeżenie potwierdza się także w sferze debaty publicznej. To właśnie kryzys kultury sporu stał się jednym z najczęściej omawianych zjawisk w niemieckich mediach po 2020 r. W epoce sieci społecznościowych, radykalizacji języka i presji politycznej poprawności coraz trudniej było prowadzić rozmowę opartą na wzajemnym słuchaniu.

Dziś opinia publiczna w RFN coraz częściej jawi się jako społeczeństwo sfrustrowane i zniecierpliwione, zmęczone długimi procesami deliberacji, a jednocześnie przekonane o własnej moralnej racji. Tymczasem Schäuble ostrzegał, że demokracja, która moralizuje zamiast dyskutować, traci duszę.

KONIEC EPOKI | Wolfgang Schäuble zmarł w 2023 r. Wielu komentatorów pisało wtedy, że jego odejście symbolicznie zamyka epokę. Skończył się dawny ład, a Niemcy weszły w czas nowej niepewności: strategicznej, ekonomicznej i kulturowej.

Na poziomie politycznym przejawia się to w nieustannych napięciach koalicyjnych i spadku autorytetu instytucji. Na poziomie społecznym – w zmęczeniu i utracie wiary, że polityka może rozwiązywać problemy. To właśnie ta utrata wiary, a nie sam spór, stanowi dziś największe zagrożenie dla niemieckiej kultury politycznej.

W tym sensie mowa Schäublego z 2019 r. wskazała klucz do zrozumienia współczesnych napięć w Niemczech. Pokazała, że siła niemieckiego modelu, jego instytucjonalny pragmatyzm, kultura konsensu i etos odpowiedzialności może w pewnym momencie przekształcić się w słabość: w nadmiar ostrożności, brak odwagi, niechęć do sporu.

W NOWYCH REALIACH | Nowe pokolenia – wychowane w świecie cyfrowym i w warunkach napięć tożsamościowych – nie chcą dziś polityki w tonie urzędowego kompromisu. Ich energia jest bardziej emocjonalna, fragmentaryczna, czasem sprzeczna. W tej dynamice rodzi się demokracja postkonsensualna: system, w którym różnice nie muszą zostać zniesione, by współistnieć w ramach wspólnego porządku.

Państwo przestaje być gwarantem ładu, a staje się jednym z wielu aktorów, obok samorządów, organizacji społecznych i cyfrowej opinii publicznej. Zaufanie rozprasza się: Niemcy nadal wierzą w potrzebę państwa, ale rzadziej w jego samowystarczalność. Ta rozproszona odpowiedzialność zwiększa elastyczność systemu, lecz osłabia wspólnotę polityczną, a polityka coraz częściej przypomina mozaikę mikroświatów, z własnymi językami i wartościami.

W tych nowych realiach Niemcy przypominają sobie, że demokracja nie polega na pewności, lecz na zdolności do jej odzyskiwania w razie utraty. Zrodzona po 1945 r. z autorytaryzmu, doj-

eprasa.pl 1cc070d3f1



EBRAHIM NOROOZI / AP / EAST NEWS

Jak Polska powinna traktować Alternatywę dla Niemiec, która reprezentuje dziś niemal jedną trzecią niemieckich wyborców? Na zdjęciu: marsz protestacyjny przeciw zjazdowi AfD w Erfurcie, 4 lipca 2026 r.

rzała w cieniu konsensu, dziś wkracza w epokę różnorodności i niepewności. Czy jej trwałą cechą pozostanie zdolność do przekształcania kryzysów w źródło odnowy?

POLSKA WOBEC AFD | Z tej sytuacji wynika też pytanie dla Polski: jak reagować na zmiany na politycznej scenie Niemiec, naszego strategicznego partnera w NATO oraz w gospodarce. Skoro niemiecki system partyjny jest w transformacji, tradycyjne partie tracą dominującą pozycję, AfD i Partia Lewicy zaś zdobywają coraz większy elektorat, nie możemy postępować tak, jakby polityczne Niemcy nadal wyglądały jak 20 lat temu.

Jak więc Polska powinna traktować AfD, partię, która reprezentuje niemal jedną trzecią niemieckich wyborców? Kluczowe jest tu wyraźne rozróżnienie kontaktu od legitymizacji. Niemiecki nacjonalizm, rewizjonizm historyczny czy polityka prowadząca do osłabienia NATO i odbudowy partnerstwa Niemiec z Rosją – to dla nas zagrożenia, których nie wolno relatywizować. A także powody, by nie traktować AfD jak partnera dla polskiego rządu.

Jednak to nie może oznaczać braku wiedzy i strategii. Jeśli AfD będzie dalej rosnąć, zdobywać kolejne landy i zwiększać wpływ na politykę federalną, to polskie państwo powinno tę partię znać. Wiedzieć, kto podejmuje w niej decyzje, jakie są w niej frakcje, kto zajmuje się Polską, obronnością, Rosją czy Unią. Trzeba wiedzieć, które poglądy są ideologicznym rdzeniem AfD, a gdzie jest przestrzeń sporu i oddziaływania.

POLITYKA SIŁY | Że nie będzie to łatwe zadanie, widać już dziś. Jak bowiem traktować partię, która obiecuje zająć się problemami zwykłego Schmidta, ale w nowym parlamencie landu Saksonia-Anhalt w pierwszej kolejności domaga się wstrzymania pomocy finansowej i wojskowej dla Ukrainy, zniesienia sankcji i w ogóle „normalizacji" stosunków gospodarczych z Rosją?

Z kim dyskutować w partii, która pod hasłami „Nasze pieniądze dla naszego kraju" i „Ukraina jest za mała, by wygrać z Rosją" promuje politykę siły jako Realpolitik? Tak rozumiana suwerenność i realizm polityczny już dziś przesuwają niemiecką debatę w kierunku sprzecznym z polskimi interesami – od polityki wobec Ukrainy, przez budżet UE, po przyszłość bezpieczeństwa w Europie.

Jednak kontakty z AfD nie muszą – i nie powinny – zaczynać się na poziomie rządowym. Są parlamenty, landy, samorządy, środowiska eksperckie, fundacje, media i dyplomacja publiczna. Państwo, które prowadzi poważną politykę zagraniczną i obronną, rozmawia nie tylko z tymi, których lubi i chciałoby widzieć przy władzy. Także z tymi innymi, którzy mogą mieć wpływ na jego bezpieczeństwo.

CO ROBIĆ? | Równie ważne jest kreślenie scenariuszy. Co dla Polski oznaczałby udział AfD w rządzie federalnym? Jak zmieniłoby się stanowisko Niemiec wobec Rosji, Ukrainy, NATO, obecności wojskowej USA? Co oznaczałaby zmiana polityki europejskiej Berlina? Jakie skutki miałoby to dla relacji Polska–Niemcy, a jakie dla Unii? Najgorszy scenariusz rysuje się nie dlatego, że uważa się go za najbardziej realny, ale dlatego, że jego skutki mogą być najpoważniejsze.

Trzeba robić coś jeszcze: przekonywać do własnych racji. Polska polityka wobec Niemiec nie może ograniczać się do obserwowania i komentowania kolejnych wyborów. Powinniśmy próbować wpływać na sposób, w jaki także nowe środowiska polityczne myślą o Polsce, Rosji, Ukrainie, bezpieczeństwie Europy i historii. Nie zawsze będziemy skuteczni. Ale rezygnacja z próby oddziaływania to najgorsza strategia.

W tym sensie lekcja z Schäublego jest aktualna także dla nas. Polityka zaczyna przegrywać, gdy nie dostrzega zmian i usiłuje bronić starego porządku samym przekonaniem, iż nie ma dla niego alternatywy. Jeśli więc niemiecka polityka zmienia się, a partie wcześniej marginalne stają się wpływowe, to nie można liczyć, iż wszystko samo wróci do dawnego układu. Najgorszą odpowiedzią na zmianę jest „więcej tego samego". Albo, jak ujmują to w Niemczech, *weiter so.*

© ANNA KWIATKOWSKA

Autorka pracuje od 2005 r. w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, gdzie stworzyła Zespół Niemiecki, którym do dziś kieruje.

eprasa.pl 1cc070d3f1

Śmierć emigranta

ANNA MAŁASZ

DIASPORA | **Odchodzenie na obcej ziemi, nawet takiej, która dała schronienie, to dla nas, Białorusinów, doświadczenie ciągle nieoswojone. A odchodzi nas wielu: śmierć to jeden z głównych tematów ludzi z mojego pokolenia.**

Zwykła niedziela w centrum Warszawy. Śmiech, strzępy rozmów w różnych językach, beztroska atmosfera. W lokalach przy ulicy Foksal prawie nie ma wolnych stolików. Nad ogródkami unosi się zapach papierosów, na blatach mokre ślady po schłodzonych Aperol Spritz. Przy wejściu do „Amatorskiej" bywalcy niespiesznie dopijają piwo.

Nagle, tuż za ich plecami, z bramy obok wyłaniają się, jedna po drugiej, postacie w czerni. Wracają z pożegnania Swiatłany.

Gdy wiosną 2025 r. wykryto u niej nowotwór w zaawansowanym stadium, polscy Białorusini w trzy godziny zebrali potrzebne 10 tys. euro na jej leczenie. Wydawało się, że ta historia musi skończyć się dobrze. Jednak 20 lipca 2026 r. Swiatłana Kurs zmarła.

SWIATŁANA | Miała 54 lata. Znana pod literackim pseudonimem Ewa Wieżnawiec, była jedną z najbardziej cenionych współczesnych białoruskich pisarek.

Zamieszkała od ok. 20 lat w Polsce, jako pierwsza kobieta została uhonorowana Literacką Nagrodą im. Giedroycia. Otrzymała też Nagrodę Wolnego Słowa, jej twórczość była nominowana do nagród literackich w Szwecji i Niemczech. Jej książki czytano i na Białorusi, i za granicą, tłumaczone m.in. na angielski, polski, szwedzki, norweski, ukraiński.

Po protestach przeciw sfałszowanym wyborom w 2020 r. i fali represji, która po nich nastąpiła, Swiatłana znalazła się w gronie stu kilkudziesięciu tysięcy obywatelek i obywateli Białorusi żyjących dziś w Polsce, dla których droga do domu jest zamknięta.

Pracowała jako dziennikarka, tłumaczyła książki, współpracowała z teatrami. Po pandemii na pewien czas odłożyła dziennikarstwo i została opiekunką osób starszych oraz ciężko chorych. Później przyznała, że była to świadoma decyzja: chciała tak oswoić własny lęk przed starzeniem się i śmiercią.

Ostatni raz widziałam ją w listopadzie 2025 r., podczas jej spotkania autorskiego w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Do kości białoruska, z głową ogoloną po chemioterapii, w granatowej sukience w drobne gwiazdki, całą swoją mową ciała mówiła: „Będę żyć".

ŻAŁOBA | Po mszy żałobnej w kościele na Placu Trzech Krzyży pisarkę żegnano w Muzeum Wolnej Białorusi przy ulicy Foksal. Tego dnia nazwa muzeum brzmiała jak gorzka ironia. Jakby tę wymarzoną Białoruś można było dziś zobaczyć już tylko tutaj, w jego murach.

– Jezu, jak ja nie chciałem tu przychodzić – mówi nam kolega, niezależny wydawca, wychodząc z Muzeum.

– Wiesz, byłam tylko dlatego, że mąż robił zdjęcia. Inaczej zostałabym w domu – odpowiada stojąca obok znajoma pisarka.

Czuję nagłą ulgę. Nie poszłam na pożegnanie. Czekałam na przyjaciół przed wejściem do budynku, w którym odbywała się ceremonia. Nie dlatego, że było mi (ewentualnie nam) wszystko jedno. Po prostu nie miałam już siły na kolejny ból.

– Żałoba, żałoba, żałoba. *Tak pa kole* [I tak w kółko – red.]. Nie do zniesienia – rzuca ktoś z naszego grona.

Mija nas bloger, dziennikarz sportowy Alaksandr Iwulin. Ciężko wzdycha, przeciera twarz ręką. Kilka miesięcy temu w Warszawie pożegnał przyjaciela: Mikitę Miełkazioraua, młodą gwiazdę wywiadów, jednego z najbardziej rozpoznawalnych białoruskich dziennikarzy na emigracji. Jego kanał na YouTubie „Żyzń malina" stał się jednym z miejsc, gdzie emigracja mogła ze sobą rozmawiać, żartować, wspominać i opowiadać o sobie. Miełkaziorau angażował się również w popularyzację języka i kultury białoruskiej.

NIEWIDOCZNI | Mikita miał 37 lat. Zmarł nagle nocą z 20 na 21 grudnia 2025 r. Wiadomość o tej śmierci tuż przed świętami, które kojarzą się z cudem narodzin nowego życia oraz z nadzieją, wstrząsnęła białoruską społecznością. Kilka miesięcy później jego żona, 30-letnia Lina Capawa, nabrała sił, by opublikować podkast, w którym opowiedziała o nocy, gdy znalazła męża w łazience.

Mówiła: „Przez około 40 minut próbowali go reanimować. Miałam kompletnie popieprzoną babę-lekarkę (...). Mówiła: »Co ty stoisz? Ubieraj się«. Była druga-trzecia w nocy. Oczywiście miałam na sobie tylko koszulkę do spania i majtki. Ja po prostu próbowałam ratować męża. Nie miałam głowy do szukania spodni. A ona: »Teraz pojedziemy do szpitala«. Mija pięć minut, robi jakieś defibrylacje. I nagle: »Ojej, już po wszystkim. Po co się ubrałaś?«. A potem do trzech mężczyzn z ekipy: »Dobra, zwijajcie się. Już sztywny«. »Sztywny« – nie wiem, jak to



Pożegnanie Swiatłany Kurs w kościele na Placu Trzech Krzyży. Warszawa, 26 lipca 2026 r.

eprasa.pl 1cc070d3f1

po naszemu. To słowo do dziś siedzi mi w głowie".

Lina dalej: „Kompletnie nie rozumiem, co się dzieje. Nie mam łez, jestem po prostu w szoku. Ona siada przy stole w salonie, jakby była u siebie. I mówi: »Nie wiem, to już nie moja praca. Zaraz przyjadą służby, wszystko ci powiedzą«. Przy tym widzi, że siedzi przed nią młoda dziewczyna z białoruskim paszportem. Wszyscy po kolei proponują mi, żebym zadzwoniła do rodziny: »Przecież masz tu kogoś. Kogoś tutaj masz, prawda?«".

Także tego nauczyła nas emigracja: nasze największe tragedie często wydarzają się po cichu, gdzieś obok. Są „niewidoczne" dla świata, który żyje swoim rytmem. To ciężar, który nosimy w tle codzienności – obok pracy, rachunków, relacji i wszystkich tych zwyczajnych problemów, z których składa się życie.

MOJE POKOLENIE | Jak często słyszymy to słowo w ostatnim czasie: „śmierć". Staramy się do niej przyzwyczaić, nadać jej nowe sensy, oswoić ją – zrobić wszystko, żeby psychicznie było nam choć trochę lżej. Śmierć rozbija, wytrąca z równowagi, poraża niesprawiedliwością.

Błyskawicznie, nie pytając o zgodę, na zawsze zabiera naszych bliskich, a czasem tych najbliższych. Dziś nie zawsze możemy być przy nich do końca, nie zawsze możemy nawet przyjechać na ich pogrzeby – przez dyktatora, który od ponad 32 lat rządzi Białorusią.

W ostatnich latach okazało się, że śmierć może być strasznie młoda. Przychodzi po naszych rówieśników, którzy mieli jeszcze tyle do zrobienia, napisania, powiedzenia. Po tych, którym nie dane było doczekać wolności swojej ojczyzny. Jedni zginęli w białoruskich więzieniach. Inni polegli na froncie w Ukrainie albo zakończyli życie samobójstwem, bo nie poradzili sobie z psychicznymi traumami.

Śmierć stała się jednym z głównych tematów ludzi z mojego pokolenia, tego urodzonego w latach 90. XX wieku.

NA POLSKIEJ ZIEMI | „Mikita Miełkaziorau sprawił, że słowo »śmierć« nabrało dla mnie głębszego znaczenia. Nie było już tylko kolejnym słowem w wiadomościach, ale stało się zrozumiałą emocją. Przez te dziewięć miesięcy zrozumiałem, że śmierć niczego nie zmienia w ocenie człowieka, którego już nie ma. Choćby była, kurwa, zawsze taka sama – absurdalna, przedwczesna i bez niej byłoby lepiej" – napisał na Instagramie Iwulin.

Opublikował tego posta dzień po swoich urodzinach, a w dniu śmierci Alaksandra Milinkiewicza – jednej z kluczowych postaci białoruskiej walki o wolność.



VIYALETA SAUCHYTS

W 2006 r. Milinkiewicz został wspólnym kandydatem demokratycznej opozycji w wyborach prezydenckich i jednym z symboli oporu wobec reżimu Łukaszenki. Człowiek, który przez lata mówił o europejskiej przyszłości Białorusi i o nią ciągle walczył, pod koniec życia sam znalazł się na emigracji.

Ostatnie miesiące upłynęły mu pod znakiem ciężkiej choroby: po operacji tętnicy szyjnej w listopadzie 2025 r. doznał obrzęku mózgu, ciężkich infekcji i przeszedł długą rehabilitację. 11 sierpnia tego roku zmarł w Warszawie, w wieku 79 lat. Pochowano go na Powązkach.

GDZIE SPOCZNIEMY | Nie wiem, ilu Białorusinów łatwo godzi się z myślą, że może umrzeć na obczyźnie. Pół żartem, a może jednak całkiem serio, w naszych rozmowach (a właściwie w rozmowach Białorusinów między sobą) czasem pojawia się „instrukcja": co robić, kiedy kogoś z nas zabraknie. „Jeśli umrę, proszę, żeby ktoś dopilnował, aby moje prochy przewieziono na Białoruś" – sama mówiłam to niejednokrotnie. Bo niby śmierć na emigracji boli podwójnie.

Tymczasem reżim chce decydować także o tym, gdzie spoczniemy.

Przed śmiercią Swiatłana Kurs wyraziła pragnienie, by jej prochy pochowano, jeśli to będzie możliwe, w jej rodzinnej ziemi. Gdy zmarła, a społeczność białoruska w Polsce ogłosiła zbiórkę pieniędzy na pokrycie kosztów przewiezienia urny do wsi Bojanicze (w powiecie lubańskim, w obwodzie mińskim, między Baranowiczami a Bobrujskiem), zareagował reżimowy propagandysta Ryhor Azaronak. Uznał tę zbiórkę za „nowy sposób prowokacji przeciw Białorusi" i stwierdził, że przeciwnicy władz chcą je „zasypać trupami".

Azaronak zastanawiał się, co będzie dalej: „A potem będą urządzać imprezy, demonstracyjnie przynosić kwiaty, publikować zdjęcia? Po co nam to? Trzeba jakoś temu zapobiec. Wariant jest prosty – pozbawić całe to grono zbiegłych szmaciarzy obywatelstwa. Żeby nawet formalnie nie mieli prawa do rodzinnej ziemi. Wybraliście Polskę. Wybraliście Zachód. Niech tam was robaki zjedzą" – napisał na swoim kanale w Telegramie.

Mimo wszystko, Swiatłana wróciła do domu. ©

Autorka jest białoruską dziennikarką, od 2021 r. mieszka w Polsce.



WIARA

MOŻNA UFAĆ BOGU I MIEĆ DO NIEGO ŻAL

Jak głosić homilię pogrzebową, żeby uszanować cierpienie i jednocześnie wzmocnić nadzieję? Najczęstsze błędy kaznodziei.

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK

eprasa.pl 1cc070d3f1



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Procesja w Uroczystość Wszystkich Świętych na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie, 2019 r.

Na początku filmu „Gran Torino" Clinta Eastwooda grany przez niego Walt Kowalski słucha kazania na pogrzebie żony. Młody ksiądz, wyglądający jak cherubinek z tandetnych rzymskich pamiątek, mówi okrągło o śmierci jako doświadczeniu gorzko-słodkim. Walt, który przeżył wojnę, zabijał i ze śmiercią ma własne porachunki, słucha z nieukrywaną irytacją. Później bezlitośnie wypomni duchownemu, że cała jego wiedza o życiu i śmierci pochodzi z teoretycznych formułek wyuczonych w seminarium i ma się nijak do prawdziwego życia...

Przywołuję tę scenę, bo ona znakomicie ilustruje nie tylko uczucia kogoś, kto siedząc obok trumny najbliższej osoby, nie usłyszał tego, czego potrzebował, ale też paradoksalną sytuację kaznodziei. On w tym kontekście pojawia się po to, by mówić o nadziei, która sięga poza śmierć, ku radości zjednoczenia z Bogiem – i ostatecznie – ku zmartwychwstaniu. Tyle że jednocześnie musi uszanować ból słuchaczy, którzy przeżywają stratę – być może najstraszniejszą w życiu. I raczej nie zadowolą się tanim pocieszeniem. A już na pewno nie powinni być narażeni na bezduszne igranie z cierpieniem.

Każdy żegna się inaczej

Do tego złożonego już obrazu trzeba jednak dodać kolejną perspektywę. Kaznodzieja nie ma dostępu do przeżyć wszystkich zgromadzonych. Nawet gdy dobrze znał zmarłą osobę, to jednak nie poznał dogłębnie każdej jej relacji. Nie ma dostępu ani do wszystkich wspaniałych wspólnych doświadczeń, ani do każdej z ran zadanych bliższym lub dalszym jej osobom. Nie potrafi też wypowiedzieć nawet jednego zdania, które każdy zrozumiałby tak samo. To, co jednemu przyniesie ulgę, dla drugiego okaże się zbyt odległe od jego bólu i wręcz raniące, a kogoś innego w ogóle nie poruszy. Można od księdza oczekiwać przygotowania, uważności i poważnego potraktowania ludzkiego cierpienia. Trudno natomiast oczekiwać, że dokładnie rozpozna potrzebę każdego słuchacza i ją zaspokoi. Tego się po prostu nie da zrobić.

Nie chodzi przy tym o usprawiedliwienie bylejakości, tylko o rozróżnienie między zaniedbaniem a bezradnością, której nie usunie nawet największy wysiłek czy latami gromadzone doświadczenie. Źle się dzieje, gdy kaznodzieja nie próbuje empatycznie zrozumieć, do kogo mówi. Ale sam fakt, że ktoś nie usłyszał w homilii potrzebnych mu słów, jeszcze takiego zaniedbania nie dowodzi.

Nie sądzę też, żeby prawo do przemawiania do ludzi przeżywających stratę zdobywało się dopiero po osiągnięciu odpowiedniego wieku albo po zgromadzeniu dostatecznie bolesnych doświadczeń. Ani młody ksiądz czy diakon nie jest skazany na recytowanie pustych formułek, ani starszemu doświadczenie nie gwarantuje empatii. Klucz leży chyba gdzie indziej: w rzeczywistej, szczerej gotowości księdza do emocjonalnego zestrojenia się z doświadczeniem bliskich zmarłego oraz w odczytaniu Dobrej Nowiny w odniesieniu do tego konkretnego doświadczenia.

Najpierw posłuchać

Takie zestrojenie najtrudniejsze jest wtedy, gdy odprawiający nie miał wcześniej kontaktu ani ze zmarłym, ani z jego bliskimi. To głównie problem miast, gdzie nierzadko duchowny przypisywany jest do odprawienia „z rozdzielnika", a osoba zmarła i jej bliscy są z innej parafii. W mniejszych wspólnotach jest łatwiej, bo wtedy proces prowadzący do dobrej homilii może zacząć się już w momencie ustalania szczegółów związanych z pogrzebem. A czasem i wcześniej: przez towarzyszenie w chorobie czy agonii – choćby przez samą posługę sakramentalną. Dlatego dobrze jest, jeśli zgłoszenie pogrzebu przyjmuje ten ksiądz, który potem będzie go odprawiał. Rozmowa z rodziną daje coś, czego nie zastąpi przekazana współbratu kartka z nazwiskiem i kilkoma informacjami o zmarłym: pozwala choć trochę rozpoznać, w jakim momencie przeżywania straty są ludzie, do których przyjdzie mu przemawiać. Zatem i to, jaki aspekt Dobrej Nowiny warto zaakcentować w homilii.

W takich rozmowach wypływają nieraz kluczowe wątki. Że syn nie zdążył się pożegnać. Że żona przez ostatnie miesiące niemal nie spała. Że ktoś jest wściekły na Boga. Albo że zmarły pozostawił po sobie nie tylko wdzięczność i dobre wspomnienia. Taka wiedza zabezpiecza kaznodzieję przed najgorszymi błędami. Jednocześnie styl tej rozmowy daje bliskim możliwość oswojenia się z księdzem, który poprowadzi pogrzeb. Dobre doświadczenie w kancelarii często rozlewa się potem na liturgię. Ludzie inaczej słuchają kaznodziei, który najpierw ich wysłuchał. To aż tak proste i jednocześnie aż tak trudne.

Głoszenie nadziei

Z mojego doświadczenia wynika, że warto w czasie tej rozmowy uświadomić bliskim, że homilia pogrzebowa nie ma być opowieścią o zmarłym. Bliscy coraz częściej – jak mi się wydaje – tego oczekują. I to delikatny moment. Homilia ma być ogłoszeniem Dobrej Nowiny wobec, ale też i trochę na przekór śmierci. Na tym ma polegać „pociecha płynąca z wiary". Zadaniem kaznodziei nie jest natomiast na przykład zmniejszanie ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ poczucia winy bliskich poprzez wyliczanie ich zasług wobec zmarłej osoby.

Nie wynika z tego oczywiście kategoryczny zakaz wspominania zmarłego. Imię, konkretne dobro, za które bliscy chcą podziękować, rzetelnie przywołany szczegół życia mogą być bardzo na miejscu. Przecież modlimy się za tę konkretną osobę, a nie za człowieka w ogóle. Istotniejszym jednak zadaniem kaznodziei jest odpowiedni do sytuacji wybór czytań liturgii pogrzebowej, które rozwijać będzie homilia. Dobrze jest, gdy w tym wyborze uczestniczy rodzina, bo wtedy naprowadza kaznodzieję na to, co do bliskich przemawia. Niestety nie każdy pogrzeb można przygotowywać przez kilka dni, pozostając w kontakcie z bliskimi. Im mniejszy kontakt, tym większa pokusa powielenia starego, „sprawdzonego" kazania.

Obietnica i smutek

W gruncie rzeczy nadzieję głosimy na pogrzebie wbrew doświadczeniu śmierci. A nawet na przekór i na złość temu doświadczeniu. To ważne, bo w żałobnym języku zdarza nam się zacierać ostrość tego zderzenia. Śmierć jest obecna, namacalna przez trumnę czy urnę, w której za chwilę złożymy do grobu to, co zostało z ludzkiego życia. Przed nieobecnością nie uchroni już medycyna, nie powstrzyma jej żaden wysiłek bliskich – choćby kochali najgłębiej. Ze śmierci, z tego, co właśnie widzimy, w czym uczestniczymy, nie da się wprost wyprowadzić nadziei.

Wierzący kaznodzieja ufa mocy słowa Bożego. Wiem, to mocna teza, ale trzeba ją przywołać, gdy myślimy o stylu głoszenia w ogóle, a w obliczu śmierci w szczególności. Konsekwencją takiego zaufania jest głoszenie koncentrujące się na wzmocnieniu tego, co wybrzmiewa w biblijnych tekstach, a bywa niestety przeoczane przez słuchaczy. Weźmy na przykład historię wskrzeszenia Łazarza. A właściwie to, co dzieje się przed jego wskrzeszeniem. Marta, a potem Maria mówią Jezusowi, że gdyby tu był, ich brat by nie umarł. Trudno nie usłyszeć w tych słowach wyrzutu. Ale jest w nich także wiara: przecież właśnie od Niego spodziewały się ratunku. Jedno z drugim się splata, tak jak nieraz splata się w rozedrganych emocjach człowieka, który nie potrafi zrozumieć, dlaczego Bóg nie ocalił najbliższej mu osoby. Jezus nie kwestionuje takich uczuć. Rozmawia z Martą o zmartwychwstaniu, wskazuje na siebie jako źródło życia. A potem płacze. W jednej scenie mieszczą się zatem najmocniejsza obietnica i łzy po śmierci przyjaciela.

Nadzieja zmartwychwstania nie usuwa automatycznie bólu straty. Można szczerze wierzyć w życie wieczne i nie wiedzieć, jak przeżyć najbliższy dzień w żałobie. Można ufać Bogu i mieć do Niego żal. W Ewangelii te doświadczenia nie zostały starannie porozdzielane, jakby należały do różnych kategorii ludzi: wierzących i niewierzących, dojrzałych i niedojrzałych. Tym bardziej nie powinniśmy takiego podziału wytwarzać albo umacniać nad czyjąś trumną. Sam często sięgam na pogrzebach do fragmentu z Pierwszego Listu do Tesaloniczan, w którym Paweł zachęca, by nie smucić się jak ci, którzy nie mają nadziei. Apostoł nie wyklucza smutku. Nie każe zmuszać się (a tym bardziej innych) do radości w obliczu straty. Ale też na smutku nie kończy: wskazuje na śmierć i zmartwychwstanie Jezusa jako rękojmię oczekiwania, że także zmarli będą z Nim żyli. O to chodzi w Jego pocieszeniu. Nie o ustanowienie religijnej normy przeżywania żałoby, której przekroczenie świadczyłoby o niedostatku wiary. I nie o stwierdzenie, że poza chrześcijaństwem ludzie nie mają żadnej nadziei.

Pocieszanie może ranić

Niestety nieraz nad tym zniuansowanym podejściem górę biorą narzucające się kulturowo – bo świadomie nie chcę tu użyć słowa „tradycyjnie" – frazesy. Choćby zdanie „o zabraniu człowieka przez Boga do siebie" może w intencji kaznodziei wyrażać zaufanie do Bożej opieki, a dla rodziców stojących przy trumnie dziecka dociera nieraz jako informacja, że to Bóg spowodował ich nieszczęście. Nie sposób przewidzieć wszystkich skojarzeń słuchaczy. Można jednak rozpoznać przynajmniej niektóre, zadomowione niestety w „urzędowym języku żałoby". Bo co to właściwie znaczy, że „Bóg potrzebował go u siebie", albo że „zabiera najlepszych". Zapewne wypowiadający te zdania chcą dobrze. Tylko co właściwie mówią o Bogu? Że czyjaś dobroć zwiększa prawdopodobieństwo przedwczesnej śmierci? Kiedy konfrontujemy się z rzeczywistym sensem zamaskowanym nieraz przez przyzwyczajenie do tych sformułowań, ich pocieszająca moc staje się co najmniej wątpliwa.

Zapewnienie, że zmarły będzie żył w naszej pamięci, nie wystarcza za treść chrześcijańskiej homilii. Pamięć jest cenna. Tyle że ci, którzy pamiętają, także umrą. Jeśli przyszłość człowieka miałaby zależeć wyłącznie od trwałości wspomnień, śmierć ostatecznie i tak postawiłaby na swoim. Tymczasem w wyznaniu wiary mówimy o zmartwychwstaniu umarłych. O ocaleniu człowieka, również w jego indywidualnej, niepowtarzalnej, osobowej cielesności, a nie tylko śladów, które pozostawił w świecie i życiu innych.

Osoby przeżywające stratę często poszukują jej sensu i rzeczywiście ulgę przyniosłoby im wyjaśnienie, dlaczego ktoś umarł i to właśnie teraz. Jednak nawet bardzo głęboka wiara w opatrzność nie dostarcza jasnej wiedzy o tym, dlaczego – a tym bardziej po co – ten konkretny człowiek umarł właśnie teraz. Księża nie powinni udawać, że taką wiedzą dysponują. Możemy mówić o Bogu, któremu powierzamy zmarłego, o Jego miłosierdziu i wierności. Możemy przypominać obietnicę Jezusa, że nie odrzuci przychodzącego do Niego człowieka, albo obraz domu Ojca, w którym Chrystus przygotował dla nas miejsce. Objawienie pomaga żywić nadzieję, że Bóg przenosi życie poza śmierć. Tylko tyle. I aż tyle. Nadzieja sięga dalej, ku udziałowi w życiu Boga. Trzeba uczciwie przyznać, że mówimy o rzeczywistości przekraczającej nasze doświadczenie.

Nie wiemy też, jak to się dokona. Obrazy biblijne nie są reportażami z zaświatów. Próbują nimi być niektóre opowiadania z „objawień prywatnych", ale właśnie ze względu na ich charakter powinno się ich unikać w publicznym nauczaniu. Także, choć nie przede wszystkim dlatego, że niektóre przynoszą np. wyszukane opisy mąk piekielnych i łatwo zawarte w tych obrazach przestrogi uznać za relacje spoza zasłony śmierci.

Osobiste świadectwo

Wierzący kaznodzieja pozwala sobie też na „bycie wierzącym". Oczywiście – przewodniczący liturgii pogrzebowej „urzędowo" reprezentuje Kościół z jego wstawiennictwem. Niemniej jest też kon-

eprasa.pl 1cc070d3f1

kretną osobą, ze swoją historią wiary, nadziei i miłości. Ze swoim doświadczeniem strat i mierzenia się z nimi. W homilii jest przestrzeń na osobiste świadectwo kaznodziei i wydaje mi się, że w trakcie pogrzebu ma to szczególne znaczenie. Można poprawnie przedstawić naukę Kościoła, a zarazem przez całe czas ani na chwilę nie wyjść zza osłony bezosobowych stwierdzeń i technicznych terminów. Odsłonienie się jest o wiele trudniejsze, bo zakłada bolesną autorefleksję: mnie śmierć też dotyczy. I moich bliskich, i mnie osobiście. I też mam, miałem, miewiam wobec niej rozterki. I też się już wadziłem o nią z Bogiem. I ja sam potrzebuję nadziei. Umrę. Moi bliscy umarli, lub umierają, lub umrą...

Nie namawiam bynajmniej do opowiadania przy tej okazji własnego życia. Cudza żałoba nie powinna być sposobnością do skupiania uwagi na własnych przeżyciach duchownego, co w przypadkach skrajnych może wyrodzić się wręcz w pewien rodzaj duchowego pasożytnictwa. Chodzi o to, żeby za wypowiedzianymi słowami stanął ktoś żywy. „Wierzę, że Chrystus zmartwychwstał. Wierzę, że przyjął do siebie mojego zmarłego tatę. Tak samo wierzę, że przyjmie N., którą dzisiaj żegnamy".

Nie wymaga to też odgrywania niewzruszonej pewności wiary. Nadzieja potrafi się zmagać z pytaniami, na które nie znajdujemy żadnej prostej odpowiedzi. Szczególnie gdy umiera dziecko, gdy śmierć przychodzi nagle, gdy jest skutkiem przemocy. Kaznodzieja nie musi obciążać słuchaczy swoimi zmaganiami, ale nie powinien też udawać, że wszystko jest dla niego jasne i proste. Wyznanie „wierzę" może paść obok „nie rozumiem" albo „nie radzę sobie z bólem". Wtedy bodaj najlepiej słychać, że chodzi o zaufanie Bogu, a nie o posiadanie logicznie spójnego i intelektualnie satysfakcjonującego wyjaśnienia.

Niekoniecznie wspólnota nadziei

Świadectwo pozostawia też słuchaczowi pewną przestrzeń. Można się z nim utożsamić lub nie. A przecież wśród obecnych na pogrzebie prawie na pewno – zwłaszcza w miastach – są osoby niewierzące, wyznawcy innych religii, ludzie skrzywdzeni przez przedstawicieli Kościoła albo tacy, którzy od dawna nie potrafią określić swojego stosunku do wiary. Dlatego

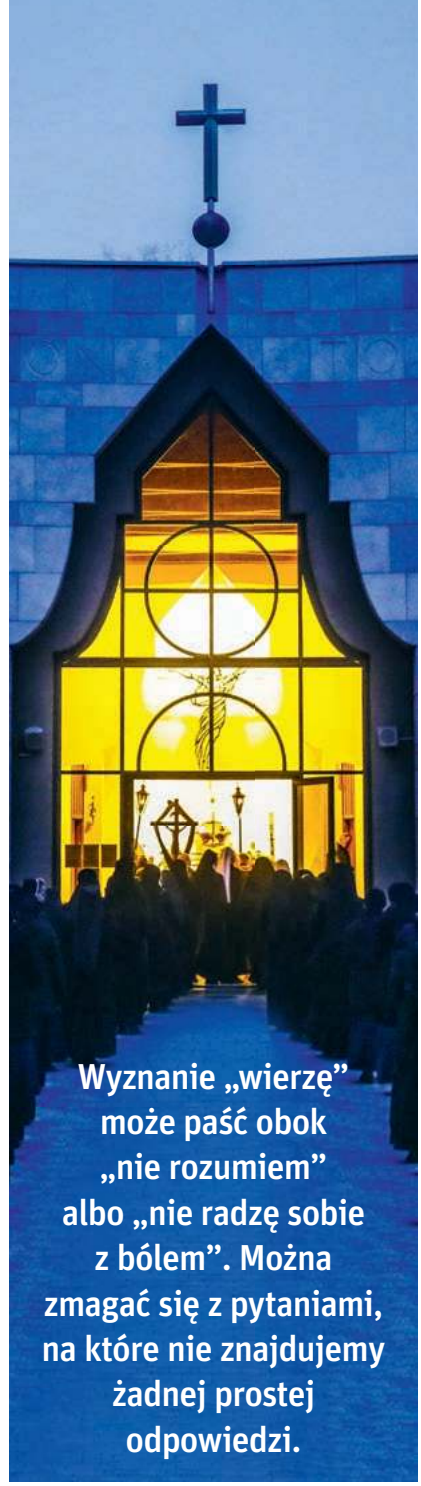

Wyznanie „wierzę" może paść obok „nie rozumiem" albo „nie radzę sobie z bólem". Można zmagać się z pytaniami, na które nie znajdujemy żadnej prostej odpowiedzi.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

zdania typu „wszyscy przecież wierzymy" są nadużyciem. Nie wszyscy zgromadzeni wierzą w zmartwychwstanie Chrystusa. Nie wszyscy mają nadzieję na zmartwychwstanie własne i bliskich. Wspólne jest raczej tylko doświadczenie kruchości i bezradności wobec samej śmierci. Osobiste „wierzę" pozwala powiedzieć dokładnie to, co chcemy powiedzieć, bez przypisywania innym własnych przekonań.

Należy jednak unikać też pokusy biegunowo odmiennej: ucieczki w stronę wypowiedzi religijnie neutralnej, dopasowanej do światopoglądów wszystkich zgromadzonych. Uczciwość wobec niewierzącego słuchacza polega także na tym, by jasno powiedzieć, skąd bierze się nadzieja, którą głosimy. Nie musi jej podzielać, żeby potraktować te słowa jako świadectwo. Kaznodzieja zaś nie musi rezygnować z kluczowych treści własnej wiary, żeby uszanować człowieka, który jej nie przyjmuje. Powinien natomiast mówić tak, żeby ów człowiek miał szansę zrozumieć, dlaczego czytamy przy trumnie o zmartwychwstałym lub wskrzeszającym Jezusie, czego oczekujemy od Boga i po co modlimy się za zmarłego.

Ten kierunek też nie jest wolny od kaznodziejskich pokus. Skoro w kościele pojawili się ludzie, których zwykle w nim nie widujemy, chciałoby się skorzystać z okazji. Przypomnieć o praktykach religijnych, skorygować wybory życiowe, rozliczyć nieobecność. W efekcie człowiek, który przyszedł pożegnać matkę, dowiaduje się, co kaznodzieja sądzi o jego pokoleniu. Efekty takich „ewangelizacyjnych" epizodów bywają dokładnie przeciwne do zamierzonych.

Ważne są też gesty

Nie każdy ból uda się choćby odrobinę ukoić – zwłaszcza samą tylko homilią. Obietnica zmartwychwstania nie jest środkiem doraźnie znieczulającym, a natychmiastowa ulga słuchaczy w ogóle nie jest miarą dobrego kazania. Człowiek może wyjść z kościoła równie zrozpaczony, jak do niego wszedł, choć usłyszane treści będą w nim pracować – mocą Bożego Ducha – jeszcze przez długi czas.

Poza tym na przyswojenie świadectwa przekazanego w homilii duży wpływ ma to, co się wydarzy później – styl, w jakim poprowadzona będzie dalsza część pogrzebu, aż po pożegnanie z rodziną i odejście od grobu. Wiarygodność słów potwierdza lub neguje potem choćby kontakt wzrokowy, tempo naszych ruchów, ton głosu, dotyk przy podaniu ręki. Bliscy mogą niewiele zapamiętać z kazania, a bardzo dobrze uchwycić, że ksiądz się spieszył, był rozkojarzony, unikał kontaktu. Albo przeciwnie – że zaczekał z rozpoczęciem modlitwy przy grobie, aż ktoś mniej sprawny dojdzie na miejsce. I że nie sprawiał wtedy wrażenia człowieka myślącego już o następnym pogrzebie. Nadzieję sieje się nie tylko słowem.

To aż takie proste. I aż takie trudne.

© KS. GRZEGORZ STRZELCZYK

eprasa.pl 1cc070d3f1



MARK FELIX / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Kaznodzieja James Talarico, kandydat do Senatu USA z ramienia Partii Demokratycznej, podczas marszu z okazji święta wolności Afroamerykanów w Teksasie, Fort Worth, 19 czerwca 2026 r.

Z kościoła do senatu

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | W listopadowych wyborach Republikanie mogą stracić nie tylko kontrolę w Kongresie. Także monopol na sojusz z religijną Ameryką.

Dokonania Adama Hamiltona, pastora z przedmieść Kansas City, można przedstawić w liczbach: ponad 30 książek, 82 tys. obserwujących na Facebooku oraz największy zbór Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego w USA, którym kieruje od ponad 35 lat. Do Church of the Resurrection działającego w trzech stanach – Kansas, Ohio i Missouri – należy 24 tys. wiernych.

Do tej listy można też dodać najnowsze osiągnięcie: Hamilton jako pierwszy Demokrata od niemal stu lat ma szansę wygrać walkę o Senat w rolniczym, republikańskim Kansas. Pastor znany do tej pory z kazań, książek i podkastów, według niektórych sondaży idzie łeb w łeb z republikańskim senatorem Rogerem Marshallem. Jak ważny jest to wyścig dla rozkładu sił w odległym o 1700 kilometrów Kongresie, pokazują też pieniądze. Na ostatniej prostej przed wyborami 3 listopada Republikanie i Demokraci pompują grube miliony dolarów w spoty kampanijne wspierające ich kandydata do Senatu.

Partia Republikańska, obawiając się porażki w Kansas, gdzie jeszcze dwa lata temu Trump wygrał z dwucyfrową przewagą, bombarduje ten stan także swoją obecnością. W połowie września katolik i wiceprezydent JD Vance przekonywał mieszkańców Kansas, że poglądy pastora Hamiltona to „lewicowy radykalizm ubrany w szaty naszej (chrześcijańskiej) religii", a jego Kościół finansuje paradę równości (Kansas City PrideFest). Miesiąc później Trump na wiecu w Wichita grzmiał, że Hamilton to „szaleniec z radykalnej lewicy", który „otwarcie wyśmiewa Jezusa" i kryje pedofilów (nawiązując do oskarżeń o niewyjaśnienie oskarżeń wobec jednego z opiekunów na kościelnym obozie 20 lat temu).

Dwa w jednym

Adam Hamilton – dziś jeden z najbardziej znienawidzonych przez amerykańską prawicę pastorów – pozostaje wobec takich ataków niewzruszony. W przerwie od powtarzania, że waszyngtońskie elity odkleiły się od problemów zwykłych ludzi, często mówi o swojej wierze. Tak jak podczas październikowego wywiadu dla ABC News, gdy w typowym amerykańskim barze ze skórzanymi kanapami tłumaczył, że zaczyna dzień od modlitwy i czytania Biblii, którą nosi zawsze przy sobie. Także na spotkania z wyborcami, gdzie zdarza mu się cytować z pamięci fragmenty Pisma Świętego.

Na czas kampanii Hamilton nie zrezygnował całkowicie z obowiązków pastorskich: odwiedza chorych w szpitalach i pisze cotygodniową wiadomość do wiernych, publikowaną na stronie inter-

eprasa.pl 1cc070d3f1

netowej zboru. Chociażby w „Liście od pastora Adama" z 9 października, czyli niecały miesiąc przed wyborami, można przeczytać, jak Hamilton zachęca do kupienia gadżetów, np. T-shirtów z napisem „*Love One Another*" (Kochajcie się wzajemnie), oraz dziękuje wiernym za wspieranie akcji dożywiania najbiedniejszych. Chciałby dalej pozostać aktywny w założonym przez siebie megakościele, nawet jeśli wygra bój o Senat. Nie byłby tu zresztą pierwszy. Obowiązki polityczne i religijne łączy dziś zasiadający w Senacie czarnoskóry pastor baptystyczny z Georgii Raphael Warnock.

Dobry Samarytanin

Adam Hamilton należy do rekordowo dużej grupy pastorów, seminarzystów i byłych duchownych ubiegających się o urząd federalny z ramienia Partii Demokratycznej. W sumie startowało co najmniej 12 takich kandydatów, z czego 9 zakwalifikowało się do listopadowej batalii o Kongres. I tak w Teksasie o fotel senatora walczy 37-letni polityk i prezbiteriański seminarzysta James Talarico. W rolniczym Iowa o mandat kongresmena ubiegają się luterańska pastorka i pastorka Kościoła prezbiteriańskiego. W Missouri o reelekcję stara się kongresmen i były pastor Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego. W Teksasie, Tennessee i Arkansas również o miejsce w izbie niższej, czyli Izbie Reprezentantów, walczą kolejno prominentny pastor baptystyczny z Dallas, była pastorka Kościoła metodystycznego, założyciel progresywnej wspólnoty chrześcijańskiej Vintage Fellowship oraz... inżynier jądrowy i pastor baptystyczny w jednym.

W obliczu frustracji związanej z rządami Trumpa i wysokimi cenami benzyny, listopadowe wybory stały się zaciekłą batalią mogącą pozbawić Republikanów od dawna zajmowanych mandatów. Według sondaży pastorzy i seminarzyści Demokraci mają szansę na zwycięstwo nie tylko w Kansas, ale także m.in. w republikańskim Teksasie czy Iowa, gdzie rolnicy, i nie tylko, dostali po kieszeni przez wojny celne Białego Domu oraz wzrost cen nawozów i paliw, wywindowanych przez wojnę z Iranem.

Część pastorów Demokratów twierdzi, że weszli do polityki z moralnego obowiązku, widząc, jaki wpływ na życie ludzi mają rządy Trumpa i działających pod jego dyktando Republikanów. Kandydaci często odwołują się przy tym do biblijnej przypowieści o Dobrym Samarytaninie. Tak jak Lindsay James, prezbiteriańska pastorka z Iowa, która twierdzi, że najwyższa pora „wysłać" do Waszyngtonu osobę kierującą się wartościami moralnymi i odwagą, by walczyć z korupcją. James powtarza, że zdecydowała się na start w wyścigu, gdy Republikanie przegłosowali w Kongresie cięcia funduszy na opiekę zdrowotną dla najbiedniejszych. A to uderzyło m.in. w mieszkańców wsi w Iowa. Z kolei Frederick Haynes III, teksański pastor baptystyczny z ponad 40-letnim stażem, mówi, że impulsem dla niego było majstrowanie Republikanów przy granicach okręgów wyborczych. W Teksasie rozrysowali nową mapę tak, by mieć szansę na odbicie Demokratom pięciu dodatkowych mandatów w Izbie Reprezentantów.

Siedlisko nacjonalizmu

Startujący w wyborach pastorzy i seminarzyści opowiadają się też przeciwko aliansowi Trumpa i Partii Republikańskiej z ruchem chrześcijańskich nacjonalistów, którzy dążą do zniesienia rozdziału Kościoła od państwa. Do grona zagorzałych krytyków tego ruchu należą wspomniany pastor Adam Hamilton oraz James Talarico z Teksasu, który twierdzi, że Departament Obrony pod wodzą sekretarza Pete'a Hegsetha stał się siedliskiem chrześcijańskiego nacjonalizmu (w Pentagonie cyklicznie organizowane są nabożeństwa, a w komunikatach i social mediach resortu nie brakuje religijnej retoryki). „Wiara odgrywa kluczową rolę w moim życiu. Wiem jednak również, że najniebezpieczniejszą formą rządów jest teokracja, ponieważ jedyną rzeczą gorszą od tyrana jest tyran, który uważa, że wypełnia misję zleconą mu przez Boga" – mówił Talarico na jednym z wieców.

Demokrata działa tu w kontrze do swojego rywala – Republikanina Kena Paxtona głoszącego, że chce ochronić Teksas przed „radykalną lewicą", a naczelnym priorytetem powinna być ochrona wartości chrześcijańskich. Jako prokurator generalny Teksasu Paxton pozwał dystrykty szkolne, gdzie ociągano się z wywieszeniem Dziesięciu Przykazań w klasach (taki obowiązek na placówki nałożył w zeszłym roku teksański parlament).

Najpierw Carter, potem Reagan

Wysyp duchownych startujących w barwach Partii Demokratycznej przeczy dotychczasowej dynamice wyborczej. Przez ostatnie dekady liderzy religijni wchodzili do polityki w sojuszu z Republikanami (mówimy o białych duchownych, bo czarnoskórym pastorom zawsze było bliżej do Demokratów). W ostatnim półwieczu tylko trzech białych duchownych z ramienia Partii Demokratycznej dostało się do Kongresu: jednym z nich był Bob Edgar, pastor Kościoła metodystycznego z Pensylwanii, pozostali dwaj to księża katoliccy Robert Drinan z Massachusetts i Robert John Cornell z Wisconsin. Ci dwaj startowali w wyborach, zanim papież Jan Paweł II zakazał duchownym sprawowania urzędów publicznych, z którymi łączy się udział w wykonywaniu władzy świeckiej.

W tym samym czasie białym konserwatywnym chrześcijanom, a w szczególności ewangelikanom, coraz bliżej było do Partii Republikańskiej. Ci sami wyborcy, którzy jeszcze w 1976 r. pomogli zdobyć prezydenturę Demokracie Jimmy'emu Carterowi, cztery lata później stanęli murem za republikańskim kandydatem Ronaldem Reaganem. Niektórym konserwatywnym Amerykanom, szczególnie tym z Południa, nie spodobało się, że Carter baptysta popierał przepisy zakazujące dyskryminacji ze względu na płeć i nie potępiał aborcji, choć prywatnie nie był zwolennikiem przerywania ciąży. Dla niektórych to było za wiele: w 1980 r. uznali oni, że rozwodnik Ronald Reagan będzie lepszym narzędziem do obrony konserwatywnych wartości. Kluczową rolę w mobilizacji chrześcijan ewangelikalnych na rzecz Reagana odegrał Jerry Falwell, teleewangelista i lider organizacji Moral Majority (Moralna Większość), powstałej w kontrze do liberalnych reform postępujących od lat 60. i 70. XX w. To oficjalna wersja. Być może Falwell nie zaangażowałby się tak mocno w politykę, gdyby amerykańska skarbówka nie zaczęła odbierać przywilejów podatkowych prywatnym szkołom wyznaniowym, które łamały zakaz dyskryminacji rasowej. Według historyka Randalla Balmera to właśnie ta kwestia, a nie sprzeciw wobec aborcji, napędziła powstanie religijnej prawicy trzymającej dziś z innym rozwodnikiem – Donaldem Trumpem. ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

Duchowni na ulicach

↦ Tegoroczne wybory do Kongresu pokażą, na ile pastorzy z Partii Demokratycznej są w stanie podkraść Republikanom religijnych wyborców. Choć nie będzie to łatwe, bo kandydatów wywodzących się w dużej mierze z protestantyzmu głównego nurtu charakteryzuje progresywne podejście do teologii i kwestii obyczajowych: kładą nacisk na pomoc ubogim, są za dostępem do aborcji, sprzeciwiają się dyskryminacji osób LGBT, a niektórzy dopuszczają ordynację kobiet i osób homoseksualnych. Sam fakt, że w wyścigu do Kongresu więcej pastorów (czynnych lub byłych) startuje w barwach Partii Demokratycznej niż Republikańskiej (9 kontra 3), jest już nietypowy. Podobnie jak to, że do walki stanęło wielu kandydatów powiązanych z protestantyzmem głównego nurtu. Dla niektórych jest to sygnał, że grupa Kościołów protestanckich, niegdyś kluczowa dla amerykańskiej kultury i polityki, znów zyskuje na znaczeniu.

Choć za wcześnie na takie tezy, to jednak bez wątpienia duchowni w USA wchodzą na wyższy poziom antytrumpowskiego aktywizmu. Już za jego pierwszej prezydentury tworzyły się nietypowe koalicje: czarnoskórych i latynoskich pastorów, imamów, rabinów, biskupek-lesbijek i buddystów – ramię w ramię organizujących protesty i skarżących w sądzie reformy wprowadzane przez Biały Dom.

Na ambonie i lotnisku

Druga prezydentura Trumpa, rozpoczęta obietnicą masowych deportacji nielegalnych imigrantów, wymusiła bardziej zdecydowane działania. Zaczęło się 21 stycznia 2025 r. od pamiętnego kazania Mariann Budde, biskupki Kościoła episkopalnego, która podczas nabożeństwa w waszyngtońskiej katedrze wezwała nowo zaprzysiężonego prezydenta do okazania miłosierdzia imigrantom i osobom LGBT. Dokładnie rok później liderów religijnych nie zabrakło podczas głośnych demonstracji w Minneapolis przeciwko łapankom nielegalnych imigrantów. Około setki duchownych aresztowano, gdy protestowali na międzynarodowym lotnisku Minneapolis-St. Paul, skąd odlatywały samoloty deportacyjne z imigrantami na pokładzie. Liderzy religijni towarzyszą nawet cudzoziemcom podczas ich wizyt w sądach imigracyjnych (tam też dochodzi do łapanek) oraz organizują protesty przy ośrodkach ICE, gdzie trafiają cudzoziemcy zatrzymani przez służby imigracyjno-celne. Pastorzy nierzadko filmują działania ICE i starają się interweniować, gdy agenci aresztują członków ich kongregacji.

> Liderów religijnych nie zabrakło podczas demonstracji przeciwko łapankom nielegalnych imigrantów. **Około setki z nich aresztowano,** gdy protestowali na lotnisku Minneapolis.

W zeszłym roku w całych Stanach niezgodę na deportacje imigrantów manifestowano także za pomocą... szopek bożonarodzeniowych. Przed jednym z kościołów na przedmieściach Chicago umieszczono figurkę dzieciątka Jezus z rękami związanymi opaskami zaciskowymi. Figurka owinięta była też w folię przypominającą koc termiczny, jaki dostają imigranci przetrzymywani w ośrodkach ICE. Z kolei w katolickiej parafii Świętej Zuzanny w Dedham w stanie Massachusetts przyszykowano szopkę bez Jezusa, Marii i Józefa. Zamiast nich w środku widniał napis „ICE tu było", co sugerowało, że Święta Rodzina została aresztowana. Archidiecezja bostońska potępiła to działanie, wzywając parafię do zdemontowania napisu.

Cała drużyna

Wybory 3 listopada pokażą, czy gniew na działania administracji Trumpa jest w stanie wynieść do Kongresu pastorów Demokratów. Dziś trudno uwierzyć, że jeszcze w 1972 r. niemal 60 proc. białych chrześcijan w USA utożsamiało się z Partią Demokratyczną. Tego wyniku na razie nie uda się powtórzyć, ale jeśli Demokraci podkradną choćby część głosów z tego bloku wyborczego, będzie to duży sukces. Szczególnie nie do pozazdroszczenia jest sytuacja religijnych wyborców w Teksasie. Mogą albo zagłosować na prezbiteriańskiego seminarzystę Jamesa Talarico, który nie potępia aborcji, albo na Republikanina Kena Paxtona, który trzyma z Trumpem i jest w trakcie rozwodu z żoną, zarzucającą mu cudzołóstwo. W brudnej amerykańskiej polityce i na to jest sposób: w spocie kampanijnym żona Paxtona apeluje do wyborców, by skupili się na „całej drużynie", a nie na „poszczególnych graczach". Czy to skuteczny apel, dowiemy się za kilka dni.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

WARSZAWA, czwartek 29 października godz. 18.00, Międzypokoleniowa Klubokawiarnia DKŚ (ul. Anielewicza 3/5), spotkanie autorskie z Markiem Szymaniakiem wokół książki „Młócka. Reportaże o pracy przyszłości". Spotkanie w ramach Czytelni Klubu „TP" Warszawa. Prowadzenie: Magdalena Dudek.

ŁÓDŹ, piątek 6 listopada o godz. 18.00, Biblioteka TUVIM (ul. Tuwima 46, Łódź), spotkanie z Angeliką Szelągowską-Mironiuk i Martą Zdanowską wokół książki „Księga wyjścia. Jak Polacy odchodzą z Kościoła?"

REZERWUJ CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

eprasa.pl 1cc070d3f1



FRANK BIENEWALD / ALAMY / BE&W

Mnisi buddyjscy przed posągiem leżącego Buddy w pagodzie Som Rong. Wietnam, Soc Trang, 2024 r.

Co się dzieje w mózgu mnicha

KASPER KALINOWSKI

NAUKA | Doświadczonym mnichom wystarczą cztery minuty, by wejść w stan medytacji. Nawet jeśli tuż przedtem celowo się rozpraszali. Badania w wietnamskich klasztorach przeprowadzili polscy naukowcy.

Najpierw była minuta zamartwiania się. Mnisi i mniszki z wietnamskiej tradycji zen Truc Lam mieli podczas badania myśleć o dowolnym problemie, który spędza im sen z powiek. Potem dotknięcie w ramię było sygnałem do rozpoczęcia medytacji. Po czterech minutach badacze porównali zapis fal mózgowych z tym pochodzącym z sesji, którą rozpoczynano bez wcześniejszych rozproszeń. U medytujących z dużym doświadczeniem oba zapisy były niemal identyczne.

Autorzy eksperymentu – Joanna Różycka-Tran, Stanisław Radoń i Marcin Wnuk – nie wykryli też różnic między sesjami czterominutowymi a półtoragodzinnymi. Co może sugerować, że u zaawansowanych mnichów stan medytacyjny staje się dla mózgu czymś naturalnym i nie wymaga już wysiłku. Choć ten wniosek trzeba traktować ostrożnie.

Czym jest zen Truc Lam

Nazwa tej wietnamskiej szkoły buddyzmu znaczy „Bambusowy Gaj". Jej korzenie sięgają XIII w., a współcześnie odnowił ją mistrz Thích Thanh Từ. Adepci tej medytacji mają uważnie śledzić swój oddech – początkowo liczą wdechy i wydechy, od jeden do dziesięciu, z czasem powoli odchodzą od liczenia. Bardziej doświadczeni obserwują pojawiające się myśli, ale nie podążają za nimi, tylko wracają uwagą do oddechu. Praktyka nie ogranicza się do najbardziej tradycyjnej formuły medytacji w pozycji lotosu, bo stosuje się ją także podczas chodzenia, gotowania czy sprzątania.

Dla postronnego obserwatora zen Truc Lam wygląda jak system religijny. Neuropsychologia opisuje go także jako trening uwagi, którego celem jest wyciszenie myśli skupionych na „ja", redukcja lęku oraz rozwój empatii i mądrości przez obecność „tu i teraz".

Mnich w laboratorium

Mnisi buddyjscy, ze względu na swój specyficzny tryb życia, obejmujący tysiące godzin spędzone na medytowaniu, są bardzo interesującymi „obiektami badawczymi" dla współczesnej psychologii. Paul Ekman, jeden z najbardziej wpływowych badaczy emocji, zmarły w 2025 r., przeprowadził z ich udziałem szereg ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ eksperymentów. W jednym z nich mnisi z wieloletnim doświadczeniem w medytowaniu znacznie słabiej reagowali na niespodziewane, wywołujące strach bodźce (głośny sygnał dźwiękowy), które prezentowano im podczas sesji medytacyjnej, niż osoby z grupy kontrolnej – mężczyźni w podobnym wieku bez doświadczeń z medytacją.

Z obserwacji Ekmana wynikało także, że osoby praktykujące medytację ponadprzeciętnie radzą sobie z rozpoznawaniem emocji u innych ludzi (w warunkach laboratoryjnych uczestnicy eksperymentu oglądali przez krótki czas szereg zdjęć twarzy różnych osób, przedstawiających rozmaite wyrazy mimiczne). W książce Daniela Golemana „Emocje destrukcyjne. Jak możemy je przezwyciężyć", będącej zapisem dyskusji między zachodnimi naukowcami a praktykującymi buddystami, na czele z XIV Dalajlamą, Ekman wspomina o dwóch osobach wywodzących się z zachodniej kultury, ale praktykujących medytację buddyjską, które w tego rodzaju teście rozpoznawania emocji wypadły znacznie lepiej niż 5 tys. innych uczestników, wśród których znaleźli się „policjanci, prawnicy, psychiatrzy, urzędnicy celni, sędziowie i agenci wywiadu". Jedną z tych dwóch osób był Francuz Matthieu Ricard, wówczas praktykujący medytację mikrobiolog z Instytutu Pasteura, obecnie mnich buddyjski i jeden z najbliższych współpracowników Dalajlamy.

To być może tylko dowód anegdotyczny, ale obrazuje, jak bardzo zachodnich psychologów zafascynował buddyzm, a przede wszystkim to, jak praktyka medytacyjna wpływa na umysł człowieka – regulację emocji, działanie uwagi i pamięci roboczej, zachowania prospołeczne, a nawet wyobraźnię wzrokową. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat tacy badacze umysłu jak Ekman, Goleman czy Francisco Varela (współzałożyciel Mind and Life Institute, którego celem było inicjowanie dialogu między nauką a buddyzmem) i wielu innych rekrutowali mnichów buddyjskich do swoich badań, a liczba publikacji naukowych opartych na takich badaniach rosła proporcjonalnie do popularności form medytacyjnych w zachodnim kręgu kulturowym. Zwłaszcza tych, które pełnymi garściami czerpią z praktyk buddyjskich, takie jak trening uważności (*mindfulness*).

Mózg w klasztorze

Badanie Różyckej-Tran, Radonia i Wnuka wpisuje się w ten trend, ale zarazem wyróżnia tym, że polscy naukowcy sami wybrali się do wietnamskich klasztorów, by śledzić wpływ medytacji na umysł w warunkach jak najbardziej naturalnych. Wiele wcześniejszych badań z udziałem mnichów odbyło się w laboratoriach, które mogą utrudniać skupienie, dlatego o aktywności mózgu mnichów i mniszek w naturalnym otoczeniu wiadomo stosunkowo niewiele.

To badanie objęło 13 osób z dwóch klasztorów tradycji Truc Lam. W jednym praktykują głównie początkujący, drugi, Akademia Thường Chiếu, jest przeznaczony dla zaawansowanych. Zapis w klasztorach umożliwiło przenośne EEG.

Jak czytać zapis EEG

EEG (elektroencefalografia) to bardzo popularna w psychologii, nieinwazyjna i posiadająca wyśmienitą rozdzielczość czasową (bardzo szybko wyłapuje wszelkie zmiany) technika obrazowania pracy mózgu, która rejestruje elektryczną aktywność neuronów za pomocą elektrod przyłożonych do głowy. Zapis dzieli się na pasma. W największym uproszczeniu można powiedzieć, że fale alfa wiąże się zwykle z odprężeniem przy zachowanej czujności. Fale theta pojawiają się m.in. podczas głębszych stanów medytacyjnych. Fale beta łączy się z aktywnym przetwarzaniem poznawczym i pobudzeniem. (Specjaliści przestrzegają jednak, by nie traktować pasm jako prostych wskaźników stanów psychicznych).

Początkujący i zaawansowani

W obu klasztorach zaobserwowano stabilny wzrost fal alfa, szczególnie w obszarach czołowych. To zgodne z oczekiwaniami: medytacja wywołuje stan łączący głęboki relaks z czujną uwagą.

Największe różnice dotyczyły dynamiki pozostałych pasm. U początkujących spadała moc fal theta i powoli rosła moc fal beta. U zaawansowanych dynamicznie spadała moc fal beta, a powoli rosła moc fal theta i alfa.

Badacze interpretują to jako dwie różne strategie. U zaawansowanych medytacja szybko wycisza pobudzenie i natłok myśli, podczas gdy u adeptów umysł wciąż musi się wysilać, by skupić się na oddechu. Warto pamiętać, że porównano dwie grupy z różnych klasztorów, a nie tych samych ludzi na różnych etapach praktyki.

Zen to nie tylko wyciszenie

W innym badaniu, opublikowanym pod koniec 2025 r. w czasopiśmie „Biological Psychology", ten sam zespół badaczy porównał wietnamskich mnichów z mieszkańcami Warszawy, którzy nigdy wcześniej nie medytowali. Mózgi mnichów wykazywały podczas praktyki większą aktywność fal alfa i theta, ale nie było różnicy w paśmie beta.

Jest to ciekawe, bo w świeckiej medytacji uważności (*mindfulness*) często obserwuje się wyraźny spadek fal beta, a w zen ich poziom pozostał stabilny. Badacze widzą w tym odbicie założeń tej tradycji: celem nie jest bierne wyciszenie, lecz czujna obecność.

Trzeci eksperyment dotyczył zapachów. Trzynastu mniszkom podano bawełnę nasączoną olejkami eterycznymi (mirrą, palo santo, paczulą lub ylang-ylang), by sprawdzić, czy sprzyjają koncentracji. Zapach był intensywniejszy niż kadzidło używane na co dzień. Okazało się, że w dużym natężeniu zapachy, które zwykle pomagają się relaksować, rozpraszały i utrudniały wyciszenie.

Czego badania nie dowodzą

Wyniki badania polskich psychologów potwierdzają wcześniejsze hipotezy o funkcjonowaniu uwagi i pobudzenia podczas medytacji, ale mają wyraźne ograniczenia – przede wszystkim gdy idzie o liczbę osób, które wzięły w nich udział. W badaniach laboratoryjnych można również wykorzystać bardziej zaawansowane urządzenia do EEG niż te, które zawieziono do klasztorów. Na razie trudno więc uznać te wyniki za dowód skuteczności technik zen na przykład w leczeniu zaburzeń psychicznych. Ale możemy być pewni, że w przyszłości naukowcy zbiorą więcej danych – bo na razie nic nie wskazuje na to, by wśród pielgrzymujących do buddyjskich klasztorów miało zabraknąć psychologów.

© KASPER KALINOWSKI
Współpraca: ŁUKASZ KWIATEK

eprasa.pl 1cc070d3f1

O. WACŁAW

Oszajca:
Przede wszystkim życie



Ponoć pewna babcia, co prawda z trudem, ale nakłoniła wnuczka do pójścia do kościoła na wypominki. Wnusio bystrzak, słysząc, jak ksiądz powtarza w kółko: za duszę Kleofasa, za duszę Jana i Elżbiety itd., szepnął: „Babciu, uciekajmy stąd, bo i nas zadusi". I jak tu nie dowierzać Biblii: „Panie nasz, jak sławne jest Twoje imię na całej ziemi! Twoja wspaniałość przewyższa niebiosa. Z ust dzieci i niemowląt odbierasz chwałę na przekór Twoim wrogom"? Jak widać Bogu kontakt z dziećmi wychodzi całkiem udanie, z nami, dorosłymi, idzie Mu znacznie trudniej.

Prawie pół wieku temu została wydana „Instrukcja liturgiczno-duszpasterska Episkopatu o pogrzebie i modlitwach za zmarłych", w której czytamy, że „cały człowiek został odkupiony przez Chrystusa i ma mieć udział w życiu wiecznym, dlatego nie mówimy: »módlmy się za duszę N«, lecz: »módlmy się za zmarłego N«. Z modlitw za zmarłych należy usunąć wezwanie: »za dusze znikąd nie mające ratunku«, »za dusze, za które nikt się nie modli«, ponieważ Kościół w każdej Mszy św. i w Liturgii Godzin poleca Bogu wszystkich zmarłych, a także co roku obchodzi Wspomnienie Wszystkich Wiernych Zmarłych. Można użyć wezwania: »módlmy się za tych zmarłych, których imiona znane są tylko Bogu«, »którzy najwięcej potrzebują modlitwy«, »za których najbliżsi się nie modlą« itp.". To „itp." znalazło się tutaj nie bez powodu, nadal wskazania biskupów pozostają tylko na papierze, nie przejrzeliśmy też pod tym kątem pieśni pogrzebowych i nie tylko. Kliniczny przykład to wielkopostna pieśń, a zwłaszcza refren: „Nie zamykajmy serc, / zbawienia nadszedł czas. / Gdy Chrystus puka w drzwi, / może ostatni raz". Jeśli tak, to co w tej sytuacji zrobić z czyśćcem? Nadal mamy wierzyć, że jest on swoistym więzieniem o złagodzonym reżymie, po którym dostąpimy wiecznej szczęśliwości? Czy nadal Dobrą Nowinę mamy upychać w klatce zakazów i nakazów, zasług i nagród, winy i kary? A śmierć Jezusa traktować jako udobruchanie Boga, uśmierzenie Jego gniewu i śpiewać, że Jezus na krzyżu „Ojcu swojemu już uczynił zadość, / Nam niesie radość"?

Nasz Bóg „gniewem się nie unosi i złego nie pamięta". A ponieważ życie jest trwającym wiecznie darem Jego miłości, nikogo nie szukajmy wśród zmarłych, ale wśród żywych przy domowym i kościelnym stole. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Znaki jedności



„Jezus mówił do tłumów: »gdy ujrzycie chmurę podnoszącą się na zachodzie, zaraz mówicie: Deszcz idzie. I tak się dzieje. A gdy wiatr wieje z południa, powiadacie: Będzie upał. I bywa. Obłudnicy, umiecie rozpoznawać wygląd ziemi i nieba, a jakże chwili obecnej nie rozpoznajecie? I dlaczego sami z siebie nie rozróżniacie tego, co jest słuszne?«". Nie czytamy tej Ewangelii – liturgia przyniosła nam ją w miniony piątek (zob. Łk 12, 54-59) – aby osądzać tamte „tłumy". Czytamy, aby do siebie samych wziąć Jezusowy zarzut o nieczytanie znaków.

Czas jest pełen Boga (*kairos*). Bóg z mocą działa w naszym świecie, pokazując, że najwyraźniej przyszło już Jego Królestwo. Ale my przegapiamy to działanie. Już o wiele łatwiej jest się nam dopatrzyć działania złego w świecie – opisujemy je drobiazgowo, diagnozujemy, piętnujemy. Dlaczego równie chętnie i jasno nie widzimy dobra? Uzbrojeni w instrumenty badawcze, jakich człowiek nigdy nie miał przed nami, potrafimy odczytywać nie tylko pogodę, ale dzieje całego wszechświata na miliony lat wstecz. Czy z równą pasją poszukujemy działania Boga w nim? A jest jeszcze drugie pytanie: „Dlaczego sami z siebie nie rozróżniacie tego, co jest słuszne?" – to pytanie o sumienie, dzięki któremu „sami w sobie" słyszymy: to czyń, bo dobre; tego unikaj, bo złe. Wydaje się, że nie rozumiemy ani świata wokół nas, ani siebie samych... A może po prostu nie chcemy? Czy nie dlatego Jezus nazywa nas w tej perykopie „obłudnikami"? Ludźmi udającymi poznanie Boga, ale bez konsekwencji. Rozpoznajemy działanie Boga w świecie i słyszymy Jego głos w sumieniu, ale nie chcemy pójść za nim! Do czego bowiem zmierza Boże działanie w świecie?

Odpowiedź pada zaraz w następnych wersetach: „Gdy więc idziesz do sprawującego władzę ze swym przeciwnikiem, staraj się w drodze dojść z nim do zgody" (w. 58). Boże działanie zmierza do „zgody". Wszędzie, gdzie widzimy prawdziwe dążenie ku jedności, rozpoznajemy znaki Królestwa Bożego; wszędzie, gdzie siany jest podział, gdzie dzieje się rozproszenie, powinniśmy widzieć działanie złego. Taki jest – tak myślę – również osąd naszego sumienia. Które właśnie dlatego nakazuje nam uderzyć się we własne piersi i pojednać się z bratem, a nie pozostawać z nim w sporze o „ostatniego pieniążka" (w. 59)! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 1cc070d3f1

ROZMOWA

POLSKIE LALKI

ADAM LESZCZYŃSKI:

Prus uważał, że nowoczesność jest pakietem, który powinniśmy kupić z Zachodu.

ADAM LESZCZYŃSKI: Powiedzmy od razu, że nie jestem specjalistą od Prusa.

KALINA BŁAŻEJOWSKA: Przeczytałeś wszystkie jego „Kroniki", ponad tysiąc felietonów. W Polsce jest pewnie z pięć osób, które to zrobiły.

Bez przesady. Myślę, że co najmniej piętnaście.

Przy okazji sporów o nowe ekranizacje napisałeś na Facebooku: „Mam wrażenie, że większość osób piszących o »Lalce« nigdy nic więcej Prusa nie przeczytała".

Jest oczywiście szlachetne, że Polacy tak masowo czytają jakąś powieść, i w dodatku wielką, natomiast ja „Lalki" nie lubię, mnie w ogóle powieści Prusa nudzą.

Mogłabym się długo kłócić.

Moim zdaniem był znacznie ciekawszym publicystą niż pisarzem.

Na pewno bardzo pomysłowym. Każda kronika to kilka błyskotliwie powiązanych tematów, a często kilka różnych form, w tym wiele spreparowanych listów. Zaczął je publikować w 1874 r., jako 27-latek, i robił to do 1911 r., prawie do śmierci.

Gigantyczne dzieło i fascynująca lektura. Tylko trzeba czytać je w wersjach oryginalnych, nie w popularnym wyborze, w którym zostały okrojone i uładzone. Ja przez dobre dwa lata skupowałem na Allegro monumentalne dwudziestotomowe wydanie z czasów PRL. Kiedy tom przychodził, czytałem go w jeden wieczór.

Przecież w to się nie da wciągnąć, bo trzeba na bieżąco sprawdzać przypisy.

Tak, w tym wydaniu czasami zajmują połowę książki. I są świetne! Odpowiadał za nie zespół prof. Zygmunta Szweykowskiego – człowieka, który miał tak głęboką znajomość epoki, że potrafił np. ustalić, do jakich konkretnie artykułów prasowych Prus się odnosił, pisząc o jakimś sensacyjnym wydarzeniu. „Kroniki" w tym wydaniu to fascynujący portret i samej epoki, i umysłowości autora. Wielkiego człowieka, który bardzo kochał Polskę, ale Polaków nie jakoś strasznie bardzo.

Delikatnie powiedziane.

Prus Polaków kochał, ale miłością szorstką. Chciał dla nich dobrze, a oni go w związku z tym nieustająco irytowali.

I rozczarowywali. Ale przede wszystkim śmieszyli.

Był niezwykle dowcipny. I w tym dowcipie potrafił być nieprzyjemny.

Wręcz okrutny. W swojej książce „No dno po prostu jest Polska. Dlaczego Polacy tak bardzo nie lubią swojego kraju i innych Polaków" cytujesz np. jego felieton o śmierci dziecka z bezmózgowiem: „Dlaczego zwiędłeś przedwcześnie, biedny kwiatku, na gruncie, który tak sprzyja najdłuższemu życiu podobnych do ciebie indywiduów?".

A tak, to jest piękny fragment! Prus pisze, że takie dziecko bez mózgu mogłoby zostać w Polsce kimś ważnym: literatem, artystą, ekonomistą. Brak mózgu do tego u nas predestynuje.

Był publicystą nie tylko złośliwym i przenikliwym, ale też bardzo konsekwentnym. Trochę jak u mojego kolegi Witolda Gadomskiego z „Gazety Wyborczej": Witek od 40 lat pisze ten sam tekst w różnych wydaniach. A Prus miał kilka stałych wątków, do których wracał przez dekady. I te wątki w większości były dla Polaków jako zbiorowości niemiłe. Pojawiały się też wątki niemiłe dla Żydów.

Wynotowałam sobie cytat z kroniki dotyczącej akcji zrzucania Żydom czapek w czasie procesji Bożego Ciała w 1875 r. Zapewniał, że „żadna w świecie religia nie wymaga ofiar z żydowskich czapek". I ironizował: „Dobry obywatel miasta Warszawy może wprawdzie wierzyć, że żydzi zasługują na potępienie wieczne i że od pięt do jarmułek napełnieni są dyabłem — lecz powinien też i tolerować ich choć trochę".

Prus był człowiekiem, jak na swoje czasy, bardzo tolerancyjnym. Nie był antysemitą, czyli osobą nielubiącą Żydów za to, że są Żydami. Natomiast na pewno nie lubił ortodoksji żydowskiej – uważał, że trzyma ludzi w zabobonie. Był przede wszystkim modernizatorem, a więc wrogiem ciemnoty religijnej w każdym wy-

eprasa.pl 1cc070d3f1

daniu, czy to katolickim, czy żydowskim.

„Ciemnota" to słowo, które u niego często wraca. Ciemnota i głupota: pierwsza dotyczy ludu, druga elit.

W jego tekstach jest typowa dla epoki wizja społeczeństwa jako organizmu: różne części mają różne funkcje. A więc inna jest funkcja elit, inna ludu, ich status społeczny się różni. Samo to z punktu widzenia Prusa jest dobre i naturalne. Pozostaje pytanie, czy poszczególne części organizmu pełnią swoje funkcje dobrze. Uważa, że pod tym względem mamy bardzo dużo do zrobienia. Powtarza, że polskie elity są próżne, krótkowzroczne, często źle wykształcone i źle wykonują obowiązki wynikające ze statusu. Po pierwsze, nie dbają o lud.

Są takie momenty w „Kronikach tygodniowych", w których pisze o robotnikach budujących kamienice w Warszawie. Zresztą on tych XIX-wiecznych kamienic, które dziś wspominamy z sentymentem, nienawidził...

„To nie są mieszkania istot mających nieśmiertelną duszę, ale raczej kilkopiętrowe kojce, a w najlepszym razie ordynarnie rzeźbione komody, w których każda szuflada wygląda jak ukradziona".

Pisał wielokrotnie, że są brzydkie, ciemne, zawilgłe, źle zbudowane, balkony odpadają... Nie da się w nich mieszkać, a do tego jest drożej niż w Berlinie, bo kamienicznik oszukuje.

O całym rynku nieruchomości miał złe zdanie, a najgorsze o deweloperach.

Zarzucał im, że chcąc zarobić jak najwięcej, oszczędzają na rusztowaniach – a losem robotników, którzy spadają z tych rusztowań, nikt się nie przejmuje. Pisał też, że nie zabezpiecza się służących myjących okna: służba notorycznie wypada na ulicę. Jak ktoś zrobi sobie krzywdę, to po prostu zatrudnia się nową osobę. I w tym sensie polskie elity są egocentryczne: nie troszczą się o ludzi, którzy są im powierzeni.

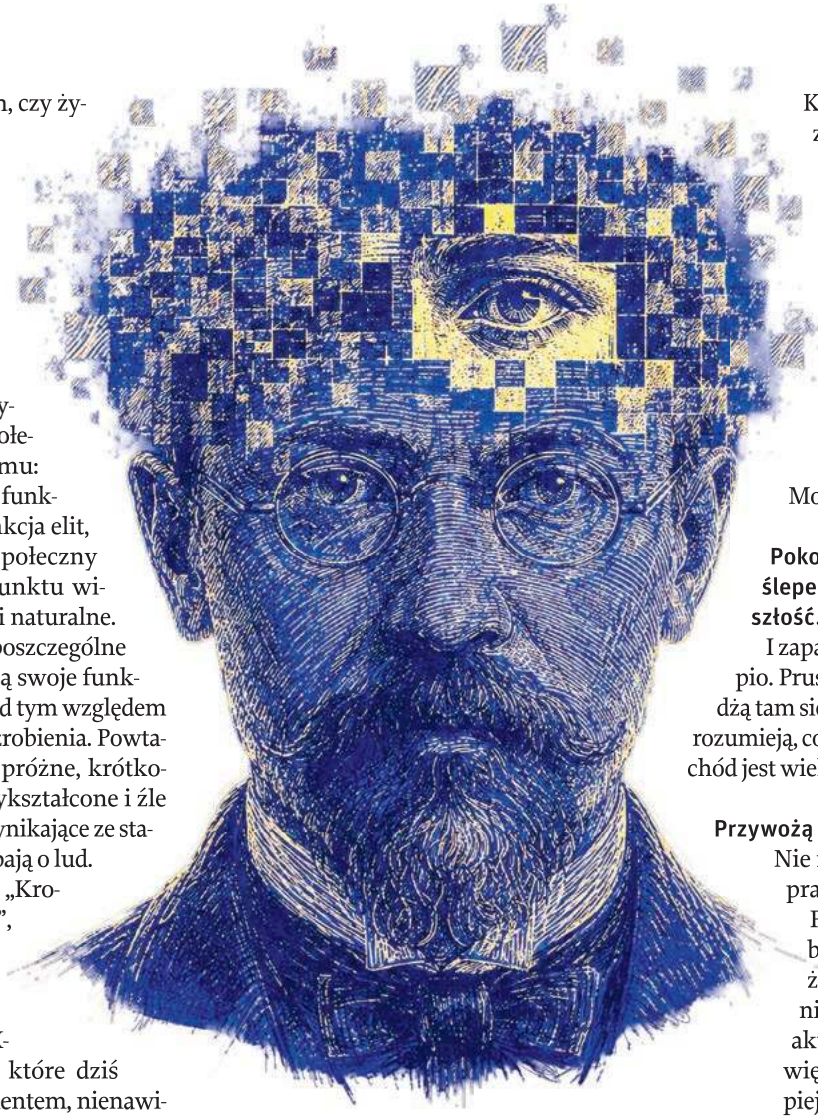

Bolesław Prus

IL. PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Interesują się nimi mniej niż Papuasami.

Albo Kamczadalami. „Chłop zaś mniej ich obchodził aniżeli Papuas albo Kamczadal", pisał o naszych ziemianach.

Poza tym elity źle dysponują kapitałami narodowymi. Marnują pieniądze, których tak naprawdę nie są właścicielami, tylko depozytariuszami.

Przegrywają w Monte Carlo.

Albo wydają na jakieś absurdalne rzeczy, takie jak wyścigi konne (to był jeden z jego ulubionych przykładów). I tylko urządzają bale dobroczynne, które są oczywiście fikcją, bo organizuje się je nie po to, żeby komuś pomóc, tylko po to, żeby towarzystwo mogło się pokazać.

Krytykował zwłaszcza elity ziemiańskie, o mieszczańskich miał lepsze zdanie. Tomasz Łęcki jest dokładnie taką negatywną postacią z publicystyki Prusa, uosobieniem całej warstwy. Bankrutem, utracjuszem, facetem, który nie rozumie, że świat się zmienił i bycie arystokratą już nie wystarczy. Może i miły, ale niepoważny.

Pokolenie Łęckiego jest ślepe, bo zapatrzone w przeszłość.

I zapatrzone w Zachód, ale głupio. Prus nieraz pisze, że elity jeżdżą tam się uczyć, wracają i dalej nie rozumieją, co sprawia naprawdę, że Zachód jest wielki.

Przywożą nowinki, a nie cnoty.

Nie rozumieją sensu ciężkiej pracy, stowarzyszania się... Prus był w tym podejściu bardzo mieszczański: uważał, że zadaniem elit i zadaniem samych narodów jest akumulacja. Musimy coraz więcej wytwarzać i coraz lepiej pracować.

Wierzył w wieczny wzrost.

Wieczny wzrost, tak. Pamiętajmy, że pole do tego wzrostu za jego czasów było ogromne. Królestwo Polskie było bardzo biednym krajem, nieco tylko zamożniejszym od Rosji, jeżeli w ogóle można to dziś policzyć. Choć poczyniło za czasów Prusa, czyli pomiędzy rokiem 1870 a rewolucją 1905 r., gigantyczny postęp, pod różnymi względami nadrobiło dystans do Zachodu.

Według niego zadaniem tej całej narodowej wspólnoty jest akumulacja. Ma przy tym dbać o swoich członków, żeby każdy maksymalnie realizował swój potencjał. I tego Polacy też nie robią. Nie dbają nawet o ludzi utalentowanych. Polak, pisze Prus, będzie podziwiał trzeciorzędnego zachodniego artystę, a prawdziwych polskich talentów nie dostrzeże.

Przeprowadzał takie porównanie: śpiewaczka Patti w cztery wieczory ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ **zarobiła więcej niż w półtora roku zebrano na stypendium imienia Kopernika. A na remont pomnika Staszica to nawet kopiejki Polacy nie dali.**

Często twierdził, że jesteśmy cywilizacyjnymi pasażerami na gapę: korzystamy ze światowego dorobku technologii i kultury, ale sami niewiele do niego wnosimy. Odwoływał się przy tym do metafory skarbca z wynalazkami i osiągnięciami, do którego jedne narody dokładają więcej, drugie mniej. A Polacy, jego zdaniem, prawie nic.

Albo nie tyle dokładają, co dają się okraść. Jest taki felieton o polskim odkryciu, że woda ze związkami żelaza zabezpiecza bydło przed zarazą. „Fakt ten, jak groch od ściany, odbił się od hermetycznie zamkniętych głów naszych agronomów; szczęściem jednak trafił na konsulat angielski, który wnet o nim rząd swój zawiadomił". To samo z filtrem do wody: też Polak odkrył, ale Niemiec wyprodukuje, żeby „filtrować zawartość naszych kieszeni". W ogóle dużo w „Kronikach" o wodzie.

Higiena jest u Prusa wielkim tematem. Często narzeka, że w Polsce jest brudno, a Polacy są brudni. Że dzieci są wychowywane w kurzu, że nie sprząta się śmieci, że nie ma kanalizacji...

W polskim domu łatwiej o fortepian niż o łazienkę i prędzej się można nauczyć francuskiego niż umyć.

Wszystkie te zarzuty mogą dziś brzmieć egzotycznie, bo dzisiejsza Polska jest krajem bardzo czystym. Ale to się zmieniło za mojego życia, czyli stosunkowo niedawno.

Ciągłe narzekanie Prusa na brak higieny było w istocie potępieniem niedbalstwa, niestaranności, skłonności do słomianego zapału. Ale jako osoba, która się zajmowała procesem modernizacji społecznej, muszę zauważyć, że to cechy, które społeczeństwa niezmodernizowane często sobie przypisują. To się zawsze odbywa przez porównanie: elity tych społeczeństw jeżdżą na Zachód, do centrum cywilizacyjnego, i tam widzą, że rzeczy są zorganizowane inaczej. Potem wracają i pytają: „A u nas co?". Błoto.

Był złośliwy, przenikliwy i bardzo konsekwentny.

Podobny autor byłby dziś nieustająco wyklinany przez środowiska prawicowe.

Prus nie jeździł. Raz tylko wybrał się na Zachód i źle się to dla niego skończyło. W obcym środowisku nie radził sobie z atakami agorafobii – w Niemczech chciał rzucić się pod pociąg, w Paryżu wyskoczył z tramwaju.

Nie jeździł, ale był doskonale zorientowany. Czytał zachodnie roczniki statystyczne i porównywał liczby: że u nich to ludzie się myją trzy razy na tydzień, a u nas raz na świętego Michała. Wiele tych rzeczy, jak dziś byśmy powiedzieli, było po prostu chorobami biedy. Pozostaje pytanie o kierunek wynikania: czy ludzie są brudni dlatego, że są biedni, czy dlatego są biedni, że nie potrafią o siebie zadbać. Prus uważał, że to drugie, i to był jeden z konserwatywnych rysów jego usposobienia.

On był takim konserwatywnym modernizatorem. Dobrze to widać później, w jego tekstach z okresu rewolucji 1905 r., której w ogóle nie rozumiał. Nie wiedział, dlaczego wybuchła.

A napisał o niej powieść. O znamiennym tytule: „Dzieci".

Okrutnie nieudaną. Przyjemność z jej czytania przypomina przyjemność z wyrywania zębów.

Mówiąc krótko: on nie pojmował masowej polityki partyjnej, twierdził, że rewolucja jest katastrofą, że grozi zaprzepaszczeniem wszystkiego, co zostało w bardzo ciężkich warunkach, z wielkimi cierpieniami i wysiłkiem wypracowane przez jego pokolenie. Socjalistów uważał za szkodliwych wariatów.

Nie wyobrażał sobie niepodległej Polski?

W publicystyce Prusa o rewolucji z 1905 r. widać ograniczenia jego programu politycznego. Ponieważ te rzeczy, na których mu zależało – stowarzyszenia, samoorganizacja, wzrost gospodarczy – były nieodwołalnie związane z tym, czy mamy własne państwo, czy nie. Nie mógł zrozumieć, że rewolucja była sygnałem nowej epoki: młode pokolenie upominało się o odpowiednie miejsce Polski w zmieniającym się świecie.

Podczas lektury było to dla mnie nawet przykre: miałem wrażenie obcowania z osobą, która kilkadziesiąt lat wcześniej była niesłychanie przenikliwa i otwarta na nowe idee, a która nagle okazała się zamknięta na argumenty, skostniała, zapatrzona w przeszłość. Wiesz, może to jest coś, co spotka nas wszystkich w którymś momencie...

Mnie już spotkało.

...że człowiek się zamyka w ideach, które nabył, kiedy miał lat 30, i potem już wydaje mu się, że właściwie wszystko ze świata rozumie. Tyle że świat się zmienia.

To oczywiście wątek poboczny, ale w jego tekstach pojawia się też sporo motywów seksualnych.

I sporo seksizmu.

Wszyscy jesteśmy niewolnikami swoich czasów. No, prawie wszyscy. Ale mnie się wydaje, że on nie był seksistą, o ile w ogóle można tego terminu użyć w odniesieniu do jego epoki. W kwestii kobiecej miał jednak zdanie progresywne.

Napisał „Emancypantki", jasne. Chodzi mi raczej o takie dziaderstwo...

Ja na te postawy bym patrzył na tle epoki.

Oczywiście, po prostu jako kobieta zwracam uwagę na te wszystkie zgrabne nóżki, nadobne rączki, niewieście wdzięki itd.

Są też fragmenty o prostytucji. Jest felieton o tym, że w Warszawie pracuje bardzo dużo modystek. No i ile ona zarabia, pyta Prus, taka modystka? Tyle a tyle, bardzo mało. Więc jak to się dzieje, że może w ogóle przeżyć? Otóż może przeżyć, mówi Prus, jeżeli jest ładna, bo wtedy ma „przyjaciela".

eprasa.pl 1cc070d3f1

On oczywiście pisze o życiu erotycznym inaczej niż my. Współczesny czytelnik, przyzwyczajony do mówienia wprost, może tego nie zauważyć.

Tak jak w tym fragmencie o bonach Paryżankach – dziewczętach „z dobrą pronuncjacją, ładną talią, ładną buzią i brakiem przesądów", które „wyręczają matki w różnych obowiązkach rodzinnych".

Moim zdaniem ludzie z tamtych czasów mogli uprawiać znacznie więcej seksu niż dzisiaj, chociaż tego oczywiście nie można naukowo potwierdzić. Znasz dzienniki intymne Wiktora Hugo? On był erotomanem jak na dzisiejsze standardy! I to były w większości młode, ubogie dziewczyny. Odnotowywał: praczka, lat 15, dwa franki. Zgodnie z dekorum epoki seksualność kobiet z klas ludowych była dostępna za pieniądze. To był ważny powód, dla którego młode kobiety z lepszych klas raczej nie wychodziły na ulicę bez opiekunów.

W „Lalce" Netfliksa eksponowany jest ten wątek.

Natomiast jeśli pytasz o moją opinię, to uważam, że żyjemy w czasach niesłychanie pruderyjnych w porównaniu z wieloma poprzednimi epokami. I że wyobrażenie czasów wiktoriańskich jako takich, w których ludzie generalnie byli zapięci, jest nieprawdziwe.

Prus też miał romanse, a w testamencie przeznaczył jedną czwartą majątku swojemu „podopiecznemu" – przypuszcza się, że był to nieślubny syn. Zginął jako powstaniec warszawski, a domniemana wnuczka Prusa zmarła w Warszawie dwa lata temu.

Mężczyźni o wysokim statusie społecznym miewają po kilka związków równocześnie. Możemy to potępiać, ale zdarza się to także i dziś, prawda? Wracając do „Kronik" – jest w nich pewien program polityczny, mianowicie: jak zmienić społeczeństwo polskie, żeby było silniejsze i przygotowane.

„Co z tą Polską?"

Odpowiedź na to pytanie Prus wykładał przez dekady. Czy pisał o maszynach rolniczych, czy o kanalizacji, czy o architekturze domów warszawskich, tam zawsze był ten sposób patrzenia: „co z tą Polską zrobić".



ŁUKASZ SATURCZAK / MATERIAŁY PRASOWE

ADAM LESZCZYŃSKI jest historykiem i socjologiem. Profesor SWPS, dyrektor Instytutu Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza, autor wielu książek, m.in. „Ludowej historii Polski".

No i co trzeba? Zmodernizować na wzór zachodni?

Tak. Jest taki cytat, w którym pisze – już pod koniec życia – że Polacy nie mają własnej kultury. My ją musimy dopiero zbudować. „Nasz byt narodowy, nasze zdrowie społeczne wymagają, żebyśmy ową »zagranicę« poznali bliżej jako wielkie, niewyczerpane źródło kultury, z którego czerpać winniśmy nawet wówczas, gdy po wielu, wielu latach pracy zdobędziemy się na własną kulturę".

Nie od Rosji mamy się przecież uczyć, o której zresztą nie mógł nic napisać. Od tych, którzy sobie radzą w świecie najlepiej. Od Anglików, Francuzów i Niemców.

I nie chodziło mu tylko o modernizację technologiczną, o sprowadzanie wynalazków typu prąd elektryczny, ale też o modernizację mentalności, np. skończenie z „przewagą projektomanii nad działalnością", zwiększenie szacunku do pracy i pracowników.

Słusznie uważał, że to idzie ręka w rękę. Że nie można mieć wielkich wynalazków bez dobrze zorganizowanej pracy, a nie można mieć dobrze zorganizowanej pracy bez pracownika, który ma gdzie mieszkać, ma co jeść i ma kiedy odpocząć. To wszystko jest w pakiecie. Nowoczesność jest pakietem i Prus uważał, że jako Polacy powinniśmy z Zachodu ten cały pakiet kupić. Myślę, że gdyby był podobny autor dzisiaj, to byłby nieustająco wyklinany przez środowiska prawicowe.

„Za jedną dziesiątą tego, co pisał wtedy Prus, dziś polski dziennikarz byłby odsądzony od czci i wiary i posadzony na ławce ojkofobów" – stwierdziłeś.

Sam też się mierzył z takimi zarzutami, że kala gniazdo, że jest niesprawiedliwy, że przerysowuje polskie wady. Być może przerysowywał. Na pewno często był niesprawiedliwy: wielu zależności nie rozumiał albo nie chciał zrozumieć.

Zastanawiałam się, czy wśród dzisiejszych publicystów jest w ogóle ktoś, kto mógłby równać się talentem z Prusem.

To nie tak, że mamy mniej ludzi utalentowanych niż wtedy, tylko że ich talent znajduje sobie inne ujścia. W czasach Prusa, jeżeli ktoś chciał mówić o sprawach wspólnych, jedyną możliwością było pisanie w gazecie. Dzisiaj mamy masę innych kanałów i sposobów ekspresji.

Trzeba by raczej szukać jakiegoś tiktokera.

Nie wiem, czy na TikToku, czy na YouTubie, czy na Spotify. A czy Prus by został tiktokerem? Nie ma sensu zgadywać. Po prostu żyjemy w innych czasach. I z faktu, że w tamtych czasach mieliśmy tak wielkiego publicystę, a teraz nie mamy, nie wynika, że powinniśmy pogardzać naszą epoką. Pod wieloma względami jest lepsza.

Nie ma już szlamu z kanałów zalegającego na chodnikach.

Przede wszystkim nie ma tak skrajnej nędzy, o której Prus często pisał. Myślę zresztą, że dzisiejsza Polska bardzo by mu się podobała: bez skrajnej nędzy, bez tych beznadziejnych arystokratów, nowoczesna, bliska Zachodu.

© Rozmawiała KALINA BŁAŻEJOWSKA

eprasa.pl 1cc070d3f1

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

eprasa.pl 1cc070d3f1

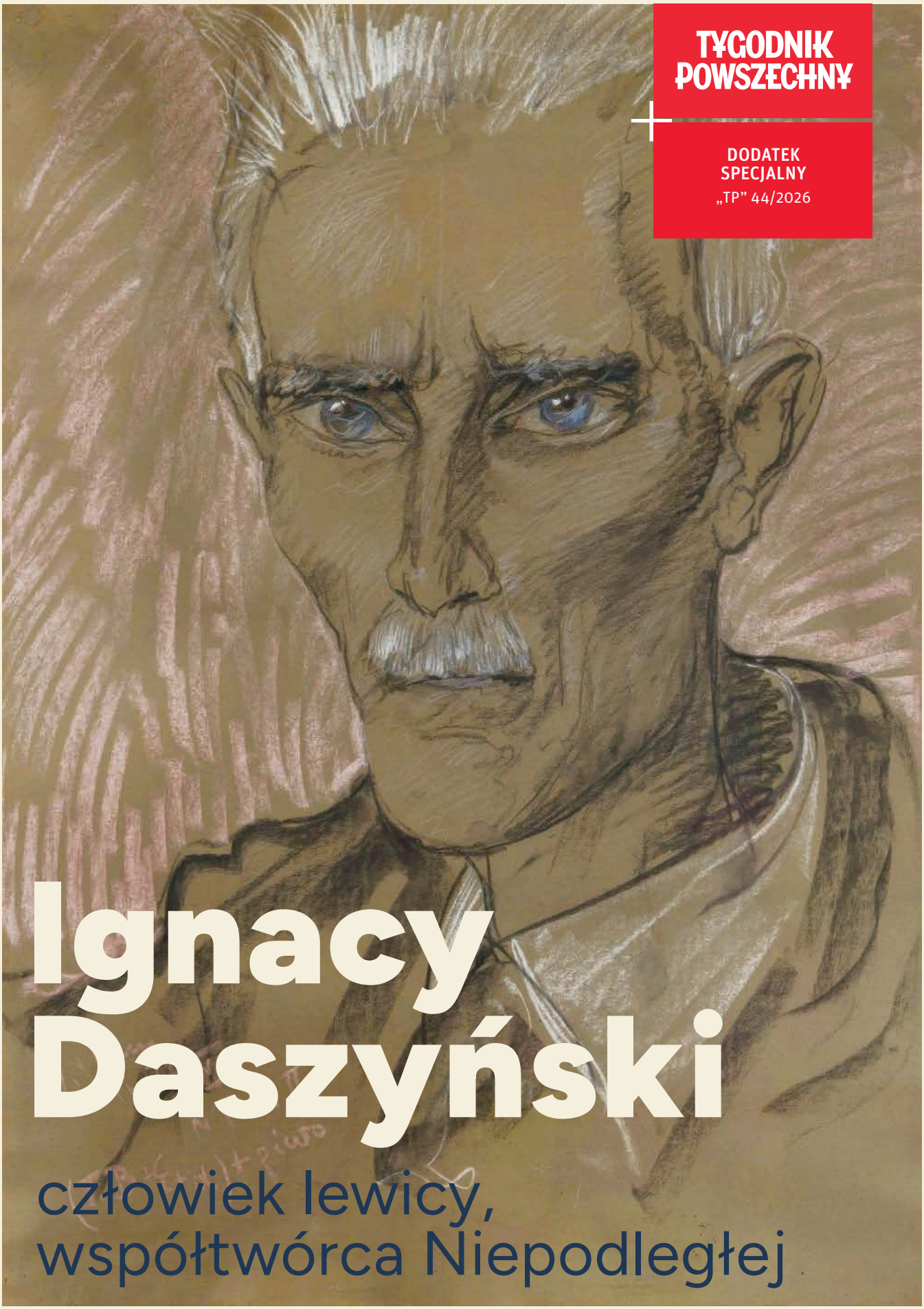

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 44/2026

Ignacy Daszyński

człowiek lewicy, współtwórca Niepodległej

KOLEKCJA BIBLIOTEKI SEJMOWEJ

eprasa.pl 1cc070d3f1



ZBIORY MARIUSZA KOLMASIAKA / EAST NEWS

Ignacy Daszyński (w środku) wizytuje pozycje Legionów Polskich podczas walk nad Nidą, gdzie legioniści zatrzymali rosyjską ofensywę. Z prawej Józef Piłsudski, z lewej Mariusz Zaruski (słynny taternik i żeglarz, wtedy ułan legionowy). Listopad 1914 r.

Daszyński: nazwisko jak sztandar

WALDEMAR ŁAZUGA

Mowę pogrzebową ułożył sobie sam. Nad jego trumną chór robotników odśpiewał antyfonę „Salve Regina". Gdy trumnę spuszczano do grobu, podchwycono pieśń: „Krew naszą długo leją katy". Kim był Ignacy Daszyński, jeden z ojców naszej niepodległości?

Ignac, Żegota, Daszek. Premier pierwszego rządu II Rzeczypospolitej w listopadzie 1918 r., wicepremier Rady Obrony Kraju latem 1920 r. Marszałek Sejmu II RP. Socjalista. Płomienny mówca i jedna z najbardziej charyzmatycznych postaci naszej nowszej historii.

Szlify parlamentarne zdobywał w Austrii. Uchodzi za jednego z ojców niepodległości, zajmując miejsce obok Piłsudskiego, Dmowskiego i Witosa. Ale zawsze w pewnym odstępie od nich. W liczbie upamiętnień przegrywa wyraźnie nie tylko z Piłsudskim, ale i Witosem. Dość powiedzieć, że jako ostatni z tej czwórki (dopiero w 2018 r.!) doczekał się pomnika przy warszawskim Trakcie Królewskim. Do Piłsudskiego czy Dmowskiego nawiązuje dziś kilka środowisk politycznych. Obu się cytuje, publikuje, ich teksty wznawia. O Witosie nie pozwala zapomnieć PSL.

Zanim Sejm RP nie ogłosił roku 2026 „Rokiem Daszyńskiego" – nawiązując do 160. rocznicy jego urodzin i 90. rocznicy śmierci – pamiętało o nim tylko niewielkie grono lewicowych intelektualistów.

Choć to postać arcyciekawa i posągowa, w panteonie ojców niepodległości zajmuje więc najmniej lubiane, czwarte miejsce. Przyczyny tego są różne. Nie wszystkie związane z faktyczną – mniejszą lub większą – rolą w dziejach. Istotny jest też stosunek do przeszłości tych, którzy uważają się za spadkobierców tych czterech postaci. Prawica pod tym względem jest z reguły aktywniejsza, lewica długo miała tu ambicje jakby mniejsze.

Opowiedzmy zatem o Daszyńskim – człowieku i polityku, który budując w polskim społeczeństwie demokratyczną i niepodległościową lewicę, powstrzymał komunizm, przeciął jego po-

eprasa.pl 1cc070d3f1

stępy. Ale nie tylko dlatego jest to postać godna naszego panteonu.

W teorii i praktyce

Od najwcześniejszych lat działalności unikał ekstremizmów. Nie był typem myśliciela-internacjonalisty – ani polskim Kautskim (tj. zwolennikiem zaostrzania walki klas), ani Bernsteinem (dla którego cel był niczym, ruch wszystkim). Nie pociągał go Karol Marks, Lew Trocki ani Róża Luksemburg.

Niewykluczone, że niektóre teorie socjalistyczne znał wyłącznie z broszur, a niektóre z... opowieści kolegów, którzy te broszury przeczytali. Walka klas pociągała go bardziej w praktyce niż w teorii. Kochał wiece, demonstracje, mediacje. I trybunę w parlamencie.

Pod habsburskim berłem, w państwie konstytucyjnym rozwinął niezwykłe talenty. Z socjaldemokratami austriackimi, o których mówiono, że bardziej niż Marksa czy Engelsa podziwiają cesarza Franciszka Józefa, łatwo znajdował wspólny język. Był „cokolwiek radykalny – mówił o nim jeden z premierów austriackich – ale dzielny z niego Austriak".

Jako gazetowy polemista wypracował własny oryginalny „styl naprzodowy" (od tytułu gazety robotniczej: „Naprzód"). Miał cięte pióro i w erze, która nie znała mikrofonów, głos dźwięczny, dobrze postawiony.

„Przestępca" za młodu

Urodził się 26 października 1866 r. w Zbarażu na Podolu, w Galicji Wschodniej. Mówił, że życie strawił na walce ze szlachetczyzną. Pytany o pochodzenie – kręcił, a z przodków zadowolony nie był. Po matce, Kamili z Mierzeńskich, był bowiem szlachcicem „jednowioskowym", potwierdzonym herbem. Ze strony ojca, c.k. urzędnika, takiego potwierdzenia na szczęście nie miał. Na szczęście, bo chciał być z ludu, najlepiej od kołyski. Niepodobny w tym do Piłsudskiego, o którym mówiono w Galicji, że to groźny socjalista, ale ostatecznie „z panów".

Jeśli miał coś Daszyński z „żywiołowej natury kozackiej", to za sprawą podolskiego otoczenia. Od dziecka za sąsiadów miał Ukraińców i Żydów. Od dziecka był trójjęzyczny. Czwarty język, niemiecki, którym potem zachwycał słuchaczy, opanował już w gimnazjum.

W gimnazjum też został „przestępcą politycznym". Udzielał się bowiem, krzewiąc przy rozmaitych okazjach kult powstańców listopadowych i styczniowych. Jego starszy o trzy lata brat Feliks, którego Ignacy długo był „dodatkiem", przystroił któregoś dnia pomnik cesarski w szlafmycę zrobioną z kalesonów. Poszedł za to siedzieć. A i młodszemu się oberwało.

Feliks i Ignacy

Relacja między braćmi to opowieść psychologiczna. Feliks bowiem miał wszystkie zadatki na przywódcę: charakter, rozum i charyzmę, którą zjednywał ludzi. Znał się na ekonomii, miał kontakty z socjalistami z kraju i z zagranicy; gdzie się nie pojawił, skupiał na sobie uwagę. Dla Ignacego był mentorem, nauczycielem i przewodnikiem. Obiektem podziwu i podporządkowania.

Ojca mieli bracia apodyktycznego. Wstawali, gdy wchodził do izby i milczeli, póki nie pozwolił im mówić. Gdy więc w 1875 r. umarł, ojcem dla młodszego brata stał się starszy.

Nie trwało to długo. Feliks chorował na płuca. Nie pomogły pobyty w Szwajcarii, połączone z kontaktami z emigracją socjalistyczną z całej Europy i pisarstwem (pracował nad książką o współczesnych stronnictwach i ideach politycznych). Zmarł w Davos w 1890 r., mając 27 lat.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Odsłonięcie pomnika Ignacego Daszyńskiego w Warszawie, 11 listopada 2018 r.

Ignacy nigdy nie krył, ile w życiu i działalności publicznej zawdzięczał bratu.

Austria reformuje ordynację

W 1894 r., cztery lata po śmierci Feliksa i w nawiązaniu do jego pracy, Ignacy ogłosił broszurę „Krótka historia rozwoju partii socjalistycznej w Galicji (od 1 maja 1890 do 1 maja 1894)", pełną wątków autobiograficznych. W Austrii trwała właśnie debata nad reformą systemu wyborczego, wprowadzonego w 1873 r. i opartego na tzw. kuriach – zamkniętych grupach wyborców, określanych na podstawie statusu majątkowego i społecznego. Pojawiały się projekty nowych kurii – ale wszystkie uprzywilejowujące już uprzywilejowanych.

W swej broszurze Daszyński wszystkie te pomysły wyśmiewał. Mówił o „ludzie pracującym", zwracając się do mieszkańców miast i wsi. Definiował „dwa patriotyzmy" – ten szczery, robotników, walczących o poprawę losu, i ten obłudny, wyzyskiwaczy, którzy bronią swoich interesów. „Przyszła Ludowa Polska będzie patriotyczna" – zapewniał. Poprawa bytu robotników miała nastąpić po zdobyciu przez socjalistów parlamentarnej trybuny, w drodze reform. Istotniejszego celu przed sobą nie miał.

Tymczasem w 1895 r. zaczęły się w Austrii „rządy polskie". Powstał rząd Kazimierza hrabiego Badeniego, który podjął sprawę reformy prawa wyborczego. Zabrał się za nią jeden z najinteligentniejszych Polaków w gabinecie, minister Edward Rittner, dodając do czterech już istniejących piątą kurię głosowania powszechnego.

Daszyński ją przykładnie oprotestował, ale bojkotować nie zamierzał. Do walki wyborczej socjaliści rzucili najlepsze siły – w Wiedniu startował szef socjaldemokracji austriackiej, Victor Adler. W Krakowie zaś szef galicyjskich socjalistów – Daszyński.

Sukces pod Wawelem

W trakcie tej wyborczej kampanii ujawnił się cały polityczny kunszt Daszyńskiego.

Z jednej strony nadal przedstawiał się jako niezłomny „młot na stańczyków", do których zaliczano także Badeniego. Z drugiej tłumaczył, że „badeniowska" kuria „toruje znakomicie drogę powszechnemu i równemu prawu wyborczemu". Z jednej strony rozumiał obawy konserwatystów, że teraz „furman będzie wybierał posła". Z drugiej sam miał obawy, że niejeden ↦

↦ mandat „ludowy" mogą socjalistom odebrać politycy chrześcijańsko-społeczni, albo ugrupowania nacjonalistyczne i antysemickie, których wpływy szybko rosły.

Wybory przeprowadzone w marcu 1897 r. przyniosły wiele niespodzianek. Do największych należała sromotna klęska Adlera w Wiedniu i zwycięstwo 30-letniego Daszyńskiego w Krakowie. Rozmiarów sukcesu tego ostatniego nikt się nie spodziewał. Na Daszyńskiego pod Wawelem padły 9132 głosy, podczas gdy na jego głównego rywala – księcia Aleksandra Ponińskiego, którego nazwisko budziło najgorsze skojarzenia z czasów rozbiorów – tylko 1765.

Konserwatywny „Czas" długo nie mógł ochłonąć. Wielu jego czytelników oczyma wyobraźni ujrzało nad Wawelem powiewający czerwony sztandar.

Na wiedeńskiej trybunie

Parlament w Wiedniu otwiera w życiu Daszyńskiego nowy rozdział.

Pod nieobecność Adlera zostaje szefem klubu socjalistów. Poprawia się jego sytuacja materialna. Mieszka w Wiedniu, żeni się z piękną aktorką Marią Paszkowską (doczekają się pięciorga dzieci). Porusza się dorożką, wysiadając przed gmachem parlamentu przecznicę wcześniej, by ostatni odcinek pokonać na piechotę.

W parlamencie błyszczy. Wygłasza płomienne mowy. Czaruje wyszukanymi niemieckimi frazami. Informacja, że będzie w danym dniu przemawiał, zapełnia galerię. Pojawiają się na niej panie z arystokracji, a pogłoska, że ów socjalista jest zwolennikiem wolnej miłości, dodaje jego występom pieprzu. Podobnie jak wieść, że z socjalistką ma nieślubnego syna, poczętego, gdy oboje jeszcze działali w Czytelniach Ludowych we Lwowie. „Kobiety go ubóstwiały" – zapewniała jedna z pań.

W parlamencie austriackim spędził Daszyński dwie dekady i cztery kadencje. Miał w tym czasie spięcie z wpływowym Kołem Polskim i przewodniczącym Izby, Dawidem Abrahamowiczem, którego nazwał „starym kryminalistą". Uczestniczył też w obstrukcji, wywijając mosiężnym przyciskiem i został z Izby wyniesiony przez policję, co umiejętnie udramatyzował.

Z początkiem nowego wieku został także radnym Krakowa. Zakotwiczony coraz głębiej w c.k. monarchii, z trudem od niej „abstrahował".



KOLEKCJA BIBLIOTEKI SEJMOWEJ

Pocztówka „Klub posłów socyalno-demokratycznych w Parlamencie Austryackim", ok. 1900 r.

Na Wielkiej Wojnie

Na krótko przed wybuchem I wojny światowej był już zwolennikiem rozwiązania austro-polskiego, tj. idei odrodzenia Polski w obrębie Austro-Węgier – tego konceptu konserwatystów krakowskich, z którymi dotąd wojował. Wszedł do Tymczasowej Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, powołanej w 1912 r., a także zasiadł w Naczelnym Komitecie Narodowym, uznawanym za „ekspozyturę rozwiązania austro-polskiego", opartego na trializmie: Austro-Węgry-Polska.

Jednocześnie uznał „wyższość" socjalisty Piłsudskiego, który od 1908 r. działał w Galicji. Wstąpił do Strzelca i sondował warianty samodzielnej akcji politycznej przeciw Rosji. Latem 1914 r. jego nieślubny syn, Adam Próchnik, przywdział mundur austriacki.



BIBLIOTEKA NARODOWA POLONA

W diariuszu Władysława Leopolda Jaworskiego, jednego z kierowników Naczelnego Komitetu Narodowego, Ignacy Daszyński występuje ponad 100 razy. Jest ruchliwy. Coś nieustannie zgłasza, komentuje lub kwestionuje. W listopadzie 1914 r. w mundurze wizytuje Piłsudskiego, gdy Legiony walczą nad Nidą. W 1916 r. wstępuje do Koła Polskiego. Rządzi na lewicy. Przeprowadza nawet wniosek, że programem „polskiej klasy robotniczej w wojnie światowej jest stworzenie Niepodległego Państwa Polskiego w granicach Królestwa Polskiego i Galicji", rzecz jasna w „trójdzielnej monarchii".

Wciąż sporo znaczy. Ma kontakty w Wiedniu, spotyka się z ministrami. Zauważa rosnące znaczenie Piłsudskiego i docenia rolę augurów rozwiązania austro-polskiego, Michała Bobrzyńskiego i Leona Bilińskiego.

O Polskę wolną

W geopolityce ostatnich lat wojny troszkę się gubi. W październiku 1916 r. związą z nim słynne zdanie: „Że program nasz jak bluszcz obwijał się około tronu Habsburgów". Wpada w sprawie Gdańska, nie mogąc się zdecydować, czy wobec „preponderancji Niemców" powinniśmy się o niego upomnieć.

Afisz z komunikatem o utworzeniu Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, Lublin–Kraków 1918 r.

eprasa.pl 1cc070d3f1



AAN

„Parlament w Wiedniu otwiera w jego życiu nowy rozdział. Jest szefem klubu socjalistów, wygłasza płomienne mowy. Wieść, że będzie w danym dniu przemawiał, zapełnia galerię". Ignacy Daszyński, 1915 r.

Gdy po 5 listopada 1916 r. Niemcy tworzą Królestwo Polskie, angażuje się w prace nad „wyodrębnieniem" Galicji i jej unią personalną z Królestwem – pod władzą Habsburgów.

W lutym 1917 r. w Rosji zostaje obalony carat. „Rosyjski lud rewolucyjny jest naszym naturalnym sprzymierzeńcem" – ogłasza Daszyński. Ale stosunku do Rosji nie zmienia. W 1917 r. socjaliści austriaccy dwa razy biorą udział w głosowaniach nad wojennym preliminarzem budżetowym. Socjaldemokracja austriacka go bojkotuje, ale Daszyński akceptuje, tłumacząc, że nie można rządu pozbawiać środków.

W maju 1917 r. na tzw. Kole sejmowym osłabia wymowę rezolucji w sprawie przyszłych granic Polski. Ucieka się do zwrotu o dostępie do Gdańska „przez skanalizowaną Wisłę", co po latach uzna za „ciężki błąd".

Ale w Berlinie i Sztokholmie, na zjazdach socjalistów, błąd ten naprawia – reprezentuje tam Polskę, której nie ma na mapie. Żąda, by po wojnie była wolna, niepodległa i zjednoczona. Opowiada się za prawem narodów do decydowania o swym losie i za przyszłym porozumieniem między narodami. Przemawia porywająco.

Socjalizm według niego

W lutym 1918 r., na naradzie partyjnej w Krakowie, wywołuje nerwowe reakcje. Opowiada się przeciw rewolucji robotniczej w Berlinie i Królestwie, natomiast za legalnymi formami walki, aż do masowych strajków i ulicznych protestów włącznie.

Jest za zjednoczeniem wszystkich ugrupowań socjalistycznych (dotąd rywalizujących i organizujących osobne akcje). Jest też za opieką nad pracą, kobietami, dziećmi i starcami. Za 8-godzinnym dniem pracy, płacą minimalną i głosowaniem powszechnym, równym, tajnym, bezpośrednim i proporcjonalnym, „bez różnicy wyznania i płci'. Jednocześnie występuje przeciw nacjonalizacji przemysłu – tłumaczy, że na taki krok jest za wcześnie.

Nie wszyscy rozumieją taki socjalizm według Daszyńskiego. Jego postać ostrożną, demokratyczną i „antyrewolucyjną".

Jeszcze w tym samym roku kilkakrotnie zwraca się do Ukraińców z zapewnieniem, że „większa część polskiego ludu jest gotowa zapewnić Wam prawa narodowe w pełnym wymiarze". Apeluje o uwolnienie Piłsudskiego, internowanego przez Niemców w twierdzy w Magdeburgu.

Z końcem września 1918 r. znów zaskakuje. Do gmachu parlamentu austriackiego zwołuje wszystkich socjalistów monarchii „dla ratowania Austrii". Skończy się to wielką klapą. Rozpadają się nawet przykładne dotąd relacje między przywódcami poszczególnych partii. Co chciał Daszyński tą „ratunkową" konferencją osiągnąć – nie wiadomo.

Premier pierwszego rządu

Jesienią 1918 r. c.k. monarchia rozpada się jak domek z kart. A rozpadając się, powołuje jeszcze Komisje Likwidacyjne dla większości swoich krajów koronnych. Mają koordynować powstanie nowych państw.

Jedna z nich, Polska Komisja Likwidacyjna, powstaje w październiku w Krakowie. Na czele staje ludowiec Wincenty Witos, jego zastępcą zostaje 52-letni wtedy Daszyński. Komisja jest rządem *ad interim* i ma ulec rozwiązaniu, gdy w kraju powstanie rząd demokratyczny. Misję przekazania Austriakom decyzji o przejęciu władzy nad Krakowem powierzono jemu.

W Komisji był krótko – w pamięci zbiorowej złączy się z rządem lubelskim, powołanym 7 listopada.

Ten Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej nie był jego rządem autorskim. Nie on pisał jego program, a na plakatach rozwieszonych nocą w Lublinie jego nazwisko widniało na drugim miejscu – zgodnie z porządkiem alfabetycznym. Do Lublina wezwał go pułkownik Śmigły, „zastępca Piłsudskiego". Dotarł tam autem wraz z Witosem i został „prezydentem ministrów" wymienionych na plakacie. Było tam też podane, że podlegający Radzie Regencyjnej rząd ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ warszawski został obalony, a rząd lubelski będzie sprawować władzę aż do zwołania Sejmu Ustawodawczego.

Manifest tego rządu był lewicowy, ale nie rewolucyjny. Pochylał się nad najuboższymi, zapowiadał bój o chleb. „Z ducha" przypominał socjalizm Daszyńskiego – pisał go Tadeusz Hołówko, zwolennik jego i Piłsudskiego. Nikt z ich trzech nie przepadał za socjalizmem rosyjskim ani za rewolucją.

Między Lublinem i Warszawą

Rząd Daszyńskiego istniał do powrotu Piłsudskiego z Magdeburga (11 listopada) i jeszcze trzy dni dłużej. Odegrał doniosłą rolę w dwóch istotnych sprawach: przesądził o republikańskim ustroju Polski (wykluczając monarchię) i zatrzymał na progu komunizm (przecinając jego postępy).

Czy Daszyński poróżnił się z Piłsudskim o Lublin? Z pierwszej rozmowy nie był zadowolony żaden z nich. Daszyński, inaczej niż Śmigły, nie zgadzał się we wszystkim z Komendantem. Miał też mniej optymistyczny pogląd na sytuację w kraju i straszył Piłsudskiego barykadami na ulicach. Co Piłsudskiego zirytowało, ale ostatecznie wzbudziło respekt.

Czy po tym lubelskim mógł Daszyński zbudować nowy rząd, już w Warszawie, uwzględniający już wszystkie siły polityczne w kraju i wszystkie zabory? Szanse na to miał niewielkie. Endecja go nie znosiła, Wielkopolska nie rozumiała, Królestwo demonstrowało wobec niego dystans. W oczach jednych był czerwonym sztandarem społecznego przewrotu. W oczach innych – „czarno-żółtym Austriakiem".

Sam twierdził, że choć drugiego rządu nie utworzył, to do jego powstania się przyczynił i swego następcę, Jędrzeja Moraczewskiego, sam wyznaczył na premiera. Zależało mu na legendzie tamtych dni. Moraczewski był bezbarwny i rozumiało się, że legenda nie oprze się na nim.

Pierwszy Sejm

Aż do wyborów do Sejmu Ustawodawczego, rozpisanych na styczeń 1919 r., przeżywał Daszyński piękne chwile. W Krakowie, gdzie kandydował, miał tłumy słuchaczy. Mówił o Polsce „Wolnej, Niepodległej i Zjednoczonej" i Sejmie jako źródle prawa i mocy. Budził nadzieje i wzruszenia. Nie oszczędzał siebie. Przemawiał w Teatrze Starym, na UJ, w sali „Sokoła", na ulicy i w cyrku. Zdarzało się, że to, co mówił, słuchający w sali przekazywali stojącym na schodach, a ci z kolei tym stojącym na ulicy. I wszędzie były wiwaty.



NAC

Ignacy Daszyński jako marszałek Sejmu, 20 czerwca 1930 r.

W Krakowie jego popularność sięgała szczytu. Niestety, gdzie indziej nie przełożyła się na dobry wynik wyborów. Wygrała je Narodowa Demokracja, dobrze wypadli „piastowcy" Witosa. Na socjalistów padło nieco ponad 12 proc. głosów. Pocieszające, że mandaty z Galicji zdobyli najwytrawniejsi parlamentarzyści austriackiego parlamentu, wchodzący teraz w skład Związku Polskich Posłów Socjalistycznych. Dzięki nim niektóre prace sejmowe mogły ruszyć od razu.

Ale w Sejmie jakby opadł z sił. Nie za często zabierał głos, nie uczestniczył w posiedzeniach komisji. Zadowolił się konwentem seniorów. W lutym 1919 r. odczytał z mównicy Manifest Związku Polskich Posłów Socjalistycznych, w którym jako cel przedstawił utworzenie „społecznej republiki demokratycznej". Poruszał problemy odradzającego się państwa, przestrzegał przed mrzonką powrotu do „historycznych granic". Złożył hołd robotnikom i chłopom, którzy posługując się wyborczą kartą, „jedną packą" zabili dwie „muchy reakcji", dzięki czemu „nie ma w Sejmie ani bolszewizmu, ani żubrów" (tj. kresowych magnatów).

Dramatyczny rok 1920

Wojna z bolszewikami w latach 1919-20 była o być albo nie być państwa polskiego. Daszyński był przeciwnikiem wyprawy na Kijów, ale gdy bolszewicy ruszyli na Warszawę, nawoływał do powszechnej obrony i skupienia decyzji w jednym ośrodku.

Omal nie pokłócono się przy tym, jak ten ośrodek ma wyglądać: czy ma być ekspozyturą parlamentu, czy ciałem nowym? I ilu socjalistów w nim będzie? Daszyński był za rządem chłopsko-robotniczym, a nie ogólnie koalicyjnym, co wobec wypadków na froncie wydało się oczywiste. Nie przesądzał jednak o jego składzie. Nie przeciągał negocjacji.

Ostatecznie w lipcu 1920 r. został wicepremierem rządu, który przyjął nazwę Rząd Obrony Narodowej, z Witosem na czele. Żadnego posiedzenia Rządu nie opuścił. Na znanym zdjęciu siedzi obok Witosa.

Bitwa warszawska w sierpniu 1920 r. była, zdaniem Michała Bobrzyńskiego, „nowym Grunwaldem". Jednak po krótkotrwałej euforii zaczęły się spory, kto był ojcem zwycięstwa – sugerowano, że laury należą się gen. Tadeuszowi Rozwadowskiemu, szefowi sztabu związanemu z endecją. Piłsudski reagował dobrze: „Kto jest ojcem zwycięstwa, pytacie. Ten sam, którego uczynilibyście odpowiedzialnym, gdyby bitwa była przegrana". Daszyński w tych dniach był sercem za Piłsudskim.

„Brakuje słońca, światła"

Czy rok 1920 wzmocnił Daszyńskiego? Czy podsunął myśl o prezydenturze? Za dwa lata, w grudniu 1922 r., pokażą to wybory w Zgromadzeniu Narodowym (połączonych izbach Sejmu i Senatu). Witos, choć o prezydenturę się nie ubiegał, okaże się „wielkim rozgrywającym" i „Makiawelem". Daszyński pozwoli

eprasa.pl 1cc070d3f1

swoją kandydaturę zgłosić „dla demonstracji", bez widoków na zwycięstwo.

W pierwszej turze otrzyma 49 głosów, w drugiej – jeden i odpadnie. Głosowań będzie pięć. W piątym wygra Narutowicz, kiedyś przyjaciel jego brata Feliksa. Ale wypadnięcie z gry już w drugiej turze musiało boleć. Bolało też zapewne zatrzymanie na Wiejskiej przez endecką bojówkę i zamknięcie w bramie jednego z domów, gdy udawał się do Sejmu.

Potem była katastrofa – mord na Narutowiczu. I szambo, które wylewało się na ulice. Gorszący triumfalizm endeków i „endecyzmu". Nie o takiej Polsce Daszyński marzył. W listach pisał, przygnębiony, że w nowej rzeczywistości brakuje mu „słońca, światła i dawnych ludzi".

Miał też już kłopoty z sercem. W 1923 r. wyszedł na trybunę i ledwo skończył wystąpienie. Pocieszały go owacje, jakie dostawał na zebraniach Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego w Krakowie, choć z młodszymi działaczami, jak mówił, nie miał już kontaktu.

W marcu 1926 r. przemawiał na akademii ku czci Piłsudskiego i zapewniał, że marszałek to nadal socjalista i demokrata, gotowy stanąć w obronie zwykłych ludzi.

Zerwanie z Piłsudskim

Zamach majowy 1926 r. przepełnił prawie 60-letniego Daszyńskiego goryczą. Boleśnie i długo rozstawał się ze złudzeniami. Cierpliwie wysłuchiwał wyjaśnień Piłsudskiego, ale o nic nie pytał. Czekał na program rządu w nadziei, że coś z tego zrozumie. Spodziewał się rekonstrukcji gabinetu. Był może urażony, że Piłsudski obywał się bez niego.

W lipcu 1926 r. otwarcie już zadrwił z sanacji nie jako nazwy nowego obozu, lecz jedynego właściwie programu reformy państwa. I to był koniec jego dobrych relacji z Piłsudskim.

Gdy dwa lata później kandydował na marszałka Sejmu, jego rywalem był ekspremier Kazimierz Bartel, blisko związany z Piłsudskim. Przestrzegano go przed tym starciem. Perswadowano, grożono. Nie ugiął się.



KOLEKCJA BIBLIOTEKI SEJMOWEJ

Piłsudski kontra Daszyński: rysunek satyryczny „»Stuknij się, Ignaś«, czyli krótka rozmowa w Sejmie", autor Adam Czerny, 1930 r.

W Sejmie liczyły się wtedy dwa skrzydła: lewica od niego, „Ignaca", a także Bezpartyjny Blok Wspierania Rządu z Walerym Sławkiem na czele. „Samo nazwisko Daszyński – pisała jedna z gazet – stało się sztandarem". Jeśli tak, miał powody do satysfakcji. Cała demokracja polska wydawała się stać za nim.

Marszałek kontra Marszałek

Wygrał wybory na marszałka Sejmu, ale lekko w tej roli nie miał. Starał się nie wchodzić w konflikt z Piłsudskim, który parlament nazywał z upodobaniem „Sejmem ladacznic suwerennych". Ale i przed konfliktem się nie cofał.

Piłsudski naciskał na zmianę konstytucji, wzmocnienie roli prezydenta, zniesienie immunitetu poselskiego i ogólnie „politykę kija". Daszyński odpowiadał, że „polityką kija" nic się nie rozwiąże, a reform nie robi się na kolanie.

Do historii przeszło jego zdanie: „Pod szablami i rewolwerami nie otworzę posiedzenia". Wypowiedział je 31 października 1929 r. na otwarcie sesji budżetowej Sejmu.

Był tego dnia w Sejmie Piłsudski z generałem Sławojem Składkowskim i pułkownikiem Józefem Beckiem. W holu parlamentu zjawiła się setka oficerów. Minęła wyznaczona godzina. Daszyński z otwarciem posiedzenia zwlekał. „Przepychanki" się przeciągały. Napięcie rosło. W końcu do gabinetu marszałka wkroczył Piłsudski, walnął pięścią w stół i zażądał przerwania „tej hecy". Na co Daszyński powtórzył, że posiedzenia pod szablami nie otworzy. Poirytowany Piłsudski na odchodnym rzucił mu: „Dureń!".

Nie wiadomo, czy Daszyński żałował, że został marszałkiem Sejmu. Kilkakrotnie grożono mu „obiciem", straszono więzieniem, unieważniono paszport, wstrzymywano dietę. Mówił, że „o pardon" nikogo nie prosi. Ale wiadomo, że wszystko to ciężko odchorowywał.

Ostatnie lata

W listopadzie 1930 r. w wyborach do nowego parlamentu ponownie zdobył mandat, ale w Sejmie już nie zasiadł. W lutym 1931 r. opuścił Warszawę i udał się na leczenie do Bystrej Śląskiej. Zamieszkał w sanatorium, pisał pamiętniki, czytał prasę, kilka razy widziano go w kawiarni w Bielsku.

Ponieważ stan jego zdrowia stale się pogarszał, przedłużano pobyt w Bystrej o kolejne tygodnie i miesiące. Przeżył w tym czasie udar mózgu, miał kłopoty z sercem i płucami. Tracił i odzyskiwał pamięć. Miał zaburzenia mowy.

W 1934 r. dowiedział się o śmierci żony, z którą od dawna nie byli razem. W 1935 r., zaskakując nie tylko rodzinę, poślubił młodszą o 20 lat Celinę Kempner, swoją towarzyszkę i opiekunkę.

Zmarł w nocy z 30 na 31 października 1936 r. Spoczął na krakowskich Rakowicach.

W nekrologach można było przeczytać, że zmarł wielki Polak, gorący patriota i socjalista, który miał coś z karmazyna.

© WALDEMAR ŁAZUGA

PROF. WALDEMAR ŁAZUGA jest historykiem, dyrektorem Stacji Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności w Poznaniu.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 44/2026
REDAKCJA: Wojciech Pięciak | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz
Na okładce: Portret Ignacego Daszyńskiego autorstwa Stanisława Ignacego Witkiewicza, Bystra Śląska, 1936 r.

ROK IGNACEGO DASZYŃSKIEGO 2026

PARTNERZY DODATKU:
SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
WYDAWNICTWO SEJMOWE

eprasa.pl 1cc070d3f1

Przed c.k. sądem

IGNACY DASZYŃSKI

„Było to w klasie czwartej, kiedy zacząłem, pierwszą walkę o moje zasady” – tak Ignacy Daszyński opisał swe pierwsze publiczne wystąpienie. Oto fragment jego „Pamiętników”.



BIBLIOTEKA NARODOWA POLONA

Stanisławów, pocztówka, początek XX w.

Po śmierci ojca matka przeniosła się z młodszymi dziećmi, tj. z Feliksem, Zofią i ze mną, do Stanisławowa, gdzie zapisałem się wkrótce do gimnazjum. Życie nasze stało się bardzo skromne i pracowite. Nie było środków dla wychowania dzieci, toteż zacząłem już w pierwszej klasie dawać lekcje kolegom. Byłem dumny z tej pracy, bo odziewałem się zupełnie za własne pieniądze, a nawet czasem mogłem matce drobnostką dopomóc.

Już w pierwszych klasach gimnazjum stałem się pod wpływem mego brata gorącym patriotą polskim. Umiałem z nim razem śpiewać wszystkie chyba piosenki powstańcze z 1831 i 1863 r., czytałem książki z dziejów Polski i wyrabiałem sobie nie tyle sądy, ile sympatie i antypatie dla poszczególnych osób z tych dziejów.

Ale wkrótce miała nadejść chwila przełomowa, która pchnęła mnie i brata na tak odległe tory, o jakich nigdy dotąd nie marzyłem.

BYŁO TO w klasie czwartej, kiedy zacząłem, w czternastym roku życia, pierwszą walkę o moje zasady. W Stanisławowie był piękny zwyczaj, że na Zaduszki ozdabiała polska młodzież szkolna grób powstańca – poety, Maurycego Gosławskiego, który tu zmarł w więzieniu. Co roku zbierała się młodzież, śpiewała patriotyczne pieśni: „Boże coś Polskę”, „Z dymem pożarów” itp. Zazwyczaj rozdawano na cmentarzu jakiś wiersz okolicznościowy, napisany przez ucznia gimnazjum lub szkoły realnej.

W 1880 r. napisał taki wiersz nadgrobny mój brat Feliks. Był to czas, kiedy dynastia (habsburska – red.) szukała zgody z galicyjską szlachtą i w ogóle ówczesną „miarodajną” opinią publiczną kraju. Cesarz obiecał odbudować Wawel i przygotowywał się do objazdu Galicji. Dla naszego kółka młodzieży było to wszystko ciosem bolesnym. Myśmy przecie byli najskrajniej nieprzejednani i marzyliśmy ustawicznie o walce z bronią w ręku przeciwko wszystkim najeźdźcom na polskiej ziemi.

Wiersz Feliksa był też płomiennym protestem przeciwko temu, by „Chrobrych korona” spoczęła na skroni niemieckiej dynastii. Ja podjąłem się wiersz odhektografować (powielić – red.) i rozrzucić wśród publiczności na cmentarzu. I rzeczywiście udało mi się kilkaset egzemplarzy rozdzielić między młodzieżą, śpiewającą przed grobowcem Gosławskiego w późny wieczór listopadowy, po czym, dumny ze spełnionego czynu, poszedłem do domu.

NA TRZECI DZIEŃ padł popłoch na obie szkoły. Szukano autora i jego pomocników. Feliksa aresztowano pod zarzutem obrazy majestatu, mnie dyrektor kazał na razie szkołę opuścić. Zostałem jako współwinny wciągnięty do śledztwa sądowego.

W domu zapanowała straszna rozpacz. Matka zalewała się łzami na myśl, że jej obaj synowie, z których była tak dumna, nagle znaleźli się w śledztwie karnym. Tysiące wyrzutów spadały na mnie, podczas gdy Feliks siedział w więzieniu stanisławowskim.

Ale obaj byliśmy od najwcześniejszej młodości tak hardymi i samodzielnymi chłopcami, że nie ugięliśmy się ani na chwilę. W niezliczonych sporach z matką mieliśmy sposobność jej oświadczyć, że nie uczymy się „dla chleba” – jak biedna, kochająca nas ślepo matka chciała – lecz dla nauki i dlatego, żeby kiedyś móc walczyć o nasze ideały.

Że całe miasto, pełne urzędniczych familii, okrzyczało nas obu za najszkodliwszych ludzi pod słońcem, że stroniono od nas i pokazywano palcami dla odstraszającej przestrogi, to nas absolutnie nie wzruszało.

STANĘLIŚMY z bratem przed sądem przysięgłych. Prokurator na rozprawie odstąpił co do mnie od oskarżenia; może czuł całą jego śmieszność wobec mego wieku. Obrońca brata, p. Eminowicz, uzbrojony w cały stos książek, dostarczonych mu przez Feliksa, zaczął cytować najsilniejsze miejsca przeciwko Austrii i dynastii z dzieł Mickiewicza i innych, dozwolonych w Austrii. Jeżeli to wszystko – mówił – wolno było młodym ludziom czytać swobodnie, nie można ich karać za to, że się tym gorąco przejęli i to samo publicznie wypowiedzieli.

Ława przysięgłych uwolniła też Feliksa jednogłośnym werdyktem, a potem wszyscy przysięgli zeszli do nas i bardzo serdecznie nas ściskali. W triumfie odprowadzili nas przyjaciele do domu, a mnie pozwolono uczęszczać do gimnazjum.

Ale ten pierwszy występ nie „ustatkował” nas wcale. Było to raczej pierwsze prześladowanie, chrzest buntowników, wskazówka naszej drogi przez długie, długie lata... ©

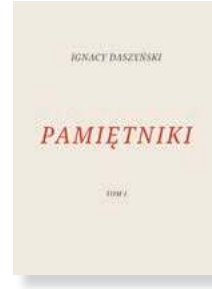

Dwutomowe **„PAMIĘTNIKI”** Daszyńskiego, obejmujące okres do jesieni 1918 r., wydano po raz pierwszy w Krakowie w 1925 r. nakładem Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych „Proletariat”. Ich ponowne wydanie ukazuje się pod koniec października br. nakładem Wydawnictwa Sejmowego, w ramach Roku Daszyńskiego. Skróty od redakcji „TP”.

eprasa.pl 1cc070d3f1

Pseudonim „Żegota”

BŁAŻEJ POPŁAWSKI

Zanim w 1897 r. Ignacy Daszyński został posłem do parlamentu w Wiedniu, angażował się w konsolidację ruchu socjalistycznego w Galicji i poza jej granicami. Władze austriackie starały się temu przeciwdziałać, wiele razy trafiał do aresztu.

Kolekcja Biblioteki Sejmowej, dotycząca Ignacego Daszyńskiego, liczy blisko tysiąc artefaktów. Większość to artykuły prasowe i passusy ze stenogramów parlamentarnych, broszury, ulotki z kolejnych kampanii wyborczych, afisze, plakaty oraz rysunki satyryczne. Stenogramy zdigitalizowano i są dostępne na stronie internetowej Biblioteki. Przy czym najstarszymi obiektami w zbiorach Kancelarii Sejmu, związanymi z jego postacią, są jego fotografie, dodatkowo opatrzone autografem. Na jednym Daszyński, elegancko ubrany, wspiera się na ułożonym na stoliku stosie książek.



KOLEKCJA BIBLIOTEKI SEJMOWEJ X2

Ignacy Daszyński, ok. 1890 r.

Trudno precyzyjnie określić czas wykonania fotografii. Prawdopodobnie zrobiono je na przełomie ósmej i dziewiątej dekady XIX w. W tym czasie Daszyński studiował przyrodoznawstwo na UJ (1888-1889) i w Zurychu (1890) oraz prawo we Lwowie (1890, 1893-1894), ale przede wszystkim angażował się w działalność ruchu socjalistycznego – dążył do jego ponadzaborowej konsolidacji i jednoczesnego umiędzynarodowienia. Starał się otworzyć ruch robotniczy na przedstawicieli chłopstwa, inteligencji, na mniejszości narodowe.

Podróże z misją

Daszyński współtworzył Partię Robotniczą (1890; rok później przemianowana na Socjalno-Demokratyczną Partię Galicji, w 1897 r. na Socjalno-Demokratyczną Partię Galicji i Śląska, a w 1899 r. na Polską Partię Socjalno-Demokratyczną Galicji i Śląska).

W imieniu Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) – delegacji trójzaborowej – wyjeżdżał za granicę, m.in. do Szwajcarii, Francji, Niemiec i Belgii. Wygłaszał referaty programowe, rozbudowywał struktury partyjne. Brał udział w spotkaniach socjalistów – zarówno galicyjskich we Lwowie i w Krakowie, jak i międzynarodowych, m.in. w Kongresie Socjalno-Demokratycznej Partii Robotniczej Austrii w Heinfeld (1890) i Wiedniu (1891) oraz w II, III i IV Międzynarodowym Kongresie Socjalistycznym (1891, 1893, 1896).

Szybko wyszlifował talent krasomówczy i styl pisarski. Współpracował z periodykami lwowskimi – „Robotnikiem” i „Siłą”. W latach 1891-1892 kierował berlińską redakcją „Gazety Robotniczej”, wydawanej przez Socjalno-Demokratyczną Partię Niemiec i wspieranej przez Towarzystwo Socjalistów Polskich.

W ogniu polemik

W 1893 r. Daszyński został redaktorem krakowskiej gazety „Naprzód”, która z czasem stała się głównym organem prasowym polskich socjalistów. Polityk zadbał o to, by periodyk ów nie stał się wyłącznie platformą do prowadzenia dyskusji partyjno-programowych – miał być przede wszystkim czytany przez osoby poszukujące drogi ideowej.

Wskutek tego część publikowanych w nim artykułów przypominała współczesne teksty w tabloidach – naświetlano afery z udziałem ziemian, skandale korupcyjne i towarzyskie. W ten sposób starano się przyciągnąć uwagę czytelników i zachęcić ich do poparcia programu socjalistów. Na czasopismo to regularnie nakładano sankcje prokuratorskie, sądowe, a nawet atakowano je z kościelnych ambon.



Broszura, „Ile się księdzu należy za śluby, pogrzeby itp.?" ze wstępem Ignacego Daszyńskiego, 1899 r.

Władze austro-węgierskie starały się przeciwdziałać krystalizacji ruchu socjalistycznego. Rozpędzano wiece, działaczy zatrzymywano w areszcie (sam Daszyński wielokrotnie stawał przed sądem i trafiał do aresztu), a nakłady pism konfiskowano. Z powodów konspiracyjnych Daszyński początkowo publikował pod pseudonimem „Żegota”, który zaczerpnął od słowa „żec” (palić), co miało nawiązywać do tłumaczenia jego imienia (łacińskie *ignis* – ogień). ©

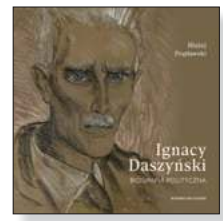

Fragment książki-albumu Błażeja Popławskiego „**IGNACY DASZYŃSKI. BIOGRAFIA POLITYCZNA**”, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Sejmowego. Zawiera ona także katalog obiektów ze zbiorów Kancelarii Sejmu związanych z Daszyńskim i przypomina główne etapy jego biografii, zwłaszcza aktywność jako pisarza politycznego i parlamentarzysty: w Wiedniu i potem w Sejmie II RP. Są tu m.in. ulotki, afisze, broszury, reprodukcje obrazów, a także karykatury z epoki.

eprasa.pl 1cc070d3f1



Chirurdzy z University of Maryland School of Medicine z sercem świni przed operacją przeszczepu u Davida Bennetta, 7 stycznia 2022 r.

SERCE OD ŚWINI

MUHAMMAD M. MOHIUDDIN, KSENOTRANSPLANTOLOG:

Nie sądziłem, że przeszczep serca świni człowiekowi będzie możliwy za mojego życia. Kiedy pierwszy pacjent obudził się po operacji, zapytałem go, jak się czuje. Odpowiedział: „chrum, chrum".

eprasa.pl 1cc070d3f1

MARIA HAWRANEK: Gdy w liceum uczyliśmy się anatomii człowieka, mój ojciec lekarz kupił serce świni i kroiliśmy je skalpelem. Dowiedziałam się wtedy, że pod względem budowy przypomina serce człowieka, ale przecież genetycznie – nie. Dlaczego więc w ksenotransplantacjach [przeszczepach międzygatunkowych – red.] pobiera się organy od świni, a nie np. bliżej z nami spokrewnionego szympansa?

DR MUHAMMAD M. MOHIUDDIN: Na początkowym etapie badań w tej dziedzinie rzeczywiście używano organów pawianów lub szympansów – przeszczepiono wiele nerek, kilka serc, w tym dziewczynce znanej jako Baby Fae, która otrzymała serce pawiana na Uniwersytecie w Loma Linda w 1984 r. i przeżyła 20 dni.

Małpy są nam genetycznie najbliższe, więc najbardziej sensowne wydawało się używanie ich organów. Ma to jednak swoje wady. Przykładowo, najbliżej z nami spokrewnione małpy rodzą jednorazowo tylko jedno młode i wolno dorastają, tak więc osiągnięcie rozmiarów pozwalających na przeszczepienie ich narządów dorosłemu człowiekowi zajęłoby im wiele lat. Pojawiły się też dowody na przenoszenie chorób z małp na ludzi – tak było np. z HIV, więc zrezygnowano z małp. Chociaż wiele państw wprowadziło ogólne moratorium na ksenotransplantacje, to równolegle zaczęliśmy szukać innych, mniej kłopotliwych gatunków.

I dlaczego padło akurat na świnie?

W ich przypadku wiele z problemów znika. Świnie świetnie rozwijają się w hodowli, nie wymagają specjalistycznego środowiska i rosną bardzo szybko. Wykorzystywane przez nas serca pochodziły od zaledwie jednorocznych osobników.

Co więcej, świnie wydają na świat liczne mioty, nawet po kilkanaście młodych, a ich ciąża jest krótka. Poza tym świetnie znamy ich genom, a dzięki dostępnym technologiom możemy go modyfikować – i to znacznie łatwiej niż w przypadku małp.

W grę wchodzą także kwestie etyczne. Codziennie na całym świecie ubija się łącznie ponad 4 miliony świń dla celów spożywczych. Wykorzystanie ich do celów medycznych w tym kontekście nie stanowi dylematu etycznego. Choć oczywiście pojawiły się inne problemy.

Świnia dawca to nie jest taka zwykła świnia. To najczystsze i najzdrowsze zwierzę, jakie można sobie wyobrazić, a jego życie zaczyna się od modyfikacji genetycznej. Opowie Pan o tym?

Zróbmy najpierw krok wstecz. Jeśli weźmiemy niezmodyfikowane świńskie serce i przeszczepimy je człowiekowi lub pawianowi – bo na pawianach testujemy nasze procedury – to zobaczymy, że błyskawicznie dojdzie do reakcji układu odpornościowego. Gdy tylko krew zaczyna przepływać przez serce, uruchamia się proces ostrego odrzucania, który prowadzi do zniszczenia organu.

Odkryliśmy, że ten proces ma związek ze zmianą genetyczną, do której doszło u naszych odległych przodków miliony lat temu. W jej wyniku utraciliśmy zdolność do wytwarzania pewnej struktury cukrowej, obecnej na powierzchni komórek innych ssaków, w tym świń. Nasz układ odpornościowy rozpoznaje ją jako obcy antygen i wytwarza przeciwko niemu przeciwciała. Pierwszym krokiem było więc wyłączenie u świni genu odpowiedzialnego za produkcję enzymu, który uczestniczy w powstawaniu tego antygenu.

To osiągnięcie Pańskiego zespołu utorowało drogę do pierwszej udanej operacji przeszczepu człowiekowi serca świni.

Po drodze musieliśmy wykonać jeszcze wiele kroków. W przypadku allotransplantacji [dawca i biorca należą do tego samego gatunku – red.] w odrzuceniu organu uczestniczą przede wszystkim limfocyty T. W przypadku ksenotransplantacji działają przeciwciała, które są już w organizmie, albo je szybko produkujemy. Gwałtownie atakują komórki śródbłonka naczyń krwionośnych, co prowadzi do krzepnięcia krwi w naczyniach. Ten mechanizm odpowiada za ostre odrzucenie. Po zidentyfikowaniu pierwszego problematycznego antygenu zaczęliśmy szukać kolejnych, a z czasem wprowadzać modyfikacje u świni, by ich komórki produkowały również ludzkie białka chroniące przeszczep przed odrzuceniem. Obecnie świnie wykorzystywane przez nas jako dawcy serca mają zmodyfikowanych dziesięć genów: cztery wyłączone i sześć wprowadzonych. Inna firma stosuje jeszcze inne konfiguracje genów.

Dorosłe świnie mogą ważyć 300-400 kg. Jak poradziliście sobie z tym, by serce rocznej świni nie rosło dalej w klatce piersiowej człowieka?

Istnieją dwie technologie. Pierwsza to wykorzystywanie świń miniaturowych. Druga – wyłączanie genu receptora hormonu wzrostu. Jednak każda ingerencja w naturę wiąże się z pewnymi problemami, które też staramy się rozwiązać.

W 2022 r. odbyła się pierwsza operacja przeszczepu serca genetycznie zmodyfikowanej świni człowiekowi. Musiało to być dla Pana niezwykłe przeżycie.

Tak, to efekt 30 lat moich badań. Udało nam się wyjąć serce świni i umieścić je w klatce piersiowej człowieka. Wcześniej nie przypuszczałem, że uda się zrobić taki przeszczep u człowieka za mojego życia. Nie mam słów, by opisać te emocje. Postęp w dziedzinie ksenotranplantologii był przez te trzy dekady tak powolny, że wielu ludzi straciło nią zainteresowanie. Bywało, że dwie czy trzy osoby zajmowały się tego typu badaniami.

Dwie-trzy osoby w USA?

Na całym świecie! Przede wszystkim dlatego, że to kosztowne – każdy międzygatunkowy przeszczep u małp to koszt ok. 0,5 mln dolarów, a u człowieka – 1,5 mln dolarów. Często słyszałem od rodziny pytania: Czy ty naprawdę nadal w to wierzysz? Dalej chcesz się tym zajmować? Chciałem, bo wierzyłem, że w ten sposób mogę pomóc jak największej liczbie osób, podtrzymać w nich nadzieję na życie. I miałem to szczęście, że kiedy pracowałem w National Institutes of Health, otrzymałem pełną swobodę działania i mogłem próbować wszystkiego, co przyszło mi do głowy. Z kolei firma United Therapeutics, z którą współpracuję, pomogła mi przejść od badań na zwierzętach do prób z udziałem ludzi.

Zabieg przeprowadzono w ramach tzw. humanitarnego dostępu do terapii („zastosowania podyktowanego współczuciem"), czyli procedury umożliwiającej leczenie pacjenta przed formalnymi badaniami klinicznymi.

Biorca, David Bennett, miał 57 lat i cierpiał na śmiertelną niewydolność serca, był już w terminalnej fazie choroby. ↦

UNIVERSITY OF MARYLAND /MEGA / THE MEGA AGENCY / FORUM

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ Z nowym sercem przeżył dwa miesiące. Kiedy prowadziliśmy ten zabieg, nie zakładaliśmy, że pacjent będzie żył po nim wiele lat. Pierwszy pacjent, któremu przeszczepiono serce innego człowieka, przeżył niecałe trzy tygodnie, dopiero potem nastąpił postęp.

Dla mnie sukcesem była już sama chwila, w której pacjent wybudził się po operacji. Można zamknąć oczy i wyobrazić sobie człowieka, w którego piersi bije świńskie serce – a on żyje i mówi. To była zdecydowanie najważniejsza chwila w moim życiu.

Co powiedział po operacji?

Kiedy się wybudził, zapytałem go, jak się czuje, a on odpowiedział: „chrum chrum".

Miał poczucie humoru! Istnieje przekonanie, że ludzie z przeszczepionym sercem czują i zachowują się inaczej niż przed operacją. Jak to się ma w przypadku świni?

Jeszcze na etapie przeszczepów u pawianów zastanawiano się, czy ze świńskim sercem nie zmienią obyczajów, ale nic takiego nie zaobserwowaliśmy – nadal zachowywały się jak pawiany. U ludzi po ksenotransplantacji również nie zauważyliśmy żadnych zmian.

W 2023 r. drugi człowiek otrzymał serce zmodyfikowanej świni. Było ich później więcej?

To wciąż są dwa takie przeszczepy w skali całego świata. Niedawno Amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA) wydała zgodę firmie, z którą współpracuję, na ograniczone badanie kliniczne obejmujące kolejnych dwóch pacjentów. W przypadku wstępnej fazy badania dotyczącego nerek będzie to sześciu pacjentów.

W tym roku w ksenotransplantacji nerek nastąpił przełom – pacjent po przeszczepie świńskiej nerki żył przez 271 dni bez dializ i doczekał się przeszczepu ludzkiego organu. Artykuł na ten temat opublikowano we wrześniu w czasopiśmie „The Lancet". Czy widzi Pan przeszczepy świńskich serc właśnie jako terapię pomostową?

Świnie żyją ok. 20 lat, teoretycznie więc człowiek po przeszczepie może żyć ze świńskim sercem przez 19 – i to właśnie zakładamy. W przypadku nerek procedura pomostowa jest łatwiejsza, ponieważ nie usuwa się własnej nerki pacjenta, tylko wszczepia kolejną. Ponowne otwieranie klatki piersiowej, usuwanie narządu i wszczepianie nowego jest bardzo dużym obciążeniem – pojawia się wiele zrostów i zachodzą różne zmiany. Pan Bennett pytał, czy po przeszczepie będzie miał większe szanse na serce ludzkie. Jednym z powodów, dla których nie zakwalifikowano go do takiego przeszczepu, był brak współpracy z jego strony – nie stosował się do zaleceń lekarskich i nie przyjmował leków.

Pytał nas, czy jeśli zacznie przestrzegać zasad, to otrzyma ludzkie serce. Nie da się jednak tego pacjentowi zagwarantować. W końcu powodem, dla którego w ogóle rozwija się dziedzina ksenotransplantacji, jest nieustanny niedobór organów do przeszczepu. Ale sądzę, że pomostowy przeszczep serca może być rozwiązaniem dla dzieci. Obecnie sprawdzamy też, czy udałoby się rozwiązać problem sztucznej zastawki – kiedy wszczepia się ją dzieciom, trzeba ją wielokrotnie wymieniać w ciągu życia, bo ich serce rośnie. Chcemy sprawdzić, czy świńskie zastawki rosłyby wraz z dziecięcym sercem.

W Polsce na Krajowej Liście Oczekujących na przeszczep serca stale znajduje się około 350-400 pacjentów. Liczba ta się nie zmienia, mimo że np. w 2024 r. wykonano ponad 200 przeszczepów. Ciągle dochodzą nowe osoby.

W USA wielu pacjentów umieszczonych na listach kwalifikacyjnych umiera, zanim doczeka się zabiegu. Ksenotransplantacja daje im przynajmniej nadzieję. Choć okresy 40 czy 60 dni, które udało nam się uzyskać, mogą wydawać się krótkie, to z perspektywy pacjenta i jego rodziny był to ogromnie ważny czas, w którym mogli zrealizować wiele rzeczy, jakie wcześniej planowali. Poza tym ten czas będzie rósł wraz z rozwojem technologii. Choć z dnia na dzień nie wydłużymy go z dwóch miesięcy do roku.

Pacjenci po ksenotransplantacji serca czuli się wystarczająco dobrze?

Nie czuli się idealnie, ale byli świadomi, że otrzymali kolejną szansę. A marzenia mieli bardzo skromne: David Bennett chciał tylko móc samodzielnie pójść do łazienki. Przed przeszczepem przez dwa miesiące był przykuty do łóżka, podłączony do aparatury podtrzymującej życie i bardzo schudł. Nie chciał wejść na Mount Everest, ale codziennie pytał: czy mogę już sam pójść do łazienki?

Udało mu się?

Tak.

A drugi pacjent?

Chciał wypić z żoną kawę na ganku. Wybraliśmy kogoś w lepszym stanie, ale jego serce i tak zatrzymało się dwukrotnie przed przeszczepem. Umarłby już wtedy, gdyby przebywał wówczas w domu, a nie w szpitalu.

David Bennett zmarł z powodu nieaktywnego wirusa, którego znaleziono w jego sercu?

Tę kwestię nieco wyolbrzymiono. Chodzi o wirusa PCMV w stanie utajenia, który bytuje w komórkach świni. W czasie badań przesiewowych nie został wykryty, ale stosowana wówczas metoda okazała się niewystarczająco czuła. Dziś mamy znacznie lepsze. Później we krwi pacjenta znaleziono fragmenty DNA wirusa – nie wiemy, czy wywołał reakcję zapalną w komórkach, a to doprowadziło do ich pęknięcia i uruchomienia procesu krzepnięcia krwi, czy komórki pękły w wyniku jakiegoś innego mechanizmu, uwalniając znajdujące się w nich fragmenty wirusa.

Czy to obecność wirusa spowodowała śmierć? Nie możemy tego jednoznacznie stwierdzić. Jesteśmy pewni tego, że wirus nie zainfekował komórek tego człowieka, sprawdziliśmy to w wielu badaniach. Jedynym śladem jego obecności były fragmenty DNA we krwi.

Drugi pacjent, Lawrence Faucette, żył sześć tygodni. Dobrze rozumiem, że przyczyną śmierci było odrzucenie przeszczepu?

Istotna różnica pomiędzy eksperymentami prowadzonymi przez nas na zwierzętach i ludziach polega na tym, że wybrane do badań zwierzęta są zdrowe, musimy więc zadbać jedynie o ochronę ich nowego serca. Owszem, z powodu podawania leków immunosupresyjnych, które osłabiają działanie układu odporno-

eprasa.pl 1cc070d3f1

ściowego, zmniejszając ryzyko odrzucenia przeszczepu, niektóre zwierzęta rozwijały infekcje, które trzeba leczyć. Ale ogólnie były w dobrym stanie.

W przypadku ludzi mamy oczywiście do czynienia z osobami będącymi o krok od śmierci. Ich organizm jest już wyniszczony. Serce nie funkcjonuje prawidłowo, inne narządy są uszkodzone, a układ odpornościowy jest osłabiony. Stawaliśmy więc przed dylematem: co ratować – serce czy cały organizm pacjenta? Zdecydowaliśmy się skupić na pacjencie. Często musieliśmy więc odstawiać leki immunosupresyjne, ponieważ pacjent ich nie tolerował. Ale to narażało serce na odrzucenie.

Gdyby pacjenci byli w lepszej kondycji i tolerowali immunosupresję – oraz gdybyśmy mogli utrzymać ją na takim samym poziomie jak u zwierząt – udałoby się nam znacznie wydłużyć czas funkcjonowania przeszczepu.

Zatem obecnie skupiacie się na takim prowadzeniu immunosupresji, aby była ona mniej szkodliwa dla pacjenta?

Dokładnie tak. Naszym celem jest ograniczenie immunosupresji, a być może także modyfikacja genów w taki sposób, by zapotrzebowanie na nią było mniejsze. Ideałem – jeśli można o takim marzyć – byłaby świnia, której wykorzystanie nie wymagałoby stosowania żadnej immunosupresji. Chodzi o pełne „uczłowieczenie" genetyczne świni. Dzięki temu można by ją mieć „pod ręką" – gotową do wykorzystania i pobrania narządu w dowolnym momencie, gdy zajdzie taka potrzeba.

Czy właśnie do tego dąży wspomniana przez Pana firma?

Tak. Są dwie takie firmy, które chcą produkować świnie do przeszczepów na ogromną skalę. Dysponujemy już technologiami umożliwiającymi transport pobranych narządów na duże odległości. W Europie udało się transportować serce przez dobę lub dłużej.

Dawniej w przypadku serca to były, zdaje się, tylko cztery godziny?

W przypadku przeszczepów serca trzeba się spieszyć: dostarczyć organ pacjentowi i od razu przeprowadzić zabieg. Natomiast w naszym szpitalu przeszczepów nerek nie wykonuje się w nocy. Gdy tylko lekarze pozyskają narząd, umieszczają go w urządzeniu perfuzyjnym, a sam zabieg planują na rano. To zrewolucjonizowało dziedzinę transplantologii. Wyobrażam sobie, że w przyszłości, jeśli w USA będzie nadmiar serc, nerek czy świńskich wątrób, będzie można je wysłać do Polski w specjalnym pojemniku.



UNIVERSITY OF MARYLAND

MUHAMMAD M. MOHIUDDIN jest pakistańsko-amerykańskim naukowcem i chirurgiem. Profesor na University of Maryland School of Medicine, pionier w dziedzinie ksenotransplantacji, której poświęcił 30 lat badań. Eksperymentując na modelach zwierzęcych, stworzył nowatorskie terapie immunosupresyjne, które umożliwiły dokonanie pierwszego w historii przeszczepu genetycznie zmodyfikowanego serca świni człowiekowi. Były prezydent Międzynarodowego Towarzystwa Ksenotransplantacyjnego.

Ludziom przeszczepiono do tej pory świńskie nerki, serce i wątrobę. Coś jeszcze?

Wyspy trzustkowe, czyli komórki odpowiedzialne m.in. za produkcję insuliny. W Nowej Zelandii przeprowadzono kilka takich zabiegów i uzyskano dobre wyniki. W Korei Południowej i innych krajach przeszczepiono też rogówkę. Jednak chyba największą pracę w dziedzinie ksenotransplantacji wykonują Chiny – mają firmy zajmujące się hodowlą świń do tego celu i przeprowadzają przeszczepy u ludzi, choć jeszcze nikt nie przeszczepił tam akurat serca.

Gdy już uporamy się z mechanizmem odrzucania przeszczepu i opracujemy skuteczną metodę immunosupresji lub odpowiednią rasę świń, będzie można przeszczepiać dowolny narząd – choćby jelito, trzustkę, a nawet płuca. Płuca to najtrudniejszy przypadek.

Dlaczego?

Posiadają rozbudowaną sieć naczyń krwionośnych – to właśnie tam zachodzi wymiana gazowa. Dlatego powierzchnia, do której mogą przyłączyć się przeciwciała, jest ogromna.

Istnieją inne niż ksenotransplantacja sposoby na radzenie sobie z brakiem organów do przeszczepu – próbuje się je np. hodować w laboratorium z komórek macierzystych. Są jeszcze inne rozwiązania?

Przede wszystkim druk 3D.

Druk żywych organów?

Tak. Drukuje się np. ucho, nos, fragment skóry. Każdy organ wymaga innego „tuszu" komórkowego. Udało się nawet wytworzyć fragmenty płuca i serca, ale nie jest to jeszcze technologia dopracowana na tyle, by można było je przeszczepić. Docelowo będzie można wydrukować serce dokładnie takie samo jak twoje własne.

W Chinach prowadzi się także badania nad hodowaniem ludzkich organów w organizmie świni.

Sądzi Pan, że niebawem świńskie serca i inne organy będą dostępne powszechnie do przeszczepów?

Cieszę się, że ksenotransplantacja tak bardzo się rozwija i na całym świecie ludzie są nią teraz podekscytowani. Musimy jednak zachować dużą ostrożność, bo kilka niepowodzeń może zniweczyć dotychczasowe osiągnięcia. Musimy polegać na naszych metodach, uczyć się na błędach, udoskonalać to, co wypracowaliśmy, i otwarcie dzielić się wiedzą. Przy drugim pacjencie wprowadziliśmy zmiany względem pierwszego – zachowaliśmy większą ostrożność w stosowaniu niektórych preparatów. Wciąż jest wiele do odkrycia, ale wierzę, że pewnego dnia ksenotransplantacje staną się rutynową procedurą. Kiedy dokładnie? Nie wiem. Może za rok, może za dziesięć lat.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

eprasa.pl 1cc070d3f1

Najpierw pytanie



Leki na otyłość zaczęły się od jaszczurki, narzędzie do badania mózgu – od glonu, a szyfry chroniące przelewy – od matematyki, którą jej twórcy uważali za bezużyteczną. Badaniom podstawowym rzadko towarzyszy plan, do czego mogą doprowadzić. Skąd więc wiadomo, za które pytania warto zapłacić?

Na początku lat 90. niemiecki biofizyk prof. Peter Hegemann badał *Chlamydomonas* – jednokomórkowy glon, który płynie w stronę światła i reaguje na błysk w pół milisekundy. Razem z prof. Georgiem Nagelem znalazł odpowiedzialne za to białko: kanał jonowy, który sam otwiera się pod wpływem światła. W 2005 r. zespół prof. Karla Deisserotha ze Stanfordu wprowadził gen tego białka do neuronów i zaczął włączać je błyskami światła. Tak powstała optogenetyka, dziś jedno z podstawowych narzędzi badania mózgu. 5 października cała trójka dostała za nią Nagrodę Nobla z fizjologii lub medycyny.

W latach 90. nikt nie finansował optogenetyki, bo jej nie było. Ktoś sfinansował pytanie, jak glon widzi światło. Podobnie pierwszy lek z grupy, do której należą dzisiejsze leki na cukrzycę i otyłość, wywodzi się z badań jadu helodermy – jaszczurki, która potrafi miesiącami obywać się bez jedzenia. Współczesna kryptografia wykorzystuje zaś teorię liczb, którą brytyjski matematyk G.H. Hardy cenił właśnie za brak praktycznych zastosowań.

W Polsce podobne badania od 15 lat finansuje przede wszystkim Narodowe Centrum Nauki. Z jego grantów korzystali wszyscy opisani dalej polscy badacze.

Wynik, który nie pasował

W sierpniu „Nature" opublikował pracę zespołu prof. Marcina Poręby z Politechniki Wrocławskiej i badaczy z amerykańskiej firmy Genentech. Wrocławscy chemicy badali pyroptozę – jeden z mechanizmów obronnych organizmu. Zaatakowana przez patogen komórka ginie, pęka i uwalnia sygnały, które alarmują układ odpornościowy. Kiedy jednak proces wymknie się spod kontroli, rozkręca stan zapalny, który niszczy tkanki. Badacze chcieli zrozumieć, które enzymy uruchamiają pyroptozę i w jakiej kolejności.

Przełom przyniósł eksperyment przeprowadzony na odwrót. Dr Katarzyna Groborz, która doktorat zrobiła w katedrze Poręby, a potem trafiła na staż do Genentechu, najpierw wywołała pyroptozę, a dopiero potem dodała badane związki. Część z nich zatrzymała proces, który już trwał. – Taki eksperyment można było pominąć i powtórzyć „porządnie". Ale ona zadała sobie pytanie, dlaczego to się stało – mówi Poręba. Do tego jeden ze związków wysłano przez pomyłkę w niedokończonej postaci. Zadziałał najlepiej. Okazało się, że umierająca komórka dziurawi własną błonę, a przez te otwory cząsteczka wchodzi tylko tam, gdzie zaprogramowana śmierć już się zaczęła. – Anomalie prowadzą do przełomów. Jeśli eksperyment zgadza się z hipotezą, to czasami dlatego, że problem nie był dość ambitny – mówi badacz.

Na komórkach i u myszy z wywołanym stanem zapalnym metoda działa. Czy kiedyś pomoże ludziom, na przykład w sepsie, którą napędza wiele mechanizmów, pokażą lata dalszych badań.

Zapisane w cząsteczce

Prof. Róża Szweda z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu kieruje zespołem programowalnych polimerów. – Polimery to jakby sznury koralików. Znaczenie ma nie tylko rodzaj tych „koralików", ale także ich kolejność i przestrzenne ułożenie. My próbujemy sprawdzić, czy te elementy mogą działać jak kod, który programuje strukturę i funkcję całej cząsteczki – tłumaczy. W przyrodzie na podobnej zasadzie działa DNA, w którym kolejność nukleotydów stanowi zapis informacji genetycznej. Jej zespół chce osiągnąć podobną precyzję w cząsteczkach syntetycznych.

W jednym z projektów zespół próbuje w ten sposób zapisywać dane: jeden rodzaj koralika to zero, drugi – jedynka. Taki zapis już pokazano, ale wyzwaniem pozostaje sprawny odczyt zakodowanej informacji. Szweda chce, by łańcuch zdradzał treść, emitując światło. – Jesteśmy jednak na samym początku. Sprawdzamy, czy to w ogóle będzie możliwe – zastrzega. W drugim projekcie, finansowanym przez Europejską Radę ds. Badań Naukowych, zespół wykorzystuje kontrolę trójwymiarowej struktury takich łańcuchów do tworzenia sztucznych enzymów, które miałyby przyspieszać reakcje chemiczne.

– Sprawdzamy hipotezę. Jeśli nie działa, szukamy innych rozwiązań: jak nie drzwiami, to oknem – mówi Szweda. W projektach nastawionych na zastosowania wymaga się bardzo szczegółowego planu badań już na etapie wniosku. To może ograniczać elastyczność i skłaniać do wybierania

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 1cc070d3f1





NCN / ŁUKASZ BERA X3

bezpieczniejszych ścieżek zamiast podejmowania ryzyka, które bywa konieczne do osiągnięcia przełomu.

Nigdy nie byliśmy sami

Dr hab. Małgorzata Kot, prof. UW, zajmuje się czasem, gdy *Homo sapiens* nie był jedynym człowiekiem na Ziemi – jeszcze 50–60 tys. lat temu żyli obok nas neandertalczycy i denisowianie. Dotychczas pojawienie się w Azji Centralnej nowych sposobów wytwarzania narzędzi wiązano z ekspansją ludzi współczesnych sprzed ok. 40–50 tys. lat.

Tymczasem w zachodnim Tienszanie ślady podobnej techniki leżą w warstwach sprzed nawet 70 tys. lat – zanim nasz gatunek miał tam dotrzeć. Albo ludzie współcześni przyszli znacznie wcześniej i to tam wymyślili nową technikę, albo wynalazcami byli neandertalczycy lub denisowianie. Albo – jak dopuszcza Kot – innowacja zrodziła się ze spotkania obu populacji.

Rozstrzygnąć to mogą kości i DNA, a te w gorącym, suchym klimacie przetrwały tylko w jaskiniach – wysoko w górach, dokąd nie prowadzą żadne szlaki. Zespół szuka jaskiń nawet na zdjęciach, które górscy wędrowcy wrzucają do mediów społecznościowych. W jednej z jaskiń obok kamiennych narzędzi natrafił na paleniska i kości.

Archiwum w ziemi

Dr Dawid Kobiałka z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego, tegoroczny laureat Nagrody NCN, wychował się w Chojnicach, na skraju pól nazywanych Doliną Śmierci. Zimą zjeżdżał tam z kolegami na sankach.

Jesienią 1939 r. Niemcy rozstrzeliwali tu inteligencję, rolników, robotników i pacjentów szpitali psychiatrycznych, a w 1945 r. palili ciała więźniów. Wiadomo było, że egzekucje odbywały się „pod miastem", ale nie wiadomo gdzie. – To tak, jakby wiedzieć, że książka jest w jakiejś bibliotece w Krakowie. Prawda, ale bez wartości poznawczej. My ustalamy półkę, stronę i akapit – tłumaczy archeolog.

Jako doktorant usłyszał, że to nie jest nauka i nikt nie da na to złotówki. Pierwsze rozpoznanie w 2020 r. przyniosło obrączkę z grawerem, znalezioną wśród spalonych kości. Pozwoliła zidentyfikować 26-letnią kurierkę AK Irenę Szydłowską. – Nie odnajdujemy artefaktu, tylko jego właściciela – mówi Kobiałka. W 2021 r. złożył projekt grantowy „Archeologia zbrodni pomorskiej 1939" i dostał finansowanie. W 2023 r., po dwóch tygodniach bezowocnych wykopalisk, prokurator IPN zdecydował o zakończeniu prac. Następnego dnia, gdy zaczęto zasypywać wykopy, po 20 minutach zespół trafił na szczątki chojnickiej inteligencji. Rok później odnalazł grób zamordowanych pacjentów. We wrześniu 2024 r. w chojnickiej bazylice pochowano ok. 700 ofiar. – Bawiliśmy się na dołach śmierci, które odnaleźliśmy ponad 30 lat później – wspomina archeolog.

Umowa z niewiadomą

W ciągu 15 lat NCN sfinansowało ponad 34 tys. projektów badawczych za ponad 19,7 mld zł. Wspiera badania we wszystkich dziedzinach nauki – od wiedzy o przeszłości po fizykę fazy skondensowanej – i na każdym etapie kariery naukowej, od osób przygotowujących doktorat po doświadczonych profesorów. O tym, kto otrzyma pieniądze, decyduje ocena ekspertów w konkursach. Ponad 90 proc. oceniających wnioski pracuje za granicą. Podobne instytucje, przyznające publiczne środki na badania w drodze konkursów, działają w całej Europie.

Jak zauważa Poręba, wyniki nie muszą przyjść od razu – mogą się pojawić nawet po zakończeniu projektu. – Dzięki temu można budować duże historie – mówi.

Większość badań nie kończy się okładką „Nature". Hipotezy upadają, a wykopaliska niewiele przynoszą – przez dwa tygodnie nie przynosiły też w Chojnicach. Negatywny wynik też jest wynikiem, bo pokazuje, gdzie nie szukać. Państwo, które finansuje naukę, płaci więc za pracę, której wyniku nie zna i która może nie przynieść zastosowania. Jeśli nie zapłaci, najważniejsze pytania będą zadawać i rozstrzygać inni. – Każdy lek, każda terapia bierze się z wiedzy. I tę wiedzę ktoś musi zbudować – mówi Poręba. Naszej przeszłości również nikt za nas nie zbada. – Ofiary, które oddały życie za nas wszystkich, wymagają od nas, żeby po tylu dekadach nie zalegały w krzakach, bagnach i na nieużytkach. Szacunek do przeszłości świadczy o tym, kim jesteśmy dziś jako państwo i społeczeństwo – mówi Kobiałka. ©

eprasa.pl 1cc070d3f1

WOJCIECH

Bonowicz:
Poezja rzeczy małych



Wśród wielu niezauważonych literackich rocznic minęła i ta – setna rocznica urodzin Małgorzaty Hillar. Debiutowała wraz z pokoleniem „Współczesności", pierwszą książkę z wierszami wydała w 1957 roku, ponieważ jednak wiekiem bliżej jej było do autorek i autorów nieco starszych, w kontekście pokoleniowym rzadko się o niej wspomina. Nie bez znaczenia jest zapewne i to, że wiele było wówczas debiutów wybitniejszych; przyjmijmy, że historia literatury waży to mniej więcej sprawiedliwie. Byłoby jednak źle, gdybyśmy nie pamiętali, z jakim entuzjazmem przyjmowana była w tamtym czasie jej poezja.

Zdarzyło mi się kilkakrotnie słyszeć od osób studiujących na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, że Hillar była dla nich poetką ważną, kultową. Czytano ją chętniej niż debiutującą rok później Halinę Poświatowską, co z dzisiejszej perspektywy może dziwić. Ale tak było – poezję jej uważano za przystępną i bezpośrednią, jej książki nieustannie krążyły w wypożyczeniach, a zakochani ofiarowywali je sobie w prezencie. Dość powiedzieć, że trzeci tom wierszy, zatytułowany „Krople słońca", który poetka przygotowała w cztery lata po debiucie, był właściwie wyborem z dwóch poprzednich tomów, nowych wierszy było w nim niewiele, a mimo to wyszedł w wysokim, jak na poezję, nakładzie sześciu tysięcy egzemplarzy, bo tak duże było zainteresowanie.

Większość recenzentów była przychylna temu, co pisała, ale w recenzje wkradał się też ton pewnej pobłażliwości. Przylgnęło do niej określenie „wnuczka Różewicza", użyte przez Jerzego Kwiatkowskiego, o tyle zabawne, że od autora „Niepokoju" młodsza była zaledwie o pięć lat. Właściwie tylko Anna Kamieńska naprawdę doceniła umiejętności Małgorzaty Hillar. Zwróciła uwagę na subtelny sensualizm jej utworów. „Od dawna nie czytałam wierszy o miłości tak szczerych i pozbawionych pruderii", pisała na łamach „Twórczości". Jej recenzja nosiła zresztą znamienny tytuł – „Rzeczy małe". Bo istotnie, poezja Małgorzaty Hillar zajmowała się tym, co powszednie, nieefektowne, niekiedy stanowiące codzienne tabu, a przez to nieopowiadane. Modele męskości i kobiecości nieprzystające do współczesnego życia, egzaltacje i chłód pojawiające się w relacjach, erotyczne radości i rozczarowania, wreszcie – sprzeczne emocje towarzyszące macierzyństwu. Jej najlepsze wiersze mogłyby śmiało stanąć nie tylko obok utworów Poświatowskiej, ale też późniejszych dokonań Anny Świrszczyńskiej.

Osobisty dramat i związana z nim choroba alkoholowa sprawiły, że poezja Hillar nie miała szans się rozwinąć. Poruszające są jej ostatnie utwory, mówiące o cierpieniu, bezsilności i trudnym dochodzeniu do równowagi. Także i tu najbardziej przejmujące wiersze to te pisane z „małej" perspektywy, umieszczone w najbliższym otoczeniu. Jak piękny wiersz „Ściana", którego obszerny fragment tu zamieszczam:

Wybacz ściano
że przeze mnie jesteś brudna i pusta
bo pospadały z ciebie obrazy
w które ubierałam cię
z wielkim staraniem i radością

a teraz nie jestem w stanie
podnieść ich z podłogi
aby ubrać cię w nie z powrotem

Kocham cię ściano
za twoją cierpliwość
z jaką słuchasz mojego płaczu

Kocham cię ściano
za to że nie muszę
bać się ciebie

Kocham cię ściano
za to że nie mówisz
z szyderczym uśmiechem
że jestem leniwa

Kocham cię ściano
za to że nie żądasz
abym katując siebie
pomalowała cię
na żółty kolor radości
który i tak przecież
zobaczę na czarno

Błogosławię cię ściano
gdyż wiem
że jedynie ty
będziesz wierną towarzyszką
mojej śmierci

„Porażona cierpieniem przestałam pisać, mając bardzo wiele do napisania", mówiła pod koniec życia. Ilekroć czytam „Ścianę", myślę o tym, jak niewiele jest w gruncie rzeczy wiarygodnych wierszy o samotności. A także o innych tak powszednich przecież doświadczeniach, negatywnych i pozytywnych. Litania albo raczej wyznanie miłosne do ściany-przyjaciółki to jeden z tych utworów, których nie sposób zapomnieć, jeśli się raz nań trafiło. Wiarygodna w swych rozliczeniach Małgorzata Hillar pozostawiła nam wiersz, w którym smutek łączy się z paradoksalną konsolacją. Ledwie słyszalną, na granicy rozpaczy, ale jednak – konsolacją. Jak to możliwe? Nie wiem.

Dlatego chcę o niej przypomnieć. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl 1cc070d3f1

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 44/2026

GDAŃSK

Miasto literatury UNESCO



KORNELIA GŁOWACKA-WOLF / DOM LITERATURY W GDAŃSKU

eprasa.pl 1cc070d3f1

Literatura łączy miasta

ELŻBIETA FOLTYNIAK, DYREKTORKA DOMU LITERATURY W GDAŃSKU:

Zależy nam na zaprezentowaniu gdańskich twórców poza miastem i Polską. Dzięki tytułowi UNESCO możemy zapraszać więcej zagranicznych gości, pokazywać inne literatury.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Co przez rok zmienił tytuł Miasta Literatury UNESCO?

ELŻBIETA FOLTYNIAK: Ten rok otworzył nowe możliwości współpracy. Dla autorów oznacza dostęp do rezydencji i większą szansę na pokazanie twórczości za granicą. Dla czytelników – spotkania z literaturą innych miast i krajów.

Gdańsk kilka lat temu postanowił mocniej inwestować w literaturę. Dołączenie do sieci UNESCO miało umocnić jej pozycję. Zbiegło się też z powołaniem Domu Literatury: w lipcu 2025 r. powstaliśmy jako samodzielna miejska instytucja, w październiku otrzymaliśmy tytuł.

W badaniu gdańskiego pola literackiego, przy którym pracowałem, autorzy mówili o słabej widoczności poza Trójmiastem. Udaje się to zmieniać?

W raporcie pojawiało się poczucie, że Kraków, Warszawa i inne miasta przyjeżdżają na nasze festiwale, ale ruch w drugą stronę jest słabszy. Dlatego zależy nam na pokazywaniu gdańskich twórców poza miastem i Polską.

Możemy organizować rezydencje wymienne i zapewnić autorom z Trójmiasta pobyt w innym mieście, jak w przypadku tegorocznej wymiany z Barceloną. Część zagranicznych programów jest dostępna wyłącznie dla osób związanych z Miastami Literatury UNESCO. Widzę, że nasi autorzy chętniej aplikują o zagraniczne pobyty.

Niedługo wirtualną rezydencję w Melbourne rozpocznie gdański slamer Marcin Makowski. Będzie pracował z tamtejszym środowiskiem przez internet. Taka forma ma ograniczenia, ale pozwala poznać ludzi, których inaczej by się nie spotkało.

W październiku w Bremie odbędzie się spotkanie z Dorotą Karaś, Markiem Sterlingowem i Michałem Ślubowskim. Na tamtejszym festiwalu ponownie pojawią się też nasi komiksiarze. Dzięki sieci łatwiej doprowadzić do takich spotkań.

A co z tego mają mieszkańcy, którzy po prostu lubią czytać?

Możemy zapraszać więcej zagranicznych gości, pokazywać inne literatury, włączać do programu tematy przekładów. Przykładem są tegoroczne Gdańskie Targi Książki. Po raz pierwszy miały gościa honorowego i był nim Lwów – Miasto Literatury UNESCO. Chcemy razem z organizatorami utrzymać tę tradycję: co roku zapraszać kolejne miasto i poszerzać program.

Jest jeszcze poczucie wspólnoty. Chciałabym, żeby mieszkańcy znali ten tytuł i czuli dumę, że żyją w mieście dbającym o książki i czytanie.

Gdańsk ma Grassa, Huellego, Janion, Chwina. Jak sprawić, żeby literacka tradycja była dziś czymś żywym?

Przy aplikowaniu do UNESCO ważne były duże nazwiska, ale też tradycje drukarskie i historia gdańskiego rynku książki. Dbamy, żeby to dziedzictwo było obecne i dostępne.

Taką próbą jest mapa poświęcona Marii Janion. Przypominamy jej myśl mieszkańcom, a dzięki wersji anglojęzycznej możemy opowiadać o niej partnerom, którzy często w ogóle jej nie znają. Z mapy mogą korzystać również niepolskojęzyczni Gdańszczanie.

Trzy–cztery razy w roku organizujemy spotkania performatywne. Zapraszamy reżyserów do pracy z tekstem, stawiając jeden warunek: ma być gdański. Sięgamy po współczesną literaturę, ale też utwory niemieckojęzycznych poetek dawnego Gdańska. Przed nami spotkanie oparte na tekstach Janion.

Kto dzisiaj tworzy literacki Gdańsk? Kogo warto usłyszeć poza Trójmiastem?

To duże, ale rozproszone środowisko. Mamy silną poezję i aktywny slam. Są osoby przed debiutem książkowym, są też takie, które skupiają się na performatywnym wymiarze literatury. Slamerzy regularnie występują w różnych miejscach miasta.

Zdarzają się znakomite debiuty, jak książka Kory Tei Kowalskiej, nominowana do Nike. Kora jest mocno związana z Gdańskiem także przez swoją pracę. Ciekawy jest nurt ekologiczny, obecny choćby u Justyny Wicenty i Barbary Piórkowskiej. „Badylara" Wicenty ukazała się zresztą nakładem miejscowej biblioteki.

A ci, którzy dopiero próbują pisać – czego potrzebują?

Czasem przestrzeni i motywacji. Raz w miesiącu odbywa się u nas „Wspólne Pisanie", organizowane przez poetkę Urszulę Sikorę. Przychodzą ludzie, którzy w domu nie mają warunków do pracy albo trudno im się zmobilizować. Pomaga im, że piszą razem z innymi. Duża frekwencja pokazuje, jak potrzebne są takie spotkania. Dochodzą do tego studenci i absolwenci sztuki kreatywnego pisania na Uniwersytecie Gdańskim.

Po raz pierwszy odbędzie się też u nas „Rezydencja przed Debiutem", realizowana ze Staromiejskim Domem Kultury w Warszawie i Krakowskim Biurem Festiwalowym. Liczba zgłoszeń przekroczyła nasze oczekiwania. Widać, że potrzebne jest wsparcie jeszcze przed wydaniem pierwszej książki.

Chcemy zaprosić piszących na szkolenia dotyczące prawa autorskiego, przedstawiania książki wydawcy czy negocjowania warunków współpracy. Autor potrzebuje również wiedzy, która pozwoli mu pewniej poruszać się na rynku wydawniczym.

Jak mają się miejscowi wydawcy i księgarze?

eprasa.pl 1cc070d3f1



KORNELIA GŁOWACKA-WOLF

Zespół programowy Domu Literatury. Od lewej: Marta Pilarska, Natalia Osińska, Maria Iwaniak, Elżbieta Foltyniak, Aleksandra Stokowiec, Katarzyna Andrulonis

Wydawnictw nie mamy wielu, ale są ważne. Słowo/obraz terytoria zajmuje istotne miejsce w polskiej humanistyce. Marpress buduje dużą część oferty wokół literatury krajów basenu Morza Bałtyckiego. Ambitną literaturę publikują też niewielkie oficyny. Części Proste wydały kilka lat temu książkę Anne Carson, tegorocznej noblistki.

Księgarń kameralnych również jest kilka, jedna – Tajne Komplety – działa w naszej siedzibie przy Długiej 35. Miasto ma dla wydawców i księgarzy dwa mechanizmy wsparcia. Gdański Fundusz Promocji Wydawnictw jest skierowany do oficyn z całej Polski. Jeśli książka ma związek z Gdańskiem – przez autora, temat, wydawcę czy z innego powodu – można ubiegać się o dofinansowanie jej promocji. Wniosek można złożyć przez cały rok.

Gdański Fundusz Zakupu Wydawnictw służy lokalnym wydawcom i księgarniom. Zakupione książki promują czytelnictwo: są przeznaczone m.in. na nagrody w konkursach organizowanych lub współorganizowanych przez Gdańsk, na rzeczowe wsparcie Wielkiego Maratonu Czytelniczego – ogólnopolskiego konkursu dla dzieci i młodzieży – oraz przekazywane do filii bibliotecznych i bibliotek szkolnych. Dla podmiotów działających i płacących podatki w Gdańsku to realny zastrzyk finansowy.

Do tego dochodzą obniżki czynszów dla księgarń. Jako młoda instytucja nie zdążyliśmy zająć się wszystkimi sprawami. Będziemy szukać kolejnych sposobów wsparcia.

Patrząc z południa Polski, łatwo zapomnieć, jak mocno Gdańsk jest zwrócony ku Bałtykowi.

Znam perspektywę Krakowa i Gdańska: te miasta tworzą różne relacje. Kraków patrzy na południe, ku krajom Grupy Wyszehradzkiej i dawnej Galicji. W Gdańsku naturalnym kierunkiem współpracy są kraje basenu Bałtyku. Morze jest dla mieszkańców ważnym elementem tożsamości, nawet jeżeli rzadko nad nie jeżdżą. Działa u nas Nadbałtyckie Centrum Kultury, Marpress rozwija ofertę związaną z morskością.

Ważne pozostaje Wilno, ze względu na przesiedlenia po II wojnie światowej i historię powojennego Gdańska. Ważny jest także Lwów. Szczególnym partnerem jest Brema: choć leży w pewnym oddaleniu od morza, ma hanzeatycką przeszłość. Historia Hanzy tworzy między miastami wspólnotę doświadczeń. Relacje z Wilnem i Bremą są żywe również na poziomie miejskim: partnerstwo rzeczywiście przekłada się na współpracę.

Skąd w tym gronie Barcelona?

Zaczęło się od kontaktu i chęci zrobienia czegoś wspólnie. Barcelona jest wielokulturowa, jest stolicą Katalonii, a zarazem częścią Hiszpanii. Czuliśmy, że coś nas łączy, a jednocześnie wystarczająco dużo dzieli, żebyśmy mogli się od siebie uczyć.

Działa tam bardzo aktywny kataloński PEN Club. To ważny kontekst rozmowy o wolności słowa i demokracji, wartościach bliskich Gdańskowi. Przez historię Solidarności nasze miasto jest z nimi mocno kojarzone. Łączy nas troska o niezależność i różnorodność.

Czytelnicy częściej przychodzą na spotkania, kupują więcej książek? Widać już zmianę?

Nie wiem, czy więcej kupują i wypożyczają. Widzę natomiast, co dzieje się u nas.

Przestrzeń przy Długiej 35 działa od 2022 roku. Publiczność trzeba było budować od początku: wcześniej mieściła się tam siedziba Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, później Polsko-Rosyjskiej. Zaczął tę pracę zespół Marcina Hamkały, ówczesnego pełnomocnika ds. projektu Gdańsk Miasto Literatury, a my ją kontynuujemy. Mamy już stałych odbiorców, którzy znają to miejsce, lubią je i wracają.

Podczas tegorocznych Gdańskich Targów Książki przypominaliśmy o zbliżającej się rocznicy przyznania tytułu UNESCO. Zaskoczyło nas, jak wiele osób kojarzyło nasze działania. Rozpoznawali tytuł, Długą 35, księgarnię. Oczywiście na targi przychodzą ludzie zainteresowani książkami, ale czytają również literaturę, której nie znajdą w naszym programie. Tym bardziej cieszyło nas, że docieramy szerzej. ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

Co zmieni przeprowadzka na Sierocą?

Powstanie wystawa stała o literackim Gdańsku. Niewielka, ale obejmująca wiele wątków: tradycję, współczesność, wpływ wielokulturowości i morza na życie literackie. Przygotowujemy ją dla mieszkańców i gości z Polski i z zagranicy, którzy dopiero poznają tę historię.

Będziemy mieć trzy sale edukacyjne i pięć mieszkań rezydencyjnych. Warsztaty dla dzieci cieszą się dużym zainteresowaniem. Chcemy rozwijać program edukacyjny jeszcze przed przeprowadzką.

Powstanie też przestrzeń wystaw czasowych, niewielka księgarnia i kawiarnia. Ważnym elementem będzie archiwum gdańskich tekstów wraz z czytelnią. Będziemy je budować przez długi czas.

Co czeka nas w kolejnym roku?

W 2027 r. przypada stulecie urodzin Güntera Grassa. Poświęcimy jego tekstom spotkanie performatywne, nową edycję mapy literackiej, planujemy też rezydencję grassowską. Współpracujemy z Bremą i Lubeką, miastami ważnymi dla jego biografii. Grass był pisarzem niemieckim i zarazem gdańskim. Chcemy uwzględnić te perspektywy i wyjść z jubileuszem poza miasto.



KORNELIA GŁOWACKA-WOLF

ELŻBIETA FOLTYNIAK – dyrektorka Domu Literatury w Gdańsku. Współtworzyła program Kraków Miasto Literatury UNESCO, organizowała festiwale Conrada i Miłosza oraz rozwijała program rezydencji literackich.

Będziemy rozwijać ofertę rezydencyjną i program przy Długiej. Dalej będzie działać internetowe pismo „Miasto Literatury", w którym publikujemy poezję, prozę, krytykę i wywiady.

Wiosną podczas festiwalu „Odnalezione w tłumaczeniu" zostanie przyznana Nagroda Translatorska im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Zgłoszenia zbieramy do końca listopada. Od tego roku nagrodą opiekuje się Dom Literatury.

Mam nadzieję, że festiwal będzie kolejną okazją do zaproszenia przedstawicieli Miast Literatury UNESCO. W tym roku gościliśmy sześć miast podczas Europejskiego Poety Wolności. Chcemy, żeby partnerzy poznali miejscowych twórców i żeby z tych wizyt wynikały kolejne wspólne działania.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Rok z UNESCO

Od listopada 2025 r. do połowy października 2026 r. w programie Domu Literatury w Gdańsku znalazło się blisko 100 wydarzeń z udziałem ponad 2 tys. uczestników. Stoisko instytucji na Gdańskich Targach Książki odwiedziło około 750 osób.

REZYDENCJE I WYMIANY

Magda Danaj pojechała na rezydencję do Barcelony, a do Gdańska przyjechała Emma Mussoll. Z Bremy przybyła Gianna Lange, której książkę wydał Marpress. Kolejne pobyty odbyły się we współpracy z Instytutem Polskim w Belgradzie. Dom Literatury przejął też prowadzenie programu „Piszę w Gdańsku!", uruchomionego w 2021 r. przez Instytut Kultury Miejskiej.

JANION NA MAPIE

Marcin Mokry i Karolina M. Wiśniewska podczas rezydencji przygotowali nową odsłonę Literackiej Mapy Gdańska, poświęconą Marii Janion w stulecie jej urodzin. Mapa i towarzysząca jej gra zachęcają do poznawania miasta poprzez teksty badaczki.

MIEJSCE DLA DEBIUTÓW

We współpracy z Uniwersytetem Gdańskim ukazała się antologia „Całkowicie różne", prezentująca teksty absolwentek i absolwentów sztuki kreatywnego pisania. W naborze do programu „Rezydencja przed Debiutem" wyłonieni zostali Volha Zarouskaya, Miłosz Klajner i Zofia Jakubowicz-Prokop.

LITERATURA W NOWYCH FORMACH

Cykl czytań performatywnych sięga po gdańskie teksty, m.in. Róży Ostrowskiej i Justyny Wicenty. Wśród rezydentów byli również twórcy związani z Gdańską Szkołą Reportażu Graficznego: Jeff Hemmer, Anna Ivanenko i Jenya Polosina.

POMYSŁY OD MIESZKAŃCÓW

Uruchomiono otwarty nabór inicjatyw literackich. Dwa razy w roku osoby prywatne, grupy nieformalne i organizacje pozarządowe mogą zgłaszać pomysły do realizacji.

TEKSTY I OBRAZY

Internetowe pismo „Miasto Literatury" opublikowało około 250 tekstów i 150 ilustracji.

BEZPIECZNE MIEJSCE DO PRACY

Do lipca 2026 r. w Gdańsku przebywali kubańscy twórcy Javier L. Mora i Zulema Gutiérrez. Ich pobyt odbywał się w ramach Międzynarodowej Sieci Miast Schronienia ICORN, do której Gdańsk należy od 2017 r.

KOLEJNE KROKI

Potwierdzone są kolejne pobyty autorów i tłumaczy oraz rezydencja badawcza wokół dorobku Marii Janion. Przygotowywane jest też czytanie jej tekstów. W 2027 r. nowa mapa literacka i rezydencje mają być poświęcone Günterowi Grassowi. © MS

eprasa.pl 1cc070d3f1

Być jak Maria Janion

MICHAŁ SOWIŃSKI

Gra przygotowana w stulecie urodzin Marii Janion prowadzi przez 27 miejsc w Gdańsku. Zebrane karty z cytatami układają się w dialogi – od zaczepek po osobiste wyznania. Wszystko zależy od uczestników.

Przyjeżdżała z Warszawy raz w miesiącu, na piątek i sobotę – tak gdańskie wizyty Marii Janion opisuje Małgorzata Książek-Czermińska we wspomnieniu „Spotkanie z czarownicą". Słuchacze chodzili wtedy na wszystkie jej zajęcia, od rana do wieczora: seminaria doktoranckie, studenckie, otwarte konwersatoria. „Trzeba było nabrać zapasów intelektualnych na czas jej nieobecności" – pisała Czermińska. Z tym zapasem zostawali do następnego przyjazdu.

Janion przez lata kształciła w Gdańsku przyszłych pisarzy i badaczy literatury. Wśród jej uczniów byli Stefan Chwin, Zbigniew Majchrowski i Stanisław Rosiek, którzy z czasem stali się jej współpracownikami. Na seminariach uczyli się uważnej lektury, spierali o znaczenie tekstów i podważali utarte interpretacje. Ten sposób pracy przenosili później do własnych książek i na zajęcia ze studentami.

Zaczęła pracować w gdańskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej w 1957 r. Po powstaniu Uniwersytetu Gdańskiego w 1970 r. związała się z jego Instytutem Filologii Polskiej. Władze dwukrotnie usuwały ją z uczelni: po Marcu 1968 i w stanie wojennym. Zawsze wracała. Gdańskie zajęcia prowadziła do roku akademickiego 1989/1990. Mieszkała w Warszawie, ale przez ponad trzy dekady uczestniczyła w kształtowaniu intelektualnego życia Wybrzeża.

Z seminaryjnych lektur i rozmów powstały „Transgresje", seria antologii wydawana w latach 80. Jej kolejne części nosiły tytuły „Galernicy wrażliwości", „Odmieńcy", „Osoby", „Maski", „Dzieci". Janion i jej współpracownicy zajmowali się w nich odmiennością, wyobcowaniem i szaleństwem, przyglądali się ludziom próbującym wyjść poza narzucone im role. Sięgali do literatury, filmu, filozofii i psychoanalizy. Obok rozpraw i fragmentów literackich publikowali zapisy dyskusji, zachowując także anonimowe głosy z sali.

Janion zachęcała, by wracać do znanych książek i sprawdzać, co umknęło wcześniejszym lekturom. Zwracała uwagę na pomijane postaci i doświadczenia uznawane za nieistotne. Uczyła też przyglądać się własnym ocenom: dlaczego jednych bohaterów podziwiamy, a innych z góry lekceważymy? Dzięki temu dobrze znany tekst mógł wciąż zaskakiwać, zyskiwać nowe życie.

Czytanie miasta

Tak samo można wrócić do opowieści o Gdańsku: jego niemieckiej przeszłości, powojennych przybyszach, gdańskich Żydach czy Solidarności. Pytania Janion pomagają dostrzec w tych historiach ludzi, których wcześniej pomijaliśmy albo którym przyznawaliśmy jedynie drugoplanowe role.



TRICOLORS / EAST NEWS

Maria Janion, 2024 r.

Marcin Mokry obejrzał w Teatrze Szekspirowskim musical „1989" w reżyserii Katarzyny Szyngiery. Oglądając go, myślał o zasługach Janion dla docenienia udziału kobiet w historii. Z jej pracą wiązał to, że kobiety Solidarności zajmują dziś tak ważne miejsce w opowieści o tamtych wydarzeniach. Lektura Janion zmieniała też jego spojrzenie na Gdańsk, który bliżej poznawał podczas interdyscyplinarnej rezydencji artystycznej w Domu Literatury.

Mokry, wraz z drugą rezydentką, Karoliną M. Wiśniewską, stworzyli grę „Igranie z medium Janion" – kolejną odsłonę Literackiej Mapy Gdańska. Autorzy zaproponowali w ten sposób – z okazji stulecia urodzin badaczki – spotkanie z nią w nowej formie. Mokry jest poetą i projektantem, Wiśniewska zajmuje się projektowaniem graficznym i animacją kultury. Wspólnie połączyli spacer po mieście, zbieranie kart i rozmowę prowadzoną zdaniami Janion.

Inspiracją był flirt towarzyski. Gracze rozdzielają między siebie karty i po cichu czytają zapisane na nich zdania. Następnie każdy wybiera kwestię, podaje kartę rozmówcy i głośno wymienia numer zdania. Jego treść odczytuje już tylko adresat. Może odpowiedzieć słowami z tej samej lub innej karty, może też zwrócić się do kogoś innego. Od graczy zależy, które zdanie posłuży za pytanie, zaczepkę, wyznanie albo unik.

Wszystkie kwestie pochodzą od Janion, ale to samo zdanie skierowane do dwóch różnych osób może zabrzmieć zupełnie inaczej. Znaczenie zależy także od ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1



KORNELIA GŁOWACKA-WOLF

Premiera Literackiej Mapy Gdańska



↦ okoliczności, poprzedniej wypowiedzi i relacji między graczami. Przydają się więc ucho do języka, wyczucie chwili i gotowość, by podchwycić pomysł rozmówcy.

Przygotowanie talii wymagało lektury prac naukowych, esejów i wywiadów z badaczką. Autorzy szukali zdań, które wywołają skojarzenia, poruszą, zachęcą do odpowiedzi. Obowiązywała przy tym jedna zasada: zachowywali je w całości. W bibliografii gry znalazły się m.in. „Kobiety i duch inności", „Niesamowita Słowiańszczyzna" oraz rozmowy z cyklu „Transe – traumy – transgresje". Lektury podsuwają tyle wątków, że rozmowa może potoczyć się w wielu kierunkach.

Zdanie wyjęte z książki traci część kontekstu. W grze trafia do nowego rozmówcy i nabiera znaczeń, których wcześniej nie miało. Na karcie łatwiej też zauważyć pojedynczą frazę, która mogła umknąć podczas dłuższej lektury. Można później sięgnąć do źródła i sprawdzić, co autorka miała na myśli, zanim jej słowa znalazły się w rozmowie przy stole.

Talia liczy 27 kart, a każda jest przypisana do innego miejsca w Gdańsku. Aby je zebrać, trzeba odwiedzić kolejne punkty mapy. O ich wyborze decydowały skojarzenia z lekturami: tematami bliskimi Janion, jej sposobem myślenia, historią danego miejsca. Na trasie znalazły się sklep „Jolka", piekarnia R. Majchrowski i pub „Smoki i Lochy". Mapa wyjaśnia, co badaczka może mieć wspólnego z każdym z tych adresów.

„Smoki i Lochy" przy Kilińskiego to pub związany z grami RPG. W opisie tego miejsca autorzy przypominają o roli mitów, baśni, grozy i wyobraźni w opowiadaniu o świecie. Dla Janion fantastyczne postaci i niesamowite historie były ważnym materiałem do rozważań o człowieku. Przygody wymyślane podczas rozgrywki mają więc coś wspólnego z pytaniami, które zadawała literaturze.

W piekarni przy Dolnej Bramie autorzy szukają historii miasta w codziennej pracy i smaku chleba. Sam fakt, że sklep „Jolka" przy Targu Węglowym wciąż działa, odczytują z kolei jako przejaw oporu. Trasa jest więc także ich interpretacją miasta, zapisem związków, które dostrzegli między miejscami a tekstami.

Można przyjąć proponowane skojarzenia, albo poszukać własnych.

Znalezione po drodze

Wiśniewska bywała wcześniej w Gdańsku, ale nigdy nie zostawała na długo. Podczas pracy nad projektem twórcy zapuszczali się w różne okolice, gubili drogę i dopiero z czasem odkrywali tropy łączące odwiedzane miejsca z Janion. „Proces odkrywania miasta był raczej spontaniczny, można powiedzieć wakacyjny" – wspomina projektantka.

W trakcie tych poszukiwań Wiśniewska dostrzegła w siatce ulic twarz Janion. „Po prostu pewnego dnia to zauważyłam" – opowiada. Było to jedno z odkryć, które stopniowo złożyły się na projekt.

Ważny okazał się też znacznie drobniejszy szczegół. Wiśniewska od początku wyobrażała sobie oszczędną oprawę graficzną: prostą typografię, biel kart. Na rewersie chciała umieścić ornament. Szukała odpowiedniego motywu, próbowała go zaprojektować, aż wypatrzyła kutą kratę na jednej z gdańskich kamienic. Znaleziony wzór wykorzystała na rewersie i w sygnecie MJ. Tak na karty trafił również detal gdańskiej architektury.

Wybór miejsc, w których można zdobyć karty, ma jeszcze jeden cel. „Zależało nam na wciągnięciu do gry ludzi, którzy na co dzień pozostają w pewnym oddaleniu od kultury czy literatury" – mówi Wiśniewska. Stąd na mapie punkty, do których zagląda się przy okazji zakupów albo spotkań ze znajomymi. Na Janion można więc trafić wśród codziennych spraw, bez wybierania się na spotkanie literackie.

„Igranie z medium Janion", gra Marcina Mokrego i Karoliny M. Wiśniewskiej, miała premierę we wrześniu podczas Gdańskich Targów Książki. Papierową mapę można odebrać w Domu Literatury w Gdańsku przy ul. Długiej 35, a karty – w zaznaczonych na niej miejscach, do wyczerpania zapasów. Po zebraniu co najmniej 22 różnych kart można otrzymać w Domu Literatury kolekcjonerskie pudełko. Szczegóły: miastoliteratury.com.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

Autor jest dziennikarzem Radia Kraków

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 44/2026
REDAKCJA: Michał Sowiński
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara

eprasa.pl 1cc070d3f1



KORNELIA GŁOWACKA-WOLF

Miejsce do pisania

GIANNA LANGE, PISARKA:

Bywałam w miastach, które w ogóle mnie nie inspirowały. Burzliwa historia, różne języki i wpływy widoczne w przestrzeni sprawiają, że miasto wydaje się gęstsze, pełne historii. I łatwiej staje się inspiracją.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Z jakim wyobrażeniem Gdańska przyjechałaś na rezydencję?

GIANNA LANGE: Wielokulturowy i piękny – tego się spodziewałam. Wszyscy, którzy wcześniej odwiedzili Gdańsk, zapewniali mnie, że na pewno mi się spodoba. Obejrzałam trochę zdjęć i pomyślałam: wygląda nieco holendersko. Na tym właściwie kończyły się moje wyobrażenia.

I rzeczywiście jest piękny. Nie wiedziałam natomiast, jak bardzo różnorodny. Spacerujesz po historycznym centrum, wśród kolorowych budynków i brukowanych ulic, a dziesięć minut później jesteś w zupełnie innym otoczeniu. Poza turystycznymi trasami trafiałam na architekturę, którą kojarzyłam z epoką socjalizmu. Też ją lubię. Dobrze czuję się w miastach, w których tak różne światy sąsiadują ze sobą.

Przypominał Ci rodzinną Bremę?

Przede wszystkim atmosferą. Jestem z północnych Niemiec, a o nas mówi się, że jesteśmy powściągliwi. Czasem nawet, że zrzędliwi – z czym się nie zgadzam. Ludzie w Gdańsku trochę mi nas przypominali: najpierw obserwują, dopiero później nawiązują kontakt. Znam to, dobrze się w tym odnajduję. Szybko poczułam się swojsko.

Podobieństwo dostrzegałam też w historycznej zabudowie. Centrum Gdańska wygląda inaczej niż centrum Bremy, ale pewne budynki i zakątki budziły znajome skojarzenia. Nic nie wydawało mi się gigantyczne: raczej wąskie uliczki, niewielka skala, hanzeatycki charakter. Tylko kolorów jest u was trochę więcej.

A co okazało się trudniejsze, niż oczekiwałaś?

Znalezienie kawy bezkofeinowej! Piję głównie taką, a w Niemczech bardzo łatwo ją dostać. W Gdańsku dopiero ostatniego dnia trafiłam na kawiarnię z naprawdę dobrą kawą bez kofeiny. Pomyślałam: po całym tym czasie, akurat teraz! Ale przynajmniej już wiem, dokąd pójść, jak będę tu następnym razem.

A jakie spotkanie z Gdańska zabierasz ze sobą?

Pierwszego dnia pobytu odbyła się premiera polskiego przekładu mojej książki. Zaskoczyło mnie, ile osób przyszło. Przecież nikt mnie tutaj nie zna – zresztą w Niemczech też trudno powiedzieć, żebym była sławna. Ludzie byli bardzo serdeczni. Podchodzili po spotkaniu, kupowali książkę, opowiadali o sobie. Wielu mówiło po niemiecku. Niektórzy przeprowadzili się z Polski do Niemiec, inni wyjechali jako dzieci, a później wrócili. Zainteresowało ich właśnie to połączenie: niemiecka książka w polskim przekładzie. Wiele osób prosiło, żebym napisała coś o Gdańsku. Odpowiadałam: jestem tu dopiero jeden dzień, dajcie mi trochę czasu! To był wspaniały początek.

A pisało się tu inaczej niż w domu?

Mogłam zmienić otoczenie i naprawdę się skupić. Na co dzień pisanie często przegrywa z pracą zawodową i sprawami, które trzeba załatwić. W Gdańsku dostałam czas i przestrzeń, żeby do niego wrócić. Nikt nade mną nie stał i nie sprawdzał: czy ona rzeczywiście pisze? Sama chciałam dobrze wykorzystać ten pobyt – w końcu po to tam przyjechałam. Chyba nigdy wcześniej nie udało mi się wypracować tak regularnego rytmu. Mam nadzieję, że choć trochę z niego zostanie po powrocie do domu.

W Twojej powieści „I wtedy skoczymy" Rosa wraca do Mostaru po śmierci matki, Emma jedzie tam szukać rodziny. To samo miasto mieści dwie różne tęsknoty. Co Ciebie związało z Mostarem i Pragą, które opisujesz?

Choćby moment życia, w którym je odwiedziłam: miałam dwadzieścia kilka lat, ↦

GIANNA LANGE (ur. 1988) – niemiecka pisarka z Bremy. Jesienią 2026 r. przebywała na rezydencji literackiej w Gdańsku. Autorka powieści „I wtedy skoczymy", wydanej po polsku przez Marpress w przekładzie Ewy Mikulskiej-Frindo (2026).

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ a wtedy bardzo dużo się dzieje. Znaczenie mają też ludzie, z którymi podróżujemy. Choć wyjazd w pojedynkę również bywa dobry, bo daje przestrzeń do samodzielnego odkrywania. Nie przygotowuję się szczególnie do zwiedzania. Przyjeżdżam i zaczynam chodzić. Patrzę na to, co napotykam po drodze. Czasem coś przez to przegapiam, ale możliwość takiego swobodnego chłonięcia miasta jest dla mnie wielkim luksusem. Trudno mi powiedzieć, dlaczego jedno miejsce mnie przyciąga, a inne nie. Niektóre zostają we mnie, wkradają się do serca – wiem, że to brzmi trochę kiczowato, ale właśnie tak było z Mostarem. Osobiste wspomnienia sprawiają, że miasto łatwiej staje się źródłem inspiracji.

Rodzinne sceny w Mostarze są bardzo konkretne: wspólny stół, jedzenie, śpiew, tłumaczenie rozmów. Żeby tak pisać o mieście, trzeba w nim zamieszkać?

Niekoniecznie. W Pradze byłam kilka razy, ale nigdy na długo. Za to bardzo dużo po niej chodziłam i po prostu mnie urzekła. Z Mostarem łączyło się coś bardziej osobistego. Spędziłam tam chyba dwa tygodnie, może trzy – to było dawno. Pojechałam z moim ówczesnym partnerem, który stamtąd pochodził. Odwiedzaliśmy więc jego rodzinne miasto i jego bliskich. Mogłam przyglądać się relacjom, których pewne elementy później trafiły do książki. Przetworzyłam je literacko; powieść nie jest autofikcją. Wykorzystałam fragmenty tego, co zobaczyłam.

Czasem pomaga nawet to, że nie rozumiesz języka. Zaczynasz wtedy szukać sensu w innych rzeczach. Pamiętam wspólne kolacje: nie wiedziałam, o czym ludzie mówią, ale wyczuwałam dynamikę spotkania i relacje między nimi. Trochę z tych obserwacji zostało w scenach z książki.

W Twojej powieści wojna jest obecna w zniszczonych budynkach, ale też w losach rodzin bohaterów. Jak poznawałaś tę historię Mostaru?

Mój ówczesny partner opowiadał mi o dzieciństwie podczas wojny, o dorastaniu i o tym, jak wojna zmieniła jego życie w mieście. Pokazywał, gdzie się urodził i dokąd rodzina musiała się później przenieść. Dzięki tej osobistej więzi Mostar bardzo mocno na mnie oddziaływał.

> Potrzebuję miasta, po którym można dużo chodzić. Kiedy utknę w pisaniu, wychodzę na spacer i chodzę, aż coś się odblokuje.

I znów: spacery, zupełnie różne obrazy tuż obok siebie. Zapamiętałam dwa budynki, które przed wojną wyglądały identycznie. Oba zostały zniszczone, ale odbudowano tylko jeden. Powiedziano mi, że w trakcie prac zabrakło pieniędzy. Drugi stał obok, wciąż zniszczony. Dawniej były bliźniakami, a teraz już nie.

To, że tak długo po wojnie można zobaczyć jej skutki w tak bezpośredni sposób, było dla mnie nowym doświadczeniem. Trudno nawet mówić tylko o śladach. Wszystko to zostało ze mną: historie ludzi, obrazy, kontrasty. Czułam potrzebę, żeby to miejsce znalazło się w moim pisaniu.

Są miasta gęstsze od innych – bardziej nasycone opowieściami?

Tak, zdecydowanie. Bywałam w miastach, które w ogóle mnie nie inspirowały. Natomiast burzliwa historia, obecność różnych języków, wpływy, które nadal widać w przestrzeni – to wszystko sprawia, że miasto wydaje się gęstsze, pełne historii. I łatwiej staje się inspiracją.

Zanim przyjedzie się do Gdańska, można go już znać z książek – choćby Güntera Grassa. Ty miałaś taki literacki obraz miasta?

Muszę się przyznać: Grassa nigdy nie czytałam. Niektórych w Gdańsku bardzo to zaskakiwało. Spodziewali się chyba, że będę ekspertką, a ja musiałam ich wyprowadzić z błędu.

Jak to? Co Cię od niego odstraszało?

Szkolne skojarzenia. Są nazwiska, które słyszysz i od razu myślisz: tylko nie każcie mi tego czytać. Jeszcze nie otworzyłaś książki, a już czujesz obowiązek. Grass należał dla mnie do tej grupy.

Z Kafką miałam podobnie: czytaliśmy go w szkole, więc później nie sięgałam po niego z własnej woli. Rozmawiałam o tym z kimś w Gdańsku i okazało się, że ta osoba też tak wspomina Kafkę. Szkolne skojarzenia potrafią zostać na długo.

Po pobycie w Gdańsku myślę, że może wreszcie przeczytam Grassa. Ale lubię przyjeżdżać do nowych miejsc bez przygotowania, rozglądać się i sprawdzać, co sama w nich zobaczę.

Gdańsk świętuje pierwszy rok jako Miasto Literatury UNESCO. Co miasto może realnie dać pisarce, żeby dobrze jej się pracowało?

Każdy odpowiedziałby pewnie inaczej. Ja potrzebuję miasta, po którym można dużo chodzić. Kiedy utknę w pisaniu, wychodzę na spacer i chodzę, aż coś się odblokuje – a przynajmniej na to liczę. Tak też poznaję miejsce. Pomaga kontakt z jego kulturą i historią, odwiedzanie muzeów, instytucji kultury czy parków.

Potrzebuję też miejsc, w których można usiąść i pracować. W domu łatwo się rozpraszam. W Gdańsku pomyślałam: nowe miejsce, nie ma moich rzeczy, tutaj będę mogła pisać. Przez pierwszy tydzień tak było. Potem poczułam się jak u siebie – i znów musiałam wychodzić, bo trudno mi było się skupić.

Znalazłam przyjemne kawiarnie, niewielkie i trochę zatłoczone. Otaczał mnie gwar rozmów, ale ponieważ nie rozumiałam języka, nie odciągał mojej uwagi. Znów okazało się, że to może pomagać. Kiedy potrzebowałam więcej spokoju, wybierałam większe przestrzenie, gdzie coś się działo, ale w pewnym oddaleniu. Tak było choćby w Europejskim Centrum Solidarności. Lubiłam, że można znaleźć miejsce, usiąść i zostać z pracą na cały dzień. Taka różnorodność bardzo mi służyła.

Mostar już trafił do Twojej prozy. Gdańsk czeka na swoją kolej?

Myślę, że kiedyś się pojawi, choć teraz tego nie planuję. Akcja powieści, nad którą pracuję, nie toczy się w Polsce ani w jej pobliżu. Ale miejsca, które robią na mnie wrażenie, zostają ze mną i później wracają, czasem trochę mnie zaskakując. Spodziewam się, że Gdańsk też kiedyś wróci – w którymś z kolejnych tekstów.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

eprasa.pl 1cc070d3f1



ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Portret Güntera Grassa

Gdańsk do napisania

TYMOTEUSZ SKIBA

Gdańsk potrzebuje nowych opowieści. Dom Literatury i Uniwersytet Gdański pomagają początkującym autorom znaleźć miejsce na ich teksty. A oni dopisują kolejne rozdziały do literackiej historii miasta.

Tożsamość Gdańska, która rozpadła się po II wojnie światowej, nie odrodziła się automatycznie wraz z odbudową Głównego Miasta. W nową architektoniczną tkankę życie tchnęli pisarze i pisarki, tacy jak Günter Grass, Paweł Huelle, Stefan Chwin, Aleksander Jurewicz, Lech Bądkowski czy Róża Ostrowska. Ale przecież nie tylko oni. Odbudowę duchową miasta zawdzięczamy dziesiątkom, jeśli nie setkom pisarzy i dziennikarzy, którzy po 1945 roku pisali i nadal piszą o Gdańsku i Pomorzu. Tę literacką konstrukcję trzeba bez ustanku odnawiać. Gdańsk, jak każda miejscowość, nie jest bytem ostatecznym i skończonym. Miasto jest palimpsestem zmieniającym się z każdym tekstem, którym obrasta.

Aby ta konstrukcja wytrzymała kolejne dekady, postanowiono wesprzeć kulturę literacką Gdańska solidnym filarem w postaci Domu Literatury. Do niedawna życie literackie miasta toczyło się żywiołowo, jako wypadkowa rozproszonej aktywności instytucji miejskich i pozarządowych, szkół i uczelni, wydawnictw, czasopism oraz osób prywatnych. Wiele świetnych projektów i festiwali udało się zrealizować w ten sposób, ale teraz otwierają się przed miastem nowe możliwości.

Dom Literatury ma narzędzia, aby zadbać o przyszłość literackiego Gdańska, wspierając autorów, którzy dopiero zaczynają pisać i publikować. Pisarze z dorobkiem mają większe szanse na stypendia i granty, łatwiej znajdują wydawcę i włączają się w projekty literackie. Debiutantom trudniej zdobyć takie wsparcie, choć na początku pisarskiej drogi bywa ono szczególnie potrzebne.

Bo czy pisarze mogą zniknąć z miasta tak jak wędrowni szlifierze z opowiadania Huellego „Gute Luisa”? Dom Literatury pomaga kolejnemu pokoleniu autorów znaleźć tu swoje miejsce, organizując m.in. rezydencje dla twórców przed debiutem książkowym. W tym roku zakwalifikowali się do nich Volha Zarouskaya z Gdańska oraz Miłosz Klajner z Krakowa i Zofia Jakubowicz-Prokop z Warszawy. Ci ostatni przyjadą do miasta w listopadzie. Rezydencje dają twórcom przede wszystkim czas na pisanie. Zyskuje także Gdańsk, który przyciąga literackie talenty i wzbogaca się o nowe opowieści.

Dom Literatury od roku współpracuje także z Uniwersytetem Gdańskim, gdzie w 2023 r. uruchomiono nowy kierunek: sztuka kreatywnego pisania (zwany potocznie „szkapą”). Wybór takich studiów wymaga odwagi – trudno przewidzieć, czy pisanie pozwoli zarobić na życie. Warto więc pomóc tym, którzy zdecydowali się spróbować. Początkującym autorom szczególnie brakuje możliwości publikowania własnych tekstów. Taką przestrzeń ma im zapewnić współpraca uczelni z Domem Literatury.

Zaczęło się od niewielkiej antologii „Sztuka kreatywnego pisania i ręcznie dziergany sweter”, którą przygotowaliśmy w zeszłym roku ze studentami I roku „szkapy” na Gdańskie Targi Książki. Nie skończyło się zresztą na samej publikacji – studentki i studenci aktywnie uczestniczyli w targach, prowadzili warsztaty i opowiadali o swoich tekstach. Pomysł stworzenia dla nich miejsca do publikacji okazał się strzałem w dziesiątkę i scementował współpracę Domu Literatury z uniwersytetem.

W 2026 r. powstała kolejna, wydana z większym rozmachem, antologia „Całkowicie różne”, także kolportowana podczas targów. Utwory absolwentów i absolwentek sztuki kreatywnego pisania podsumowują ich trzyletnie studia. Nie mają wspólnego mianownika. Jak mówi tytuł, są całkowicie różne, zarówno pod względem formy, jak i treści. Są tu realistyczne opowiadania o żałobie i trudnych relacjach rodzinnych, teksty utrzymane w stylistyce non-fiction, wykorzystujące formę dziennika, opowiadania fantastyczne, teksty nawiązujące do realizmu magicznego i proza eksperymentalna. Są narracje pierwszo- i trzecioosobowe, prowadzone zarówno w czasie przeszłym, jak i teraźniejszym. Jest opowiadanie wymieszane ze scenariuszem teatralnym i poemat nawiązujący do japońskiego haiku.

Gdańska jest tu niewiele, pojawia się w tle, na marginesie innych spraw. Ale to nieistotne. Miasto i tak wspiera się na tych utworach, obudowuje się nimi i wciąga w tok swojej rozległej opowieści. Nie sam temat jest ważny, ale proces pisania i czytania, świadomość, że świat, w tym również Gdańsk, zostaje z każdym tekstem opowiedziany na nowo. ©

eprasa.pl 1cc070d3f1

KULTURA

PANI FAUST



Na początku było mi wstyd, że tak dobrze się bawię, czytając powieść, w której tyle jest śmierci i traumy. Szybko zawstydziłem się swoim wstydem. Co myśmy sobie zrobili, że nie umiemy już bawić się literaturą?

RYSZARD KOZIOŁEK

Wyobraźcie sobie, że leżą przed wami trzy wybitne książki o życiu, które właśnie wyszło z II wojny światowej. „Wielka trwoga" Marcina Zaremby; „1945" Magdaleny Grzebałkowskiej; „Świata jest za dużo" Olgi Tokarczuk. Problem nie w tym, którą przeczytać. Wszystkie oczywiście. Ktoś mógłby jednak zapytać, po co czytać fikcję, skoro mamy tak dobrze udokumentowaną i napisaną opowieść naukową oraz literaturę faktu?

Potrzebę powieści odczuwają ci, którym nie wystarczy historia i reportaż. Nawet jeśli nie dowiedzą się z niej więcej prawdy niż z dwu pierwszych książek. Tamte są bardziej wiarygodne, mają prostą kompozycję, wykazane źródła, dokumentację fotograficzną; nie zwodzą, są przyjaźnie napisane. Dlaczego więc?

Pole kapusty

Patrzę na obraz Edvarda Muncha „Pole kapusty". Turkusowo-zielone zagony – flankowane z lewej ciepłą żółcią zboża, z prawej zgniłozielonym prostokątem rżyska – ciągną się aż po mroczny horyzont. Dokładnie połowa kapusty jest już wyrwana. Rozumiem symboliczną treść obrazu: niebawem sam będę tą wyrwaną kapustą; co najwyżej miejscem w ziemi po niej. Przygnębia mnie to, a jednak czuję i myślę: piękne! Mówię to obrazowi czy temu, co we mnie – dzięki niemu – doszło do głosu?

Tym, którzy potrzebują powieści, nie wystarczy najlepszy obraz. Jesteśmy dziećmi czasu, nie wieczności. Rozumiemy siebie tylko w przepływie i w przemianie. Dlatego tworzymy i czytamy opowieści: bo one próbują opowiedzieć nasze bycie w czasie. Ale narracje też z trudem dają radę. „Po 15 miesiącach intensywnej pracy nad tą książką jeszcze bardziej nic nie wiem – mówiła Magdalena Grzebałkowska w rozmowie z Agnieszką Sowińską. – Rok 1945 to studnia, do której jedynie zaglądam. Ale choćbym pracowała 10 lat, wciąż bym tego tematu nie zgłębiła". W tej samej rozmowie wyznała, że pisząc, wciąż płakała nad ludźmi, o których pisała. Rozumiemy ją. Mówimy: od takiej wiedzy, od czegoś takiego nie chce się żyć.

Chyba że ktoś zmieni tę wiedzę w „Pole kapusty". Albo w powieść, której narratorzy deklarują w Prologu: „Urodzonym najbardziej zazdrościmy śmierci i powinni oni myśleć o niej z wdzięcznością. Bo śmierć jest wielkim potwierdzeniem każdej egzystencji. Umrę, więc jestem".

eprasa.pl 1cc070d3f1



ŁUKASZ GIZA

Tożsamość mnoga

Olgę Tokarczuk, piszącą „Świata jest za dużo”, mogła dopaść XXI-wieczna mutacja „syndromu Fausta” (co dyskretnie sugeruje cytat na stronie 604). Jego objawy to m.in. melancholia nadmiaru – świadomość, że nieograniczony dostęp do informacji nie przynosi poznania, nie czyni też ludzi lepszymi ani nawet mądrzejszymi.

A przecież na jej oczach spełniło się marzenie oświecenia. Prawie wszyscy potrafią czytać i pisać, a każde szkolne i akademickie pytanie znajduje odpowiedź w magazynie wiedzy, który eksploruje dla nas sztucznointeligentny operator. Doskonalący się za nas i bez nas technologiczny rozum daje każdemu człowiekowi potężne moce kognitywne, bez względu na to, ile klas lub fakultetów skończył. Z każdą minutą rośnie sprawność operacyjna algorytmów, które wykonują dla nas pracę rozumienia i objaśnienia, zamieniając trudne na proste.

Nie napawa to pisarki optymizmem. Od początku ostrzegała przed tyranią racjonalności, sprzymierzoną z kompulsywną eksploracją zasobów naturalnych i kulturowych, jaką uprawia kapitalizm materialistyczny i informatyczny. Nie inaczej czyni rozum naukowy, zamieniając świat w „przedmiot poznania”. Dlatego w swojej prozie propagowała partyzantkę poznania nieortodoksyjnego. Nauce przystawiała do współpracy magię, profetyzm, kontakty z duchami, ontologię przenikających się bytów; tożsamość mnogą – wspólną ludziom, roślinom, zwierzętom, a nawet przyrodzie nieożywionej i rzeczom.

Czyniła to z przekonania, że nauka nie potrafi opisać życia wszystkiego, co żyje. Uporczywie rozszczelniała więc monolit naukowego rozumu, podobnie jak wcześniej odwróciła się od instytucjonalnej religii. Nauka i wiara nie potrafią sprostać życiu, wypowiedzieć jego niepojmowalnej jedności, którą tworzą wszystkie istnienia poszczególne od początku świata. Ludzkie i nie-ludzkie.

Została więc pisarką, a nie naukowczynią. Porzuciła „szarą teorię” na rzecz „zieleni złotego drzewa życia” („Faust”). Dzięki literaturze mogła robić to, o czym marzy bohater Goethego – przemawiać ze środka „życia” i w jego imieniu wypowiadać potęgę powiązanej ze sobą różnorodności równoważnych istnień poszczególnych. Odczucie całości istnienia, które nie alienuje ani nie marginalizuje nikogo i niczego.

Jej metoda skrystalizuje się ostatecznie w „Księgach Jakubowych” (postać Jente) i w „Empuzjonie” („my” narracyjne). Kulminacją są zaś Nieurodzeni ze „Świata jest za dużo”. Owe nie-ludzkie byty narracyjne są dysponentami wiedzy nieskończonej, także tej możliwej, która powstaje dzięki wyobraźni („Ale przecież – i my to dobrze wiemy – wszystko, co się wydarzyło każdemu, wszędzie i zawsze, zostaje zapisane w nieskończonej przestrzeni uniwersum, a my, jako nieurodzeni, mamy dostęp do tych kronik”).

Kula i oko

W powieści przedmiotem symbolizującym ów nadmiar jest kula służąca do wróżenia i szklane oko Jakimskiego. Szklana kula i szklane oko to percepcja sztuki, która zawsze widzi więcej, inaczej i wcześniej. Im jednak więcej widać, tym więcej jest do zrozumienia i do opowiedzenia.

Nieprzypadkowo na słynnym drzeworycie Dürera „Melancholia” znajduje się kula. Obrazuje doskonałość nauki, która nie daje radości życia. Ale również pamięć i przewidująca wyobraźnia jej nie zapewniają. Wtrącają za to w melancholię, gdyż służą śmierci. Tymczasem, żeby żyć, trzeba zapomnieć. Przynajmniej to, co najgorsze.

„Świata jest za dużo” to pełne rezygnacji wyznanie faustycznego narratora, który może być *medium mundi*, pozwolić, aby przepłynęły przez niego wszystkie historie – rzeczywiste i możliwe. Może zobaczyć, przeczytać, wysłuchać wszystko, nie istnieje jednak dość pojemna, możliwa do przyswojenia forma, zdolna pomieścić prawdopodobną opowieść o świecie, który wyłonił się w 1945 r. na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

Jesienią 1945 r. we Wrocławiu przebywa ok. 200 tys. Niemców i tylko 20 tys. Polaków. Już ta dysproporcja przyprawia o narracyjny zawrót głowy każdego, kto chciałby się porwać na wyobrażenie sobie doświadczeń tych ludzi. A to przecież prolog do przesiedleń z Kresów Wschodnich, które powiększą liczbę bohaterów takiej niemożliwej powieści do milionów.

Jak niemoralna staje się każda opowieść o wybranych, wobec milionów, którym odmówiono opowieści. Nie świadectwa, bo tych jest wiele. Ale opowieści, które sprawią, że my, wtedy nieurodzeni, obdarzymy ich czułym zainteresowaniem czytelników. Nie dla nich samych, ale dla nas. Abyśmy po tym, co przeczytamy, mieli siłę żyć z nadzieją. Tego właśnie szuka Faust u Goethego: poczucia radości życia, mimo wiedzy o nim. Odczucie sensu życia własnego i dzielonego z innymi daje bowiem radość. Faust chce, żeby życie znów było radosną przygodą, a nie koniecznością odsłoniętą przez naukę.

Choć doprawdy nie sposób sobie wyobrazić, skąd można ją czerpać po zapoznaniu się z tym, co spotkało Ninę, Elke, co zrobił Szuber i pozostałe 21 głównych postaci powieści Tokarczuk. Co zrobiono ludziom, zwierzętom, roślinom, rzeczom na Dolnym Śląsku tuż po wojnie. „I jak się czujesz, człowieku, kiedy nic nie jest twoje? Kiedy trzeba zdobyć się na ogromny wysiłek, żeby to do siebie ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ przygarnąć i uznać za swoje, i jeszcze na dodatek jakoś pokochać, bo nie da się żyć wśród rzeczy, których się nienawidzi?".

Polska niepolska

Strona o Ziemiach Odzyskanych mogłaby się nazywać niepolska.pl (skądinąd książka Sławomira Sochaja na ich temat nosiła tytuł „Niedopolska"). W pijackim monologu Szuber tak mówi o sobie: „Ja jestem prawdziwy Polak. (...) Nikt z was, tylko ja. Ja jeden pochodzę z prawdziwej Polski, między Kielcami a Radomiem, tam jest Polska, nie tu ani nie tam, gdzieście się urodzili. Tam są Kresy, prowincje, dziesiąta woda po kisielu. Ja jestem prawdziwy Polak i dlatego ja tu rządzę".

20 lat wcześniej zareplikował mu Piłsudski w słynnej i enigmatycznej uwadze, że „Polska to obwarzanek: kresy urodzajne, centrum – nic". Co miał na myśli, do końca nie wiadomo. Wiadomo za to, że powieść Tokarczuk stawia tę tezę od samego początku i nie odpuszcza do końca. W tej opowieści o politycznym tworzeniu polskich Kresów Zachodnich – „Polski" jest najmniej. Przedwojenna nie istnieje, nowej jeszcze nie ma. Powstanie PRL-owska, ale na razie kolejny raz w historii Polska jest „nieumarła", a żyją ludzie, którzy znaleźli się na jej nowym terytorium: z Ukrainy, z Litwy, z Niemiec, z Francji, spod Radomia, z Drohobycza... Powieść ujmuje ten moment historyczny w fenomenalnym obrazie symbolicznym przedziurawionej bombą kamienicy.

W brawurowym otwarciu narracyjnym na wrocławski dom spada bomba, która nie wybucha, ale wybija dziurę od dachu po piwnicę. Polska tuż po wojnie to ta dziura po bombie. Jej dawni mieszkańcy zasiedlają mieszkania wokół dziury; mieszkańcy obrzeży wschodnich i zachodnich. Oraz przychodźcy spoza przedwojennych granic. I przez chwilę może się wydawać, że nastąpi przedwojenna Polska, usadowi się wokół nowego politycznego i administracyjnego centrum.

Kamienica-obwarzanek nie przetrwa. „Wiosną 1947 roku dom z dziurą zawalił się od wiosennych wiatrów, ale wtedy już nikt tam nie mieszkał". Nie ma szans na etniczną rekonfigurację II Rzeczypospolitej w PRL-owskich granicach. Narody, języki, etnosy zostaną przez edukację i politykę kulturalną zhomogenizowane: „Na odprawach w ratuszu prezydent Bukowski często powracał do kwestii języka. Będziemy mówić najczystszą polszczyzną w całej Polsce, stwierdzał. Żadnych naleciałości, żadnych dialektów!".

Zbigniew Herbert w rozmowie z Jackiem Trznadlem nazwał to zbrodnią: „Dla mnie Polska bez Żydów, bez Ukraińców, bez Ormian, tak jak to było we Lwowie, bez Wołochów, bez rodzin pochodzenia włoskiego – przestała być Polską. Ten ideał jednonarodowego państwa jest ideałem faszystowskim, co tu dużo gadać".

Pogląd Tokarczuk jest inny. Owszem, to zbrodnia, ale cenzura i homogenizacja kultury rodzi opór; odrębność i różnorodność przechodzi w stan utajony, aby po latach wybuchnąć, czego świadectwem jest jej własna twórczość, jak i wielkie odrodzenie języków i kultur mniejszych, które obserwujemy od lat. Bo „niepolska Polska jest nijaka i składa się z wielu warstw. Nie ma jeszcze własnego języka, posiada tylko garść dialektów przywiezionych w uchodźczych tobołach".

Skoro nie da się oddać sprawiedliwości wszystkiemu, co cierpi, czyli każdemu istnieniu, Tokarczuk wybiera miejsca hierofaniczne, w których następuje zagęszczenie oraz szczególnie mocna interwencja świata, którego jest za dużo. To „miejsca na W": Wrocław, Wałbrzych i Wygnanów. Tworzą kompozycję powieści i wyznaczają trójkąt, z którego wyłaniają się i opowiadają Nieurodzeni, czyli narratorzy powieści. Oraz, co ważniejsze, gdzie Tokarczuk konstruuje poprzez niezliczone narracje, wątki i epizody właściwego bohatera swojej powieści, którego pokazuje szklana kula, porzucona w lesie przez dzieci.

„Przez jakiś czas odbijały się w niej niskie, krępe grzyby, cała rodzina, choć to nie jest dobre wyrażenie, bo gdyby się było grzybem, wiedziałoby się oczywiście, że nie ma żadnej rodziny, żadnych synów, matek, ojców, bliskich i dalekich, jest tylko ja, ogromna, pulsująca tożsamość, która przybiera różne kształty".

Jeśli wolicie realistyczną wykładnię tej symboliki, „miejsca na W" tworzą akronim sieci, w której jest wszystko, co wie człowiek, a kula to tolkienowski Palantir do podglądania i podsłuchiwania, i znieważania każdego.

Nam jednak realizm nie wystarcza. Jest bowiem wiedzą, która nie daje radości i poczucia sensu całości istnienia.

Mefisto, czyli „Mesjasz"

„Raz wzięła kopiowy ołówek i pośliniła jego połyskujący grafitowy czubek. Pod kolumnami tekstu, na pasku czystego papieru gazety, napisała swoje pierwsze zdanie: Świata jest za dużo".

Zaczynając pisać, każdy jest jak Sołomija – bezradny wobec nadmiaru rzeczy do opisania. To nie jest na ludzką miarę. Od czego jednak diabeł? Funkcję Mefista u Tokarczuk odgrywa „Mesjasz" – maszynopis legendarnej zaginionej powieści Schulza. Czuły narrator Pani Faust staje w obliczu świata, którego jest za dużo, zwłaszcza cierpiącego świata, który tak bardzo domaga się opowieści niemożliwej do zmieszczenia między okładkami, a tym bardziej do przeczytania. Jak oddać w opowieści sprawiedliwość żyjącym, umarłym i tym, co przyjdą, całemu zmierzającemu do zatraty światu? Tylko Bóg może opowiedzieć i przeczytać historię każdego istnienia.

Otóż nie – dowodzi „Mesjasz". Człowiek również może pisać tak, żeby „postaci nie chodziły ot tak po drohobyckich ulicach, nie kręciły się bezładnie, lecz stanowiły część większego, niepoznawalnego, organicznego procesu przemiany, ruchu, który na pierwszy rzut oka wydaje się chaotyczny i naturalny, a przecież jest kwintesencją całego porządku".

Gra z Schulzem została w powieści przeprowadzona precyzyjnie i wielopoziomowo. I kpiarsko. Dostajemy fragmenty prozy Schulza, jej pastisze, streszczenia rzekomych wątków Mesjasza, fragmenty znane ze „Sklepów cynamonowych" i z „Sanatorium pod Klepsydrą". Ale to przecież diabeł fikcji z nami igra, więc obiecuje, że przynajmniej streści nam kiedyś całość. „Tak, spróbujemy, lecz jeszcze nie teraz". Wywieziony przez Wandę z Drohobycza Maszynopis trafia w ręce Jakimskiego, którego Schulz uczył prac ręcznych.

Można tak pisać – daje do zrozumienia Mefistofeles/„Mesjasz" w „Świata jest za dużo". Jak wiadomo, czytanie to podsłuchiwanie rozmowy, jaką książki prowadzą ze sobą. Schulza w temacie księgi nieskończonej zagaduje Borges, a do obu dołącza Tokarczuk. „Księga" Schulza staje się „Mesjaszem" w jej powieści, a obie mają odbicie w „Księdze piasku" Borgesa. Jego bohater porzucił tę niemożliwą książkę bez początku i końca na półce w Bibliotece Narodowej w Buenos

eprasa.pl 1cc070d3f1

Aires. Żeby nie oszaleć. Z bardziej prozaicznych powodów to samo robi z „Mesjaszem" jego ostatnia posiadaczka.

„Remedios, Rysia, nie umiała go przeczytać, jej polszczyzna była zaledwie domowa, przeznaczona tylko do komunikacji z matką. Dlatego po śmierci Wandy oddała Maszynopis do Biblioteca Nacional de la Republica Argentina, gdzie do dziś leży w jednym z pudeł z materiałami przeznaczonymi do zewidencjonowania".

Przepisany egzemplarz „Mesjasza" ma Jakimski, który po wielu lekturach postanawia przepisać go jeszcze raz, ale po swojemu. Daje mu tytuł: „Miejsca na W" i jest on dwa razy dłuższy niż „Mesjasz". Liczy sobie teraz 688 stron, czyli tyle, ile powieść Tokarczuk. Dla żadnego Jakimski nie znalazł wydawcy. Po jego śmierci oba maszynopisy zaginęły. Nieurodzeni narratorzy wiedzą jednak, że oba są ukryte w budynku przy ulicy Karpackiej. „Kopia Maszynopisu oraz nowa wersja autorstwa Jakimskiego pozostały w piwnicy, o której nikt nie miał pojęcia, że w ogóle tam jest. I tam znajdują się do dziś". Mefistofeles spełnił swoją obietnicę. Czy trzeba dodawać, że zwieńczenie wątku „Mesjasza" ma miejsce na stronie 666?

Zabawa i powaga

„Przyjmijmy jakąś nietypową perspektywę, bo ta z wysokości człowieka już nam się nudzi". Moją ulubioną postacią w tej powieści są jej narratorzy – Nieurodzeni. Wszechwiedzący, nieśmiertelni, ciekawi ludzkiego świata, ale też nim się nudzący, kapryśni – niczym greccy bogowie. Nareszcie prawdziwy narrator wszechwiedzący z psychologicznymi konsekwencjami swej wszechwiedzy! To jedna z niezliczonych zabaw literackich, do których zaprasza ta powieść.

Na początku trochę było mi wstyd, że tak dobrze się bawiłem czytając „Świata jest za dużo". Tyle w niej śmierci i traumy, choć sporo też ironii i zabawy literaturą. Szybko zawstydziłem się swoim wstydem. Co myśmy sobie zrobili, że nie umiemy już bawić się literaturą? Nawet jeśli rzeczywistością napędzana, jest przecież udawaniem, zmyślaniem; grą w „na niby". Być może nadmiar brutalnej dosłowności w życiu publicznym wraz z dominacją realizmu pisarstwa historycznego i dziennikarskiego sprawiły, że nie umiemy w nią grać.



„Świata jest za dużo" to powieść o nas współczesnych i naszej genealogii. Opowiada o tworzeniu się nowego państwa i narodu, czyli o tym, co znów się z nami dzieje.

Zabawa nie przeczy powadze. Nikt nie bawi się tak serio jak dzieci. Dorosła zabawa literaturą polega na nieodpowiedzialnym i bezkarnym współudziale w innych istnieniach. Nawet istnieniach przedmiotów, obdarzonych świadomością przez zmyślającą autorkę. Opisane istoty robią rzeczy mądre, głupie, wspaniałe i potworne. A my im w pewien sposób towarzyszymy. Nie ponosimy winy za ten współudział, ale wymaga on odkupienia w refleksji nad tym, cośmy przeczytali; co dało nam frajdę podglądactwa albo pasywną rozkosz zemsty, a nade wszystko satysfakcję z przezwyciężenia konieczności – dzięki fikcji.

Z jakim radosnym wzruszeniem czytałem alternatywną wersję biografii Schulza, który nie tylko nie został zamordowany w Drohobyczu, ale „mieszka przez kilka lat we Wrocławiu, redagując pismo literacko-artystyczne »WWW«. W 1968 roku, na fali nagonki antysemickiej, wyjeżdża do Szwecji, gdzie rok później przyznają mu Nagrodę Nobla". W ramach tej samej zabawy „na niby" jestem lecącą bombą, przyglądającą się miastu, które za chwilę mam zniszczyć. Wiem, że to powieść o strasznych rzeczach, ale chwilami zabawnie opowiedzianych, bo z perspektywy bomby, mrówek albo pokrzyw. Powaga powieści tkwi w jej autoironii. A ta wynika ze świadomości, że jest.

Literatura, na czele z powieścią, nauczyła nas przyjmowania różnych perspektyw w oglądzie świata. A bez literatury dla większości z nas, uwięzionych w naturalnym egoizmie, jest to bardzo trudne lub niemożliwe. Dlatego jesteśmy korumpowani pięknem języka i opowieści; jak słodyczami, abyśmy przełknęli gorzkie lekarstwo prawdy. Celuje w tym powieść, której zawdzięczamy wielką lekcję nowożytnego humanizmu, że wszystko, co ludzkie, jest ambiwalentne; poważne i śmieszne równocześnie. Wszak kołyskę ze świeżo narodzoną powieścią trzymają śmiertelnie poważni szydercy: Cervantes i Rabelais. Późna wnuczka wypełnia wiernie ich testamenty.

Bawiąc nas, podstępnie zmusza do refleksji groźnej i poważnej o własnym Polaków istnieniu. „Świata jest za dużo", choć świetnie udokumentowana, nie jest powieścią historyczną. To powieść synchroniczna, to znaczy mówi o tamtym czasie i o naszym równocześnie. To powieść o nas współczesnych i naszej genealogii. Opowiada o tworzeniu się nowego państwa i narodu, czyli o tym, co znów się z nami dzieje.

A kaz tyz ta Polska?

Polska nowoczesna konstytuuje się po raz trzeci w XX w. To wciąż projekt, ponieważ kolejne katastrofy i tragedie zrywają ciągłość, zmieniają mapę i terytorium. Jesteśmy w tym samym procesie krzepnięcia. Nasza Polska trwa dopiero niespełna 40 lat, przeto Olga Tokarczuk, przewrotnie i złośliwie niczym Panna Młoda w „Weselu", pyta: „A kaz tyz ta Polska?". „Tu, w sercu" – odpowiada Poeta. A w czyim bardziej? – nie przestaje pytać irytująca Tokarczuk. – Śląskim? Ukraińskim? Polskim? Niemieckim? Kaszubskim? Żydowskim? Podhalańskim? Łemkowskim? A może psim lub krowim?

Podobno Goethe miał powiedzieć, że napisał drugą część „Fausta", „by ludzi ciągle zabawiał i przysparzał im problemów". Nie ma lepszej, lapidarniejszej charakterystyki najnowszej powieści Olgi Tokarczuk. © RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 1cc070d3f1

Miłość i inne kłopoty

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

EKRANIZACJE | Jakim cudem dwudziestoczteroletnia panna z prowincjonalnego Steventon napisała dojrzałą i gorzką powieść o małżeństwie? Tajemnica „Rozważnej i romantycznej" tkwi w bibliotece, która dla Jane Austen była drugim domem.



MATERIAŁY PRASOWE

Bodhi Rae Breathnach, Daisy Edgar-Jones i George MacKay w filmie „Rozważna i romantyczna", reż. Georgia Oakley. Dystr. UIP

Kiedy na czterdzieste urodziny dostałam od znajomych „Dzieła zebrane" Jane Austen, w tłumaczeniu Pauliny Maksymowicz, Anny Nowosielskiej i Tadeusza Woźniaka, byłam szczęśliwa i zdziwiona jednocześnie. Czytałam te powieści jako nastolatka, wypożyczając je z biblioteki, a później nie dorobiłam się własnych egzemplarzy, mimo wielokrotnego wracania do Austen poprzez filmowe adaptacje.

Trafionemu prezentowi towarzyszył jednak niepokój: co to świadczy o mnie, jako czytelniczce, że zamiast jednej z licznych nowości literackich otrzymuję na środek życia ciętą w słowie, ale cokolwiek nobliwą i od przeszło dwustu lat nieżywą Brytyjkę? Pokusę własnej psychoanalizy, z której pożytki byłyby marne, porzuciłam dzięki samej Austen. Miałam tylko zajrzeć do opasłego tomu, a przepadłam na dobre.

Matki i córki

Interpretacja dojrzewa razem z czytelniczką. Sięgająca po „Dumę i uprzedzenie" albo „Emmę" nastolatka odkryje, że wyeksploatowany przez literaturę *young adult* schemat *from enemies to lovers* i *from friends to lovers* angielski jest nie tylko z nazwy. Ubawi ją georgiańska obyczajowość, a zachwyci radość, jaką bohaterowie czerpią z tańca, oraz znaczenie spojrzenia i muśnięcia dłoni w czasach, kiedy młodzi mieli rzadkie okazje do przebywania sam na sam.

Czytając Austen w kolejnych dekadach życia, i mając doświadczenie własnych potyczek na rynku matrymonialnym i finansowym, zauważa się więcej goryczy, mroku i kalkulacji. Już nie tak łatwo drwić z panny Lucas, która poślubia nieznośnego pastora Collinsa i płaszczy się przed wyniosłą lady de Bourgh dla materialnego zabezpieczenia, jakie daje jej małżeństwo.

Nagle ulubioną bohaterką staje się Anne Elliot z „Perswazji", która uległa opinii „życzliwych", lecz po ośmiu latach otrzymuje drugą szansę na szczęście z kapitanem Wentworthem. Jeśli samej ma się córki, to przychodzi czas, kiedy lepiej rozumie się towarzyskie strategie ówczesnych matek.

Przy okazji kinowej premiery „Rozważnej i romantycznej" w reżyserii Georgii Oakley i zapowiadanego na grudzień netfliksowego serialu na podstawie „Dumy i uprzedzenia" usłyszeć można głosy fanek, które poprzednie ekranizacje tych powieści oglądały, będąc w wieku Marianne Dashwood i Elisabeth Bennet, że dziś łapią się na interpretowaniu umizgów pani Bennet do adoratorów jej córek jako wyrazu racjonalnej troski o ich byt. Z kolei czuła pani Dashwood (w filmie Oakley gra ją Caitríona Balfe, znana z serialu „Outlander") staje się, tuż obok swatającej wszystkich pani Jennings (w tej roli Fiona Shaw), ulubioną bohaterką filmu.

Choć ekranizacja z 1995 r. w reżyserii Anga Lee uchodzi za arcydzieło gatunku, to jej premierze towarzyszyły zażarte dyskusje o wieku aktorów wcielających się w role Elinor, Edwarda Ferrarsa i pułkownika Brandona, o tym, czy fasony kapeluszy były zgodne z epoką, albo czy kwiaty, które Willoughby podarował Marianne, rosły w Devonshire na przełomie XVIII i XIX w. Także najnowsza adaptacja nie ma szans zadowolić wszystkich. Zarzuca się jej za mało komizmu charakterystycznego dla Austen, a za dużo dramatyzacji typowej dla dwa pokolenia młodszych sióstr Brontë. Kontrowersje budzą fryzury sióstr Dashwood, a raczej ich brak – włosy Daisy Edgar-Jones i Esme Creed-Miles pozostawiono w romantycznym nieładzie wbrew ówczesnej modzie na schludnie upięte koafiury.

Te spory są wpisane w dialogiczny, lekko sarkastyczny i subtelnie zaczepny styl pisarki, który skłania do dyskusji kolejne generacje czytelniczek. Austen, która wychowała się w domu, gdzie czytało się dużo i często wspólnie, w jednej przestrzeni, jest nieformalną patronką

eprasa.pl 1cc070d3f1

klubów książki. Od 1979 r. JASNA – Jane Austen Society of North America – gromadzi ludzi dzielących się przyjemnością lektury dzieł Brytyjki. Na fenomenie czytelniczych dyskusji Karen Joy Fowler oparła bestsellerową powieść „Klub miłośników Jane Austen" sfilmowaną przez Robin Swicord w 2007 roku.

Damy i wydawcy

Mark Twain czytywał Austen, ale nie cenił. Italo Calvino jej nie czytywał, ale cenił. Winston Churchill czytał „Dumę i uprzedzenie" w schronie podczas nalotów na Londyn (i najwyraźniej cenił za krzepiący serca ton). W „Liście do Lorda Byrona" W.H. Auden ogłosił pisarkę główną dekonspiratorką ekonomicznych podstaw społeczeństwa. Nabokov rozpoczął analizą „Mansfield Park" amerykańskie wykłady o prozie, która zmieniła literaturę XIX i XX w. „Każdy, kto ośmiela się pisać o Jane Austen, musi się liczyć z tym, że spośród wszystkich wielkich angielskich pisarzy właśnie ją najtrudniej uchwycić w chwili wielkości" – próbowała ostudzić spór Virginia Woolf. Sama geniuszu Austen upatrywała w naznaczającym jej twórczość, a maskowanym komizmem sytuacyjnym, wyzbyciu się złudzeń co do natury relacji międzyludzkich.

Prawdziwemu talentowi nie przeszkodzi brak własnego pokoju. Potrzebuje jednak biblioteki. Ojcowska biblioteka stała się dla siódmego dziecka pastora szkołą życia. Łatwo wyobrazić sobie młodziutką Jane, która zaszywa się w cichym kącie z powieściami Defoe, Fieldinga, Richardsona czy Sterna. Czyta pisma społeczno-filozoficzne Mary Wollstonecraft i hrabiego Shaftesbury'ego. Sięga po utwory powieściopisarek, Frances Burney, Marii Edgworth i Ann Radcliffe, które dystansując się od racjonalnego męskiego pisania, dają się zamknąć w szufladce przesadnie sentymentalnego stylu. Austen nie chciała mimikry ani szufladki, lecz pomyślenia powieści na nowo. „To jej przede wszystkim zawdzięczamy nadanie określonego kształtu formie powieści" – podkreśla Anna Przedpełska-Trzeciakowska, tłumaczka i autorka społecznej biografii pisarki pt. „Jane Austen i jej racjonalne romanse".

Jej pierwsze większe utwory, „Miłość i przyjaźń" oraz „Lady Susan", były wzorowane na powieściach epistolarnych, w tym być może na „Niebezpiecznych związkach" de Laclosa. Mogła je poznać dzięki kuzynce Elizie zamężnej z francuskim hrabią. W „Mansfield Park" zaszyła tropy odsyłające do dzieł Sterne'a, Scotta i Cowpera, które to tropy Nabokov rozjaśniał kilka pokoleń młodszym od Austen słuchaczom Uniwersytetu Cornella. W świecie Austen lektura staje się płaszczyzną, na której kobiety i mężczyźni mogą się spotkać w ulotnym momencie bycia sobie równymi.

Bohaterki Austen nie tylko czytają, czerpiąc z lektury radość i pocieszenie, ale znajdują w autorce żarliwą sojuszniczkę. „Jeśli bohaterki powieści nie będą siebie nawzajem wspierać, od kogo mogą spodziewać się opieki i szacunku?" – peroruje narratorka „Opactwa Northhanger". Patronat, jaki obejmuje nad czytelniczkami, nie przeszkadzał jej wbijać szpileczek pisarkom, zwodzącym kobiety, że prawdziwe życie toczy się w odmętach wyobraźni, a nie tam, gdzie literatura styka się z rytuałami codzienności.

Kariera Austen splotła się z dziejami raczkującego rynku książki. Za „Rozważną i romantyczną" (wydaną w tysiącu egzemplarzy jako dzieło napisane „przez Damę") oraz „Dumę i uprzedzenie" otrzymała łącznie 250 funtów – dużo jak na ówczesne zarobkowe możliwości kobiet, ale mało w porównaniu do zysków wydawcy (w tamtych czasach można było tylko pomarzyć o umowie z klauzulą bestsellerową). Publikację „Mansfield Park" Austen musiała sfinansować sama, jej wydawca nie chciał bowiem wierzyć, że dobra passa pisarki będzie trwać wiecznie. Dopiero „Emma", dzięki protekcji księcia regenta, ukazała się w zawrotnym nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy, a premiera w 1815 r. została poprzedzona pochwalną notą w „The Quarterly Review", którą moglibyśmy nazwać pierwocinami blurba. Jej autorem był Walter Scott.

Catherine Bell otwiera beletryzowaną biografię pt. „Jane Austen. Miłość, która stała się literaturą" sceną przejazdu pisarki przez jesienny Londyn do Carlton House na zaproszenie regenta. Przyszły Jerzy IV i jego córka Charlotta byli jednymi z jej pierwszych czytelników. Z okien landauera ogląda witryny sklepów z luksusowymi tkaninami, jedwabnymi rękawiczkami i czekoladą, na które jeszcze niedawno nie było jej stać. Choć nie zdążyła stać się bogata, to w ostatnich latach życia osiągnęła pewną materialną niezależność od borykającej się z problemami finansowymi rodziny.

Panowie i niewolnicy

Współczesna lektura jest czuła na białe plamy w twórczości Austen. Nie znajdziemy u niej problematyzacji historycznych, mimo że akcja powieści jest osadzona w turbulentnych czasach wojen z rewolucyjną i napoleońską Francją. Anglia Austen jest spokojna, dostatnia i zawężona do świata prowincjonalnej klasy średniej. Wątek kolonialnego zaangażowania Anglików i źródeł, jakie niejedna fortuna miała w niewolnictwie, zostaje ledwie muśnięty w „Mansfield Park", gdzie dowiadujemy się, że właściciel tytułowej posiadłości czerpie zyski z plantacji na Antylach.

Kiedy nieobyta Fanny Price zadaje mu pytanie o los niewolników, zapada wymowna cisza. Edward W. Said widzi w „Mansfield Park" powieść, która przygotowuje grunt pod etyczne uzasadnienie imperialnej ekspansji Wielkiej Brytanii. Bo skoro małżeństwo jest mikrokosmosem społecznym, „uświęconym" dzięki własności prywatnej małżonków, to legitymację muszą mieć też materialne źródła dobrobytu sielskiej Anglii.

„Należąca do Thomasa Bertrama plantacja, uprawiana przez niewolników, jest w jakiś tajemniczy sposób konieczna do zachowania stałości i piękna Mansfield Park, miejsca, które opisuje się w pojęciach moralnych i estetycznych na długo przed początkiem walki o Afrykę czy oficjalnym rozpoczęciem wieku imperiów" – pisze Said w „Kulturze i imperializmie". Przy czym nie unieważnia wartości „Mansfield Park" jako dzieła psychologicznego, traktując je jako zaproszenie do czujnej lektury ujawniającej jego prześlepione sensy.

Hołdując powieści realistycznej, Austen zamieniała w literaturę świat, który znała na co dzień, ale nie rozpruwała jego polityczno-gospodarczej podszewki. Była jednak obserwatorką zmian, o czym świadczy jej niedokończona powieść „Sandinton", w której jedną z postaci uczyniła dziedziczkę ze Wschodnich Indii, dziecko rodziców o różnych kolorach skóry. Kolonialny cień towarzyszył też losom rodu Austenów. ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ Ciotka Jane, Philadelphia Austen, wyjechała do Indii, gdzie wyszła za starszego lekarza pracującego dla Kompanii Wschodnioindyjskiej. Kosztom psychicznym, ponoszonym przez kobiety zawierające „rozsądne" małżeństwa, Austen poświęciła wczesne opowiadania „Catherine jako altanka". Z kolei wybranek jej ukochanej siostry Cassandry, Thomas Fowle, zmarł w 1797 r. w trakcie wyprawy na Karaiby, gdzie posługiwał jako kapelan. Wyruszył tam po to, by zdobyć niewielki kapitał pozwalający zrealizować plan poślubienia pozostającej w Anglii narzeczonej. Wielka Brytania połączyła rynek kolonialny i rynek małżeński nierozerwalnym węzłem.

Małżeństwo i szczęście

Trzeba oddać Austen, że przeszło półtora wieku przed Pierre'em Bourdieu opisała prawa klasowego rynku małżeńskiego. Na próżno szukać w jej powieściach alternatywnych dla małżeństwa sposobów korzystnego lokowania uczuć, a jednocześnie nie można jej nazwać piewczynią tej instytucji. Jej ambiwalentny stosunek do małżeństwa wynikał z trzeźwej oceny realiów epoki. Prawo stanowiło, że zamężna kobieta, choćby wniosła w posagu niemałą fortunę, wraz z aktem ślubu cedowała wszystkie środki na męża. Nie decydując się zaś na ślub, nie mogłaby zapewnić społecznego uznania sobie i pochodzącym z wolnego związku dzieciom. A rodząc dzieci, z regularnością wyznaczaną posłuszeństwem żony, narażała swoje zdrowie i życie.

Trzy bratowe Austen zmarły wskutek komplikacji poporodowych, dwie z nich będąc w jedenastym połogu. Pisarka odradzała bratanicom pospieszne wychodzenie za mąż i żałowała ich, kiedy zachodziły w kolejne ciąże. Znamienne, że perypetie jej bohaterek kończą się w momencie ślubu, a więc chwilowego triumfu celebracji nad codziennością zamężnych kobiet. W jej powieściach szczęśliwe małżeństwa są wyjątkiem, a te z dłuższym stażem są dla panien raczej przestrogą niż wzorem. Sama pisarka nie podjęła ryzyka nieszczęśliwego stadła. W 1802 r. Austen przyjęła oświadczyny brata przyjaciółki, dobrze sytuowanego Harrisa Bigga-Withera, i dzień później cofnęła dane mu słowo.

„Chcę być szczęśliwy jak każdy i tak jak każdy chcę zdobywać to szczęście na swój własny sposób" – słów tak bliskich Austen nie wypowiada utożsamiana z nią Marianne Dashwood, lecz Edward Ferrars, ukochany Elinor. Matka chce, by został parlamentarzystą i ożenił się z zasobną panną, on marzy o cichej parafii oraz o kobiecie odpowiadającej mu usposobieniem i ambicjami.

> W świecie Austen lektura staje się płaszczyzną, na której **kobiety i mężczyźni mogą się spotkać w ulotnym momencie** bycia sobie równymi.

Catherine Bell sugeruje, że Austen mogła w pisaniu szukać kompensacji niespełnionych marzeń. Czy rzeczywiście niespełnione zauroczenie Tomem Lefroyem, z którym flirtowała na trzech balach, po czym on wyjechał do Londynu, było głęboko formacyjne dla jej pisarstwa? Chcą w to wierzyć twórcy filmu „Zakochana Jane" z 2007 r., biograficznej fantazji z Anne Hathaway w roli tytułowej. Także Przedpełska-Trzeciakowska przekonuje, że Lefroy był pierwowzorem czarującego, lecz niewiernego pana Wickama. Niewinności nie zachował też Fitzwilliam Darcy.

Rachel Feder w eseju „Mit Darcy'ego. Jane Austen, literaccy amanci i potwory, które nauczono nas kochać" interpretuje „Dumę i uprzedzenie" jako romantyzujący przemoc wampiryczny horror o małżeństwie, będącym aktem wysysania krwi z młodych kobiet rzuconych na pastwę palantom takim jak Darcy i Wickam. Usilnie wykazuje powinowactwa między Darcym, Heathcliffem, Edwardem Cullenem z sagi „Zmierzch" i Christianem Greyem z „Pięćdziesięciu twarzy Greya".

Pisarka i czytelniczki

Wizja krwawego rozbratu z Austen jest tyleż kusząca, co tendencyjna. Bez wątpienia jej literacki świat jest mroczniejszy niż ten, za jaki uchodzi. Jednak zamiast masakrować jego wnętrzności, można w nim widzieć rewanż na rzeczywistości, która pozwala jej uczestnikom na sztywno określony los. Jako postacie literackie mogą odegrać role, które, choć nie kontestują ładu społecznego, czynią go sprawiedliwszym i znośniejszym. Ubogie panny dostatnio wychodzą za mąż, uwiedzione nastolatki zostają poślubione i włączone do społeczeństwa, a pogarda klasowa zostaje pomszczona.

Do biblioteki ludzkich typów Austen włącza postacie, w których losach zbiegają się kulturowe i ekonomiczne okoliczności epoki. Z kolei rewanż na powieściach Austen bierze Janice Hadlow w „Tej innej siostrze Bennet", gdzie oddaje sprawiedliwość Mary Bennet, przedstawionej w powieści jako rodzinne popychadło (na podstawie książki Hawlow powstał popularny serial mający premierę w marcu tego roku).

Mądrość Austen jako pisarki i jej szacunek dla czytelniczek wyraża się w tym, że nie wybiera ona wyjścia ewakuacyjnego, jakim jest naiwne szczęśliwe zakończenie. To adaptacje i przeróbki tej prozy ją romantyzują. „Rozważna i romantyczna" wbrew obrazowi utrwalonemu przez ekranizację na podstawie scenariusza Emmy Thompson, nie kończy się podwójnym ślubem sióstr i ich wybranków. Ba, do ślubu Elinor i Edwarda w ogóle może nie dojść.

„Brakowało im jedynie pewności, że będą mieli się z czego utrzymać. Edward miał dwa tysiące funtów, Elinor zaś jeden; mieli tylko tyle oraz obiecaną im prebendę w Delaford. Pani Dashwood nie była w stanie dać im niczego więcej. Nie byli w sobie tak bardzo zakochani, by sądzić, że trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie pozwoli im na dostatnie życie" – ironicznie kwituje Austen. Dopiero kiedy matka Edwarda godzi się przekazać synowi dziesięć tysięcy funtów, młodzi biorą ślub. Na ożenek pułkownika Brandona z dwukrotnie młodszą Marianne trzeba czekać jeszcze parę miesięcy, aż dziewiętnastolatka dojdzie do gorzkiego wniosku, że oczekiwania jej rodziny mogą stać się jej własnymi.

W gruncie rzeczy „Rozważna i romantyczna" to najsmutniejsza powieść Austen – o pożegnaniu z rojeniami młodości i liczeniu pieniędzy zamiast liczenia na to, że szczęście czeka za zakrętem ubitej drogi.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

eprasa.pl 1cc070d3f1



MARIIA SHULGA / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

Hanna Wojtóściszyn (Ifigenia) i Danuta Stenka (Hekuba) w spektaklu „Oresteja", reż. Luk Perceval

Kiedy świat zamiera

JACEK WAKAR

SPEKTAKL | Jego teatr nie powstaje w żadnej sprawie. Luka Percevala interesuje raczej zderzenie nas z tragedią w czystej formie.

Kiedyś spektakle Luka Percevala przyjeżdżały do Polski w miarę regularnie i każdy z nimi kontakt uważaliśmy za święto. Reżyser bywał na najważniejszych festiwalach – wrocławskim Dialogu, toruńskim Kontakcie i gdańskim Międzynarodowym Festiwalu Szekspirowskim. To wystarczało, byśmy uznali, że tego akurat twórcę światowego formatu jako tako poznaliśmy, co nie zmieniało faktu, że na kolejne przedstawienia czekaliśmy tak samo niecierpliwie. Było ich dużo, a jednak sceny albo rozwiązania z wielu do dziś zostają pod powiekami.

Na przykład pofałdowana, jakby podmyta powodzią podłoga w „Wujaszku Wani" z NT Gent, która zamykała w sobie obraz na trwałe zdeformowanego świata. Wąski, wysoko umieszczony podest z berlińskiej „Andromachy", na nim balansująca wielka Jutta Lampe w tytułowej roli i spadające szkło. Bert Luppes z twarzą Marlona Brando z „Ostatniego tanga w Paryżu" jako Płatonow w NT Gent, bardzo mu bliski w emocjonalnym wydrążeniu, ale jeszcze bardziej cyniczny, przeżarty goryczą – wielka rola. Kilka migawek, minione dawno lata. Znam widzów z Polski, którzy na teatr Luka Percevala czekali niczym *groupies* na koncert ulubionego zespołu. Spotykaliśmy się to tu, to tam. Bardzo to było przyjemne.

DZIŚ SYTUACJA SIĘ ZMIENIŁA. „Oresteja" to czwarta inscenizacja Percevala przygotowana w Polsce, za kilka miesięcy ma być piąta, oparta na „Mefiście" Klausa Manna w gdańskim Wybrzeżu. Wieść gminna niesie, że artysta cumuje swą łódź nieopodal Szczecina i w ogóle czuje się w naszym kraju prawie jak u siebie. Spotkania z jego spektaklami zatem nie są już sensacją, stały się wyczekiwanym przez wielu doświadczeniem, choć jak każdemu twórcy zdarzają się mu rzeczy wspaniałe, bywają też słabsze, ale zawsze gra idzie o najwyższą stawkę. Mowa jest o porządku świata, naturze człowieka, jego bytowaniu na ziemi ze sobą i z innymi, obecności Boga lub bogów oraz ich ingerencji (bądź jej braku) w porządek zdarzeń i spraw. Teatr Luka Percevala dotyka pytań najistotniejszych.

W „3Siostrach" – koprodukcji Narodowego Starego Teatru w Krakowie i TR Warszawa – reżyser dodał lat bohaterkom Czechowa, by opowiedzieć o starzejącej się, chylącej ku upadkowi Europie, a postaciom kazał przeglądać się w zniekształcających rysy i sylwetki lustrach. Efekt był piorunujący.

ADAPTUJĄC W KRAKOWSKIM Starym „Zmierzch długiego dnia" Eugene'a O'Neilla, stworzył zasysający widzów portret rodzinny we wnętrzu, biorąc pod lupę mechanizmy uzależnienia i relacji przez nie zatruwanych. „Pewnego długiego dnia" przyniosło wielkie role Małgorzaty Zawadzkiej i Romana Gancarczyka. Niezwykła była zwłaszcza pierwsza kreacja – studium szaleństwa i rozpadu osobowości, niepowtarzalny balet dłoni jako obraz ostatecznego wewnętrznego krachu. Inna rzecz, że ta rola wielu sezonów spowodowała, iż kolejni ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ reżyserzy popychają świetną aktorkę, by dotykała podobnych rejestrów. Robi to skutecznie, ale kolejnego olśnienia na razie nie przeżyłem.

Poległ Perceval w Starym, gdy przenosił na scenę Emila Zolę w widowisku o średnio przystającym do niego tytule „Seks, hajs i głód". Rysował je bardzo grubą kreską, każąc aktorom zmieniać głosy i grać najszerzej jak się da. Kompletnie minął się z tonem i tematem opowieści, nieumyślnie zamieniając całość w autokarykaturę.

DZIĘKI „ORESTEI" Perceval pierwszy raz pracował na narodowej scenie. Jej dyrektor Jan Klata był już z flamandzkim twórcą umówiony, gdy pełnił funkcję szefa Starego Teatru. Miała tam powstać adaptacja „Braci Karamazow". Wtedy do współpracy nie doszło, Klata machinacjami władz został pozbawiony stanowiska. Minęło jedenaście lat i przedstawienie Percevala inauguruje drugi sezon dyrekcji Jana Klaty w Narodowym. Kolejny raz przy tym odwinął się reżyser, nie dając tego, czego wielu oczekiwało.

TO NIE JEST DŁUGI TEATRALNY WIECZÓR, ledwie godzina i czterdzieści pięć minut bez przerwy. Oczywiste staje się zatem, że nie obejrzymy solennej adaptacji trylogii Ajschylosa, nie znajdziemy w spektaklu wielu tematów, wątków, postaci, a już na pewno całego ornamentu, jakim autor obudowuje sedno dramatu.

Przy tym zaznaczmy od razu – twórcy uczciwie ostrzegają, iż nie jest to „Oresteja" Ajschylosa, ale niejako samoistny utwór pisany na motywach tragedii. Perceval nazywa swój scenariusz palimpsestem – to tekst „nadpisany". Zostają postaci, oś zdarzeń, najważniejsze motywacje – mam przekonanie, iż partytura widowiska w Narodowym nierozerwalnie bliska jest duchowi klasycznego dzieła. Ci, co szli na tę „Oresteję", aby słuchać fraz Ajschylosa, ich nie dostaną.

Perceval proponuje w zamian coś na kształt autorskiego przekładu na całkiem osobny język swego teatru. Nie wiem, jak zdania ze scenariusza warszawskiej „Orestei" sprawdziłyby się w innym przedstawieniu, pod ręką innego artysty, niewykluczone, że nie sprawdziłyby się wcale. Tu jednak tworzą ekwiwalent oryginału wobec owego oryginału równoważny.

Chociaż nie słyszę ze sceny Ajschylosa, mam wrażenie, że idę po jego śladach. Nie wszyscy mieli podobnie. Po premierze usłyszałem głosy, że Perceval jest obok, proponuje teatr martwy, a „Oresteja" jest jak wizyta w muzeum. Nie jestem pewien, czy wiem, w którym punkcie artysta mija się z oczekiwaniami niektórych, ale pokuszę się o skleconą *ad hoc* diagnozę. Otóż mam pewność, że jego teatr nie powstaje w żadnej bieżącej sprawie. Nie daje odpowiedzi.

„ORESTEJA" JEST O TYM, że wojna zostawia zgliszcza w sercach, o tym, że spalone miasta spopielają całą ziemię, ale nie jest o sytuacji w Ukrainie. Mówi o tyranii władzy absolutnej, ale nie sposób jej odnosić do jednego zwyrodniałego dyktatora albo do konkretnego szaleńca, co bawi się własną potęgą. Głęboko wchodzi przy tym w psychikę kobiet, dręczonych wszystkimi objawami stresu pourazowego, żyjących żądzą zemsty, przesłaniającą im oczy, nawet na moment jednak nie staje się najbardziej szlachetnym reportażem.

TO NIE JEST TEATR ŁATWY, to nie jest teatr dla każdego. Jednych odrzuci i to też będzie w porządku. Ten teatr wypływa bowiem wprost z rzeczywistości, karmi się dotykającymi świat wydarzeniami, ale przenosi je na inny poziom. Jak kiedyś Tadeusza Kantora, Luka Percevala interesuje teatr esencji, zderzenie nas z tragedią w czystej formie. Znać przy tym, że przed rokiem twórca pracował w Berliner Ensemble nad „Czekając na Godota", bo pozostaje mocno w kręgu poetyki Samuela Becketta. Jego podejściu do postaci z „Orestei" mogłoby patronować słynne zdanie autora „Końcówki": „Urodził się i to go zgubiło". Dawniej odnosiłem je przede wszystkim do Edypa z tragedii Sofoklesa, po przedstawieniu w Narodowym wydaje się szczególnie adekwatne wobec Hekuby, Klitajmestry czy Kasandry.

Autorka dekoracji Annelies Vanlaere zbudowała na scenie Teatru Narodowego konstrukcję gigantycznej piramidy i na jej stopniach umieściła akcję tragedii. Aktorki i aktorzy pojawiają się u szczytu albo wychodzą zza budowli. Częściej w działaniu, zdarza się, że na długie chwile zastygają w bezruchu. Odrzucam jednak zarzut, że jest to dowód bezradności inscenizatora i że nie wiedział, co począć z nimi, gdy już skończą mówić. Ta „Oresteja" jest bowiem opowieścią o powolnym zamieraniu świata, oratorium zapowiedzianej śmierci. W istocie przecież nie do końca wiemy, która z postaci znajduje się jeszcze wśród żywych.

PERCEVAL WPROWADZA choćby na scenę Ifigenię (Hanna Wojtóściszyn), choć u Ajschylosa córka Klitajmestry i Agamemnona wprost nie występuje. W Narodowym nie dostaje słów, ale jest wszechobecna w nieustannym skulonym biegu, natrętnym ruchu, towarzyszeniu innym. Znakomita, karkołomnie trudna rola młodej aktorki. Takie są wszystkie partie „Orestei" z Teatru Narodowego. Spektakl zaczyna się od zduszonego monologu Hekuby (Danuta Stenka), więznącym w gardle głosem wyrzucającej „Grrrekom" spalenie Troi. Hekuba Stenki na naszych oczach staje się samym pragnieniem zemsty, żądzą odwetu i krwi. Wstrząsająca jest debiutująca na narodowej scenie w Warszawie Karolina Staniec jako Kasandra, łącząca ciężar widzenia przyszłych zdarzeń z intymnym tonem, ponad zgliszczami świata chcąca ponad wszystko przytulić się do matki.

Klitajmestra w wybitnej interpretacji Aleksandry Justy łączy przeciwieństwa, każąc na wiadomą wojnę patrzeć jej oczami. Aktorka gra na wielu tonach, zdarza się jej do krzyku bohaterki przemycić najczystsze psychologiczne aktorstwo. Ewa Bukała (Elektra) chyba najbliższa jest współczesności, mnie akurat najtrudniej było emocjonalnie zbliżyć się do jej bohaterki, co w żadnym stopniu nie umniejsza pracy aktorki.

ROBERT CZERWIŃSKI musi zawrzeć dramat Orestesa w dwóch bodaj sekwencjach i radzi sobie z tym zadaniem bezbłędnie. Mariusz Bonaszewski i Cezary Kosiński są jak sceniczne znaki, ale bez ich udziału „Oresteja" byłaby innym przedstawieniem. Jeszcze niezwykłe światła Marka Van Denesse i nie muzyka, a cały pejzaż dźwiękowy Karola Nepelskiego. To nie jest pierwszy raz, kiedy osiąga on we współpracy z Percevalem niecodzienne efekty, niejako na nowo definiując swoją artystyczną drogę jako nie tyle kompozytora, ile autora fonosfer spektakli. ©

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej

eprasa.pl 1cc070d3f1



Fot. Maciek Jaźwiecki / Muzeum POLIN

Projekt „Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe" realizowany w Muzeum POLIN

Muzeum POLIN rozpoczęło trzecią edycję projektu „Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe", którego celem jest ochrona i popularyzacja dziedzictwa żydowskiego. Projekt wspiera edukację historyczną i kulturową służącą budowaniu otwartego społeczeństwa oraz przeciwdziałaniu antysemityzmowi. Działania potrwają do 2031 roku. Przedsięwzięcie jest możliwe dzięki partnerstwom i wsparciu ze środków Norweskiego Mechanizmu Finansowego oraz budżetu państwa w ramach Programu „Kultura" na lata 2021–2028.

Projekt obejmuje innowacyjne działania rozwijające wiedzę i wrażliwość społeczną. Muzeum kontynuuje digitalizację i udostępnianie zasobów, ułatwiając dostęp do wiarygodnych informacji i źródeł historycznych. Wesprze także osoby, które chronią i popularyzują dziedzictwo żydowskie w małych miejscowościach.

„W latach 2026–2031 Muzeum POLIN zrealizuje 9,5 tysiąca wydarzeń, działań edukacyjnych i inicjatyw społecznych, które dotrą do ponad 11,5 miliona odbiorców w Polsce i za granicą. Współpraca polsko-norweska miała kluczowe znaczenie dla rozwoju tego projektu"– podkreśla Łucja Koch, zastępczyni Dyrektora Muzeum POLIN ds. Edukacji i Sprzedaży.

Dziewięć obszarów działania

Trzecia edycja projektu obejmuje dziewięć obszarów: Edukacja dla przyszłości – warsztaty, zajęcia, programy stacjonarne i online dla dzieci, młodzieży, rodzin oraz grup zagrożonych wykluczeniem; Edukacja włączająca – konferencje i seminaria dla nauczycieli, edukatorów i specjalistów; Akcja Żonkile – ogólnopolska kampania społeczno-edukacyjna; Budowanie relacji i zrozumienia – programy kulturalne dla mieszkańców Warszawy i ogólnopolskiej publiczności; Zrozumieć przeszłość – digitalizacja i udostępnianie dokumentacji i zbiorów we współpracy z Żydowskim Instytutem Historycznym; Muzeum lokalnie – wsparcie liderów w małych miejscowościach we współpracy z Fundacją Forum Dialogu; Muzeum dla młodych – nowe narzędzia edukacyjne i działania w Internecie dla nastolatków; Rozwój wystawy stałej – aktualizacja treści edukacyjnych wokół wystawy „1000 lat historii Żydów polskich"; Ponad granicami – seminaria prowadzone z partnerami z Norwegii.

Partnerzy projektu

Liderem projektu jest Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, a partnerami w Polsce Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma oraz Fundacja Forum Dialogu. Muzeum POLIN współpracuje także z instytucjami norweskimi: Norweskim Centrum Studiów nad Holocaustem i Mniejszościami (HL-Senteret), Europejskim Centrum Wergelanda, Centrum Falstad, Muzeum Żydowskim w Oslo oraz Muzeum Żydowskim w Trondheim.

Projekt jest finansowany przez mieszkańców Norwegii i budżet krajowy

Norway grants

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POLIN Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe

Wspólnie działamy na rzecz bardziej zielonej, demokratycznej i odpornej Europy

eprasa.pl 1cc070d3f1

Szkody uboczne

ANITA PIOTROWSKA

FILM | „NAZA" składa się z relacji 24 byłych żołnierzy IDF i oficerów wywiadu. Przedstawiają czasem swą rolę w Gazie jako czysto techniczną i nazywają siebie trybikami w maszynie, przywołując wiadome skojarzenia.



MATERIAŁY PRASOWE

Ktoś wieczorem ćwiczy jogę albo ogląda telewizję, inny zgarnia w kuchni okruchy ze stołu. Oto zwykłe życie, jakie toczy się gdzieś w Tel Awiwie, podpatrywane przez rozświetlone okna apartamentów. Kilkadziesiąt kilometrów dalej, w zrównanej z ziemią Gazie, trudno byłoby uświadczyć dzisiaj podobne sceny, choć izraelski Wielki Brat operuje tam od dawna. Jakiego rodzaju taktyki wojskowe, powodujące nie tylko zniszczenie, ale i masowe zabijanie, za tym stały? Opowiada o tym „NAZA" – film dokumentalny, nagrodzony na wrześniowym festiwalu w Wenecji. Został potępiony przez izraelskie władze, spotkał się z ostrym dementi tamtejszej armii, a chwilę po premierze zripostowano go produkcją „NAZA – prawdziwa historia", w której oddolność trudno uwierzyć.

Właściwa „NAZA" składa się z relacji 24 sygnalistów, a konkretnie byłych żołnierzy IDF i oficerów wywiadu niższego szczebla, których nazwisk, twarzy ani głosów z oczywistych powodów nie da się rozpoznać. Mówią o tym, jak w odwecie za masakrę dokonaną przez Hamas 7 października 2023 roku Izrael wykorzystywał algorytmy sztucznej inteligencji w celu przejęcia pełnej kontroli nad Strefą Gazy – choćby za cenę „wyczyszczenia" jej z ludzi. Siedząc na dachu jednego z telawiwskich wieżowców pytania stawia izraelski dziennikarz Yuval Abraham, za kamerą stoi jego współpracowniczka Rachel Szor. W ojczyźnie grozi im się dzisiaj pozbawieniem obywatelstwa (oficjalnie), a nawet śmiercią (nieoficjalnie). Współproducentem filmu jest brytyjski „The Guardian", dla którego Abraham już wcześniej pracował przy materiałach śledczych na temat izraelskich nadużyć w stosowaniu cyfrowych technologii militarnych.

„W Gazie nie ma niewinnych ludzi" – tak można streścić ironiczne wypowiedzi utajnionych bohaterów. Dlatego ich zdaniem powstała „fabryka celów", czyli system namierzania, inwigilowania i likwidowania ich „z okładem". Tym właśnie jest tytułowa NAZA – akronim (i eufemizm) oznaczający możliwe „szkody uboczne". To pojęcie znane w wojskowości, ale w tym przypadku mogło oznaczać dziesiątki czy wręcz setki dopuszczalnych ofiar w przeliczeniu na jeden ludzki cel, bez względu na ich wiek. W dodatku „inteligentne" i bezkontaktowe zabijanie pozwala uniknąć odpowiedzialności. Stąd rozmówcy Abrahama przedstawiają czasem swą rolę jako czysto techniczną i nazywają siebie trybikami w maszynie, przywołując wiadome skojarzenia.

Z dzieła wyłania się więc obraz nowoczesnej wojny (czy dzisiejszej rzeczywistości w ogóle), w której wirtualne zapośredniczenie, kontrola numeryczna i stechnicyzowany język pogłębiają dehumanizację. Sam film też bywa do bólu „techniczny", chociaż oficerowie elitarnych jednostek wywiadu, rysujący przed kamerą mapy i schematy akcji, na różne sposoby wyrażają swoje straumatyzowanie. Jedni opłakują dzieci domniemanych bojowników Hamasu, które wcześniej podsłuchiwali albo znali z przechwyconych zdjęć, inni porównują strzelaninę, w której ginęli ludzie biegnący po żywność, do gry komputerowej. Wszyscy wypełniali swoją misję.

Dopiero w samym finale „NAZA" prezentuje surowy materiał z Gazy, który nie wymaga komentarza. Inaczej niż w „Prawdziwej historii", gdzie bombarduje się widza materiałami IDF mającymi dowieść, iż mamy do czynienia z najbardziej moralną armią świata. Głosami wysoko postawionych oficerów wywiadu (też zniekształconymi, więc i tym razem musimy wierzyć na słowo, że to oni) powtarza się nam w kółko, że Izrael nigdy nie walczy na oślep i stosuje procedury minimalizujące straty w ludziach. Niechlujny, chałupniczo zmontowany reportaż w efekcie niewiele wnosi.

Oczywiście, żaden dokument nie jest w stu procentach „niewinny". Za każdym ujęciem stoi konkretny człowiek, jego poglądy, wybory etyczne i estetyczne. W czasach szalejącej dezinformacji jeszcze łatwiej zdyskredytować uczciwość filmu – przecież wszystko może być manipulacją czy fałszywką. Rodzi to zrozumiałą czujność, ale też coraz częściej robi z nas cynicznych niedowiarków. Dlaczego zatem mielibyśmy uwierzyć temu filmowi? Po pierwsze, stoi za nim autorytet brytyjskiego dziennika, który w swej ponad dwustuletniej historii nie raz an-

eprasa.pl 1cc070d3f1



NAZA
– reż. Yuval Abraham, Rachel Szor. Prod. Wielka Brytania 2026. Dystryb. So FILMS. W kinach.

Yuval Abraham i Rachel Szor to młodzi izraelscy dziennikarze śledczy i dokumentaliści. Wspólnie z palestyńskimi kolegami po fachu, Baselem Adrą i Hamdanem Ballalem, nakręcili dokument „Nie chcemy innej ziemi", który przyniósł im nagrodę na Berlinale i Oscara w 2025 roku.

Na zdjęciu: kadr z filmu „NAZA"

gażował się w sprawy rażące nierównym rozkładem sił i do dziś wyróżnia się rzetelnym dziennikarstwem. A pracę Abrahama i Szor, twórców głośnego dokumentu „Nie chcemy innej ziemi", doceniono już wcześniej. Teraz firmuje ją jako producent wykonawczy Jonathan Glazer, brytyjski reżyser pochodzenia żydowskiego, twórca słynnej „Strefy interesów", i w obrazach nocnego Tel Awiwu, chcąc nie chcąc, powraca tamten film. Czyje i jakie interesy mogły stać za kwestionowaniem wiarygodności dokumentu o taktykach wojny w Strefie Gazy, nie trzeba dopowiadać. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak bardzo śmierdzącym jajem musiał być ten temat w przededniu najnowszych wyborów do Knesetu.

Stoją za tym dziełem także liczby – te, którymi ponoć oznacza się w systemie poszczególnych mieszkańców Strefy jako potencjalne cele, i 74 tysiące dotąd zabitych. Łatwo tu o ripostę: taka jest cena wojny miejskiej w gęstej zabudowie czy hamasowskiej strategii „żywych tarcz". Pokłosie filmu pokazało, z jaką łatwością przerzuca się całą odpowiedzialność na słabszą stronę. Już sam sposób nakręcenia „Prawdziwej historii", zrealizowanej naprędce i bezczelnie naśladującej styl filmu „NAZA", przygotowywanego przez trzy lata i w oparciu o dziesiątki indywidualnych relacji, wiele mówi o mechanizmach propagandy. Chodzi nie tylko o dezawuowanie wcześniejszego tytułu, ale również o dezorientację widza, który dostał typową „produkcję odwetową".

W pewnym momencie Abraham i Szor przywołują archiwalne nagranie z młodym Beniaminem Netanjahu, który promując swoją książkę mówił, czym jest terroryzm. Jego definicja niepokojąco przystaje do tego, co od trzech lat dokonuje się w Gazie rękami izraelskich żołnierzy – choć *de facto* coraz bardziej zdalnie, „matematycznie" i anonimowo. Twórcy dokumentu, który zaciera granice miedzy kinem, dziennikarstwem i aktywizmem, wyciągnęli działanie armii na światło dzienne. Dzięki ich determinacji i odwadze mało znany temat trafia pod strzechy i na czerwone dywany. Domaga się publicznych debat i kolejnych śledztw, a nie nerwowego zbijania argumentów czy stawiania chochołów z zarzutami antysemityzmu. Przypomina jednocześnie, dlaczego szczególnie dzisiaj muszą istnieć niezależne media i kino dokumentalne. Takie, które nie chce być odgórną ustawką i, zamiast służyć wielkim politycznym interesom, staje się po prostu sumieniem. ©

Lektor:
Wędrowiec

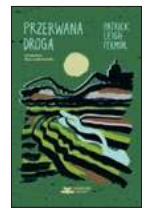

▪ *Patrick Leigh Fermor,* **PRZERWANA DROGA. OD ŻELAZNYCH WRÓT DO GÓRY ATHOS**, *przełożyła i posłowiem opatrzyła Ewa Ledóchowicz. Książkowe Klimaty, Wrocław 2026*

Cóż to za autor niezwykły! Ma już chyba u nas grono wielbicieli, bo to kolejna jego książka po polsku, no i „Zeszyty Literackie" go portretowały. Pisarz, podróżnik, podczas II wojny zaangażowany w grecką partyzantkę, organizator porwania niemieckiego komendanta Krety. Erudyta obdarzony wielkimi zdolnościami językowymi, zakochany w Grecji. „Najbardziej uroczy wariat, jakiego w życiu spotkałem" – pisał o nim Lawrence Durrell.

„Przerwana droga" to zamknięcie jego głównego dzieła, trylogii podróżniczej, której dzieje same w sobie są dość osobliwe. Mamy rok 1933, osiemnastolatek z dobrej angielskiej rodziny wyrusza w drogę z Hoek van Holland, by pieszo dotrzeć do mitycznego Konstantynopola. Śmiały plan zrealizuje i zakończy wędrówkę w roku 1935, ale pierwszą część relacji z niej, obejmującą szlak z Holandii nad środkowy Dunaj, wyda dopiero 44 lata później, jako szóstą książkę.

Zamiast reportażu czytelnicy otrzymali więc portret świata, który – przeorany przez wojnę – przestał w tym kształcie istnieć. Jeszcze wyraźniej widać to w tomie drugim: młody podróżnik goszczony jest w arystokratycznych rezydencjach Siedmiogrodu, który jest już rumuńską Transylwanią (choć arystokracja głównie węgierska). Symboliczny wydaje się fakt, że w zakończeniu części drugiej i na początku trzeciej pojawia się to samo miejsce: Ada-Kaleh, wyspa na Dunaju zamieszkała przez Turków, niby zapomniany relikt Imperium Osmańskiego. Tyle że kiedy książki się ukazywały, tego miejsca już nie było, zniknęło pod wodą po budowie zapory w Żelaznych Wrotach.

No i dodać od razu trzeba, że to najważniejsze dzieło Patricka Leigh Fermora nigdy nie zostało ukończone, tekst główny części trzeciej, wydanej dwa lata po śmierci autora, urywa się w pół zdania. Uspokajam: do Konstantynopola (Fermor chętniej tak nazywał Stambuł) dotrzemy, tyle że nie zrobi on spodziewanego wrażenia, droga okazała się ważniejsza od celu. Najwięcej tu jest o Bułgarii, mocno zresztą egzotyzowanej.

Na koniec mamy za to niespodziankę. Powikłany życiorys autora sprawił, że jego notatki z podróży przepadły i sięgał głównie do swojej pamięci. Jednak w 1965 r. okazało się, że jego dawna rumuńska kochanka, księżna Balasza Kantakuzen, przechowała notes zawierający zapiski Fermora z pobytu na górze Athos, w „republice mnichów". I ten właśnie tekst książkę zamyka. ©℗

eprasa.pl 1cc070d3f1



LESZEK ZADOŃ X3

Podium Konkursu podczas gali rozdania nagród. Bohdan Luts prezentuje swą nagrodę specjalną: wypożyczone na dwa lata przez Nippon Violin skrzypce Stradivariusa „Marquis de Rivière" z 1711 roku.

Tytuły do sławy

JAKUB PUCHALSKI

Przyjrzyjmy się bohaterom Konkursu – tym szczęśliwym, bo nagrodzonym, i tym pechowym, bo odrzuconym – a w Podkaście Tygodnika Powszechnego także ich posłuchajmy.

Wszyscy znamy już wyniki Konkursu Wieniawskiego. Jak zwykle nie wszyscy natomiast są z nich zadowoleni. Wygrał jednak niewątpliwie pewny skrzypek i profesjonalny muzyk. Bohdan Luts zresztą w Poznaniu tylko potwierdził swoją pozycję, bo już trzy lata temu triumfował w nawet bardziej prestiżowym Konkursie Marguerite Long i Jacques'a Thibaud. Nie jest więc zaskakujące, że od początku był dla wielu faworytem. Najwyraźniej także dla grona jurorów, które obradowało pod przewodnictwem Bartłomieja Nizioła.

Trzeba też przyznać, że spod jego smyczka wyszła jedna z najlepszych kreacji tego Konkursu: Koncert skrzypcowy Dvořáka. Gdyby zagrał go w finale, trudno byłoby o głosy podważające decyzję jury. Był to jednak półfinał. O kolejności trzech nagród miały decydować wyłącznie wykonania koncertów Wieniawskiego – co jednak zrobić, jeżeli każde z nich miało swoje mankamenty?

Oczywiście jednak wynik mógłby być inny. Po pierwsze, niektórzy woleliby widzieć zwyciężczynią Jinzhu Li, młodziutką Chinkę śpiewnie deklamującą na skrzypcach (co jednak umiarkowanie mogła pokazać w karkołomnym I Koncercie fis-moll Wieniawskiego). Po drugie – mógłby być inny, gdyby inni skrzypkowie doszli do finału. Które produkcje konkursowe wyróżniły się zatem szczególnie i wyjątkowo, poza Koncertem Dvořáka i II etapem Jinzhu Li (ten „etap prawdy" powiedział o niej najwięcej)? Przyjrzyjmy się bohaterom Konkursu – tym szczęśliwym, bo nagrodzonym, i tym pechowym, bo odrzuconym – a w Podkaście Tygodnika Powszechnego także ich posłuchajmy.

NAJWIĘKSZE OSOBOWOŚCI

Ostateczny triumfator od samego początku prezentował się jako jeden z najpoważniejszych kandydatów. Był m.in. autorem najlepszego wykonania jednego z najpopularniejszych na Konkursie utworów, Sonaty f-moll Prokofiewa. Co nie oznacza, że był to najlepszy występ II etapu, lub najlepsza z sonat, jakie zostały wykonane na turniejowej estradzie.

Tu łatwo znaleźć innych kandydatów, poczynając od Jinzhu Li, która wybrała sobie prostszą koncepcyjnie i pełną śpiewnego uroku inną sonatę Prokofiewa (D-dur), przez Mayę Wichert i jej fantastyczną Sonatę Ravela (ta II część, „Blues", przejdzie do historii!), po Teofila Milenkovicia.

I to właśnie był zdecydowanie najlepszy występ tego etapu – wciągający od pierwszego do ostatniego dźwięku, fenomenalny pod każdym względem, prezentujący dojrzałość i zrozumienie zarówno konstrukcji programu, jak i specyficznego idiomu muzyki francuskiej, z której skrzypek ułożył swój recital, a wreszcie każdego oddechu w granych utworach. Taki laureat przyniósłby zaszczyt każdemu konkursowi – tymczasem Milenković odpadł właśnie po tym etapie. Tego nie sposób zrozumieć.

eprasa.pl 1cc070d3f1



Zwycięzca **BOHDAN LUTS** i batuta Łukasza Borowicza, pod którą w całym IV etapie towarzyszyła skrzypkom Orkiestra Filharmonii Poznańskiej.



MAYA WICHERT dała się zapamiętać zarówno Sonatą Maurice'a Ravela, jak i doskonałą, dotykającą tajemnic wszechświata interpretacją przejmującej Fantazji „Vox amoris" Pēterisa Vasksa.



BARTEK BARCZYK

TEOFIL MILENKOVIĆ, najdojrzalszy, w pełni znakomity występ II etapu, uwieńczony został nagrodą specjalną za najlepsze wykonanie utworu polskiego i... nieprzepuszczeniem do etapu III.

NIESPODZIANEK CIĄG DALSZY

Nie był to jednak koniec niespodzianek. W III etapie dwie najdoskonalsze produkcje wiązały się z Fantazją „Vox amoris". Być może dlatego, że to najbardziej znana muzyka spośród czterech utworów, które zostały przedstawione uczestnikom do wyboru, a może dlatego, że to dzieło najbardziej przejmujące i elektryzujące, żadna inna kreacja nie była tak dopracowana, jak interpretacje muzyki Pēterisa Vasksa. Dwie zupełnie odmienne kreacje, wykonane jedna po drugiej: najpierw Maya Wichert sięgnęła ideału, następnie Jooha Choi zwróciła się ku czystej liryce. Tylko ta druga przeszła dalej.

Odrzucenie Mai Wichert zdecydowanie zmieniło układ sił w półfinale, wprowadzając do niego element przypadku. W efekcie mieliśmy tam tylko dwie faktycznie godne tego etapu produkcje – na sześć koncertów z orkiestrą. Na szczęście obie znalazły się w finale, ale premiowano też pewną ręką, lecz beznamiętnie i dość brutalnie wykonany przez SooBeen Lee Koncert Sibeliusa.

Z trójki finalistów rywalizacja toczyć więc mogła się jedynie między dwoma muzykami, podczas gdy Lee pozostało już tylko czekać na swoją III nagrodę. Nieoczekiwaną dlatego, że w ogóle znalazła się w finale – ale potwierdzoną poprawnym, choć sztywnawym wykonaniem arcytrudnego Koncertu fis-moll Wieniawskiego.

Czy jednak Konkurs spełnił swoje zadanie? Jak najbardziej. To przecież przede wszystkim przegląd talentów młodego pokolenia skrzypków. Bylebyśmy tylko nie zapomnieli tych, którzy nie otrzymali tu żadnych oficjalnych tytułów – choć zyskali tytuły do sławy! ©

Wszystkie relacje konkursowe znajdą Państwo pod adresem: tyg-pow.pl/konkursWieniawskiego

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 1cc070d3f1

Dobra łączność zaczyna się od świadomych decyzji – rusza projekt „Połączeni technologią"

Gdy mówimy o cyfrowym państwie, najczęściej myślimy o aplikacjach, e-usługach czy sztucznej inteligencji. Rzadziej zwracamy uwagę na infrastrukturę telekomunikacyjną, bez której żadne z tych rozwiązań nie mogłoby przecież działać.

To właśnie niezawodne sieci umożliwiają rozwój usług publicznych, działalność przedsiębiorstw i sprawne funkcjonowanie państwa. Dlatego Ministerstwo Cyfryzacji oraz Instytut Łączności-PIB uruchamiają projekt „Połączeni technologią", którego celem jest zwiększenie świadomości znaczenia telekomunikacji dla rozwoju Polski.

– Dobra łączność ma znaczenie dla każdego, choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę. Od niej zależy, czy mieszkaniec może pracować zdalnie, uczyć się przez internet i korzystać z usług online. Dla firmy oznacza możliwość dotarcia do nowych klientów i rynków. Dla państwa – sprawne działanie urzędów i szybki przepływ informacji, szczególnie w sytuacjach zagrożenia – mówi Krzysztof Gawkowski, wicepremier, minister cyfryzacji.





MONEYMAKER / ADOBE STOCK

ROZWÓJ ZACZYNA SIĘ OD WARUNKÓW

Telekomunikacja wpływa dziś na jakość życia mieszkańców, atrakcyjność inwestycyjną regionów oraz możliwości rozwoju lokalnych społeczności. Im lepiej rozumiemy, jak dostęp do sieci i ich niezawodność przekładają się na działanie usług cyfrowych, tym łatwiej jest podejmować dobre decyzje o rozwoju infrastruktury.

Telekomunikacja staje się również jednym z warunków wdrażania nowych technologii. Rozwój sztucznej inteligencji, usług chmurowych, smart city czy nowoczesnej edukacji wymaga stabilnej i wydajnej infrastruktury. Im więcej usług przenosi się do świata cyfrowego, tym większe znaczenie ma jakość sieci. Dlatego decyzje dotyczące łączności nie powinny być traktowane wyłącznie jako kwestie techniczne, ale jako element planowania rozwoju społecznego i gospodarczego.

– Chcemy, aby każdy rozumiał, jak ważna jest telekomunikacja dla rozwoju kraju i lokalnych społeczności. Bez tej świadomości nasze plany dotyczące cyfrowej Polski mogą wykraczać poza to, co jesteśmy w stanie osiągnąć – mówi Anna Streżyńska, dyrektor Instytutu Łączności-PIB.

Szczególną rolę odgrywają samorządy. Muszą one wiedzieć, gdzie mieszkańcy mają dostęp do sieci, jakie są ich potrzeby i jakie inwestycje można przeprowadzić. Powinny też rozumieć, na co mają wpływ i z kim mogą współpracować. Jak podkreśla Grzegorz Czwordon, zastępca dyrektora Departamentu Telekomunikacji Ministerstwa Cyfryzacji, powodzenie cyfryzacji zależy nie tylko od dostępności usług, ale także od warunków, które umożliwiają mieszkańcom korzystanie z nich w praktyce. Dlatego planując rozwój gminy, trzeba patrzeć jednocześnie na usługi, infrastrukturę i potrzeby ludzi.

WSPARCIE DLA SAMORZĄDÓW

Projekt przewiduje pakiet wsparcia dla jednostek samorządu terytorialnego. Jeszcze w 2026 roku uruchomiona zostanie specjalna infolinia, dzięki której samorządowcy będą mogli uzyskać informacje i pomoc w sprawach związanych z telekomunikacją oraz rozwojem sieci.

Powstaną również dwa raporty analityczne. Pierwszy będzie dotyczył czynników wpływających na dostępność i jakość usług telekomunikacyjnych oraz rozwój sieci. Drugi przeanalizuje wpływ regulacji i decyzji podejmowanych na różnych szczeblach na funkcjonowanie rynku telekomunikacyjnego. Opracowania mają pomóc samorządom lepiej przygotowywać inwestycje i prowadzić dialog z operatorami.

PRZYSZŁOŚĆ POTRZEBUJE ZROZUMIENIA

Projekt obejmuje także działania edukacyjne i informacyjne. Filmy, podkasty i publikacje pokażą, jak telekomunikacja wpływa na codzienne życie, bezpieczeństwo oraz rozwój społeczny i gospodarczy. Ich celem jest pokazanie, że sieci telekomunikacyjne to nie tylko technologia i urządzenia. To także konkretne możliwości, z których korzystamy każdego dnia.

Projekt „Połączeni technologią" będzie realizowany do końca 2029 roku w ramach programu Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy. Jego celem jest budowanie wiedzy o znaczeniu telekomunikacji i uwzględnianie jej jako jednego z kluczowych elementów rozwoju kraju. Bez odpowiedniej infrastruktury telekomunikacyjnej trudno budować nowoczesne państwo i skutecznie odpowiadać na wyzwania przyszłości. ©

MATERIAŁ PARTNERA

„Połączeni technologią" to ogólnopolski projekt edukacyjno-informacyjny realizowany przez Ministerstwo Cyfryzacji w partnerstwie z Instytutem Łączności – Państwowym Instytutem Badawczym w ramach Działania 2.5 „Wsparcie umiejętności cyfrowych" programu Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy 2021–2027 (FERC). Celem projektu jest zwiększenie wiedzy o znaczeniu telekomunikacji dla rozwoju społeczno-gospodarczego, jakości życia i bezpieczeństwa państwa. Działania opierają się na rzetelnej wiedzy, danych i wynikach badań. Obejmują edukację o infrastrukturze telekomunikacyjnej i jej zastosowaniach, przeciwdziałanie dezinformacji oraz wsparcie samorządów w rozumieniu korzyści płynących z inwestycji telekomunikacyjnych.

eprasa.pl 1cc070d3f1

Festiwal Ars Cameralis

XXXV edycja
3–27 listopada 2026

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 44/2026

PUSTKA



Co wypełnia pustkę?

MICHAŁ SOWIŃSKI

Przeraża i fascynuje. Może pochłonąć człowieka, ale też pomóc mu lepiej zrozumieć świat. Tegoroczne hasło Ars Cameralis jest okazją, by przyjrzeć się temu, jak działa i do czego można ją wykorzystać w myśleniu.

Pustkę można wywołać, można jej szukać, można ją w sobie pielęgnować, można też zostać na nią skazanym. Opowieści religijne, literatura i filozofia wracają do niej z różnych powodów, pytając o Boga, sens życia, więź z innymi. Za każdym razem czego innego brakuje, ale też co innego jest jeszcze możliwe.

Wybrane tu przykłady dzieli prawie wszystko: epoka, gatunek, stosunek do wiary. Powieść Gombrowicza, średniowieczna legenda, eseje Ciorana i amerykański serial odpowiadają jednak kolejno tym czterem doświadczeniom i razem układają się w niewielki, niepełny katalog sposobów używania pustki w myśleniu i opowiadaniu o świecie. Ta odległość jest zaletą: skoro w tak różnych światach pustka działa podobnie, chodzi o coś więcej niż literacki motyw. Za jej sprawą znajomy porządek traci oczywistość: można przyjrzeć się temu, co utrzymywało go w całości, i zapytać, czy mógłby wyglądać inaczej. Czasem otwiera się w ten sposób możliwość innego życia. Trudność polega na tym, że stan umożliwiający taką zmianę sam bywa nie do wytrzymania.

Pusty kościół

Fryderyk z wydanej w 1960 r. „Pornografii" Gombrowicza jest demiurgiem pustki: pożąda jej, bo wie, jakie możliwości otwiera. W ziemiańskim dworze, gdzie mimo wojny dawne formy trwają siłą rozpędu, uderza w symboliczną strukturę wspólnoty. Nie potrzebuje bluźnierstwa ani świętokradztwa. Wystarczy zwykła msza w prowincjonalnym kościele: klęczy jak wszyscy, a jego modlitwa odsłania „bezmiary jego niemodlitwy". Nabożeństwo przebiega bez zakłóceń, lecz uchodzi z niego treść.

Fryderyk wywołuje w ten sposób rewolucję ontologiczną. Usuwa Boga jako zasadę, która utrzymywała ludzi i rzeczy na właściwych miejscach. Nic nie zostaje fizycznie zniszczone, a jednak wszystko zmienia się radykalnie. Twarze, gesty i świece narzucają się mocniej niż przedtem, bo nic już nie osłania ich obecności. „Straszne wzmożenie konkretności" towarzyszy utracie tego, co pozwalało konkretność znosić. Nie wiadomo już, dlaczego rzeczy mają taki kształt ani co je łączy. Pozbawiona sensu rzeczywistość rozpada się na pojedyncze rzeczy, a ich obecność staje się nieznośna.

U Gombrowicza człowieka ubiera forma, a kiedy przestaje działać, wierni w odświętnych strojach stoją w kościele nadzy. Ta nagość nie przynosi jednak powrotu do natury. Twarze stają się „karykaturami, którym odebrano model": nie wiadomo już, czego są zniekształceniem. Wszystko wydaje się jednocześnie nagie i sztuczne. Bez osłony konwenansów ciało zostaje wystawione na widok – pornograficzne staje się samo istnienie.

Pustka odbiera też schronienie. Mury kościoła stoją, ale nie wydzielają już osobnego, ludzkiego obszaru. Świece płoną gdzieś w kosmicznej próżni, obojętnej na ludzkie czynności. To „rzeczywistość *in crudo*", podana na surowo, bez zbawienia i bez miary dostosowanej do ludzkich potrzeb.

Skoro nic już nie obowiązuje, nic też nie jest zakazane, a taka dowolność przeraża. Powieściowy Witold jest dumny ze swojej niezależności, ale zaraz czuje się we własnych rękach jak w rękach potwora: może zrobić z sobą wszystko. „Oschłość dumy. Mróz ostateczności. Surowość i pustka. Więc cóż?". Dawne zależności przestały obowiązywać, nowych jeszcze nie ma, a w takim zawieszeniu nie da się trwać. Coś musi znów skupić uwagę, związać pragnienia, umożliwić działanie. Potrzeba nowego porządku odzywa się z siłą niemal fizycznego przymusu.

Wystarcza kawałek policzka i karku chłopca, żeby świat znów miał środek. „Bóg i cud!" – myśli Witold; wraca też słowo „łaska". Słowa z modlitewnika nazywają teraz inną siłę – przyciąganie młodego ciała. Fryderyk wykorzystuje tę możliwość, żeby ustanowić nowe zależności: młodość staje się źródłem boskości, wspólny grzech formą wtajemniczenia, zbrodnia sposobem wiązania ludzi. Powstaje porządek radykalnie ateistyczny, który wytwarza własne *sacrum*. Fryderyk jest jego prorokiem, Witold – mimowolnym kronikarzem, mrocznym ewangelistą. Pustka ustępuje pod naporem nowego porządku, któremu dała początek.

To pustka wywołana: nie ubywa w niej rzeczy, tylko wiążącego je sensu. Kto potrafi ją wywołać, wie, że ludzie przyjmą każdy nowy ład, byle się z niej wydostać – i zyskuje władzę nad tym, czym świat zostanie na nowo wypełniony.

Pustynia na oceanie

Można jednak ogołacać świat po to, żeby się takiej władzy wyrzec i zostać z Bogiem sam na sam. Na zachodnim krańcu Europy irlandzcy mnisi szukali pustyni na oceanie. Z tej tradycji wyrasta średniowieczna „Żegluga świętego Brendana", przenosząca doświadczenie ojców pustyni na morze.

Pustynia jest pusta, ale stoi w miejscu: można w niej postawić celę, wydeptać ścieżkę, zostać na lata. Morze nie pozwala osiąść, nie zachowuje śladów, samo niesie albo odpycha. W biblijnej wyobraźni jest też pozostałością wód, nad którymi przed stworzeniem świata unosił się Duch Boży. Kto wypływa na ocean, cofa się więc tam, gdzie świat jeszcze się nie zaczął, i czeka na boskie tchnienie. Przez trzy miesiące podróży Brendan i jego towarzysze widzą jedynie niebo i morze. Znika wszystko, co na lądzie rozbudzało pragnienia i podsuwało ziemskie cele.

eprasa.pl 1cc070d3f1



GUYANE, 2022 © ANTOINE D'AGATA, COURTESY OF MAGNUM PHOTOS

Antoine d'Agata, wystawa „Theorema". Wernisaż odbędzie się 20 listopada w Pałacu Schoena (Muzeum w Sosnowcu) o godz. 18.00. Wystawa potrwa do 24 stycznia 2027 roku.

Im mniej dzieli człowieka od Boga, tym wyraźniej słychać jego głos.

Kiedy żeglarze opadają z sił, Brendan każe schować wiosła i ster, zostawiając tylko rozwinięty żagiel: skoro Bóg jest ich pomocnikiem, żeglarzem i sternikiem, niech zrobi ze sługami i łodzią, co zechce. Pustka sięga tu samego sprawstwa. Pozostaje im tylko czekać na wiatr, który wieje, gdzie chce.

Między człowiekiem a Bogiem nie zostaje wtedy nic. Taka bliskość okazuje się jednak równie nieludzka jak pustka wywołana przez Fryderyka. Kto usunął wszystko, co odwracało go od Boga, pozbawił się też możliwości odwrócenia wzroku. Rzeczy, które rozpraszały, chroniły zarazem przed nadmiarem, bo pozwalały na chwilę zająć się czymś mniejszym. Bez nich obecność wypełniająca pustkę jest zbyt wielka, żeby pomieścić ją w zwyczajnym życiu. Ciało potrzebuje snu, jedzenia i schronienia.

Dlatego tak ważne są wyspy. Pozwalają wyjść na brzeg, napić się wody, odpocząć, a przede wszystkim dzielą bezmiar na odcinki. Przez siedem lat mnisi wracają w te same miejsca na te same święta, a podróż układa się w rok liturgiczny; na Wyspie Ptaków nawet cudowny śpiew rozlega się według godzin modlitwy. Obecność, która na otwartym morzu przytłaczała, zostaje rozłożona w czasie i przybiera postać głosu, pokarmu, wspólnoty i święta, czyli czegoś, z czym człowiek potrafi się obchodzić. Wyspa jest więc kompromisem. Zachowuje oddalenie od zwykłego świata, a zarazem daje miejsce do życia. Pustka nie znika, tylko przesuwa się na zewnątrz i jako otaczający bezmiar chroni osobność wyspy.

Jednak nawet wyspa potrafi być zdradliwa. Na jednej z nich mnisi zatrzymują się, żeby spędzić Wielkanoc. Kiedy rozpalają ogień, ziemia zaczyna się pod nimi poruszać i w popłochu uciekają do łodzi. Okazuje się, że stali na grzbiecie ogromnego morskiego zwierzęcia. Grunt, który miał chronić przed morzem, sam do niego należy: otchłań leży nie tylko dookoła wyspy, ale także pod nią. Mimo to mnisi wracają tu co roku, żeby właśnie tam świętować zmartwychwstanie. Oparciem staje się dla nich obrzęd – wracanie w to samo miejsce o tej samej porze.

Historia Brendana to opowieść o pustce, której się poszukuje, żeby spotkać Boga. Wyspy pozwalają znosić jego bliskość, a obrzęd daje oparcie nawet na grzbiecie wieloryba.

Niedzielne popołudnie

Cioran odwraca ten obraz. Mnisi chronili się przed bezmiarem na wyspach, on chciałby, żeby bezmiar je pochłonął. W „Zarysie rozkładu" szuka „oceanów sceptycyzmu", w których tonęłyby „wyspy i aksjomaty", czyli wszystko, co daje człowiekowi pewność: przekonania, poczucie doniosłości własnych spraw, przymus osiągnięcia czegoś. Otwierająca książkę genealogia fanatyzmu pokazuje, jak myśl staje się dogmatem usprawiedliwiającym przemoc. Pustka ma uwolnić od władzy idei: kto w nic nie wierzy, nie będzie w imię niczego zabijał.

Sceptycyzm to jednak metoda: można go wybrać i zawiesić. Nuda sięga dalej: odbiera samą zdolność zainteresowania się czymkolwiek. U Gombrowicza rzeczy narzucały się człowiekowi z nieznośną siłą, tutaj tracą moc przyciągania. Świat nadal oferuje rozmaite możliwości, ale żadna nie daje powodu do działania.

Najdotkliwiej nuda zmienia odczuwanie czasu. Cioran wyobraża sobie wszechświat zamieniony w niedzielne ↦

eprasa.pl 1cc070d3f1

popołudnie: niczego nie trzeba robić, na nic się nie czeka. Mnichom Brendana święta porządkowały czas; tutaj niedziela trwa bez końca. Każdą chwilę trzeba odczuć, choć żadna nie zapowiada odmiany. Pustka oznacza więc nadmiar: czasu jest za dużo, a zajęć i pragnień, które pozwalały o nim zapomnieć, już nie ma.

Nuda nie ma też przedmiotu. Nawet ból skupia uwagę, każe szukać ulgi. Nuda nie wskazuje niczego, co można by usunąć albo odzyskać. Cioran nazywa ten stan „pustką serca przed pustką czasu". Dwie pustki stają naprzeciw siebie: czas niczego nie obiecuje, a w sercu nie ma pragnienia, z którym można by się ku niemu zwrócić.

Widać wtedy, jak wiele znaczenia nadawały rzeczom ludzkie przywiązania. To dzięki nim pewne zdarzenia wydawały się rozstrzygające, idee warte poświęceń, a własne życie szczególnie ważne. Gdy wygasają, nuda spełnia program sceptyka: żadna idea nie jest już warta poświęceń. Tyle że wartość traci też wszystko inne. Nie wiadomo więc, czy pustka odsłania znikomość świata, czy pokazuje, jak wygląda on dla kogoś, kogo nic już nie obchodzi.

Szczęśliwą odmianą bezczynności jest lenistwo, nazwane „fizjologicznym sceptycyzmem". Pozwala odstąpić od zajęć, zachowując przyjemność patrzenia na świat. Ciało odmawia wysiłku, którego konieczność umysł potrafiłby jeszcze długo uzasadniać. Ten „cudowny relikt raju" daje rozkosz istnienia bez celu. Nuda może jednak odebrać i tę rozkosz.

Pustka dosięga wreszcie samego „ja". „Niegdyś miałem »ja«; teraz jestem jedynie przedmiotem" – pisze Cioran. Odrzucenie przywiązań nie odsłania pod nimi niezależnego „ja". Razem z nimi znikają powody, żeby korzystać z odzyskanej wolności. Nawet pragnienie wyzwolenia okazuje się kolejnym przywiązaniem.

Tę sprzeczność ujawnia samo pisanie. W „Pracowitej żałobie" Cioran zauważa, że „nawet ta żałoba jest działaniem". Podważanie sensu wszelkich zajęć samo zajmuje czas i staje się kolejną pracą.

„Niegdyś miałem »ja«; teraz jestem jedynie przedmiotem" – pisze Cioran. Odrzucenie przywiązań nie odsłania pod nimi niezależnego „ja". Razem z nimi znikają powody, żeby korzystać z odzyskanej wolności.

Tak wygląda pustka pielęgnowana. Z oceanu, który miał zatopić wszystkie wyspy, ocalała tylko jedna – pisanie.

Kontur nieobecności

W nudzie opisywanej przez Ciorana świat pozostaje na miejscu, ale przestaje człowieka obchodzić. Może być jednak odwrotnie: przywiązanie trwa, a znika człowiek, do którego było skierowane. Taką pustkę przynosi śmierć bliskiej osoby.

Ten rodzaj pustki pozwalają dokładniej zobaczyć „Pozostawieni", serial Damona Lindelofa i Toma Perrotty. W jednej chwili bez śladu znika dwa procent ludzkości. Nie wiadomo nawet, czy umarli. Pozostałym nie dano ani pożegnania, ani możliwości uznania straty za ostateczną. Myląca jest nawet nazwa zdarzenia: „odejście" sugeruje drogę, kierunek, jakiś ciąg dalszy. Tu jest tylko zerwanie.

Skala katastrofy pozwala zobaczyć, że strata narusza wspólne przekonania i obrzędy, które pomagają rozumieć śmierć i przeżywać żałobę. Niewyjaśnione zniknięcie wyostrza problem znany poza fikcją: można znać przyczynę czyjejś śmierci i nadal (albo – tym bardziej) nie znajdować w niej sensu.

Nora, jedna z bohaterek, traci męża i dwoje dzieci. Wciąż kupuje jedzenie dla całej rodziny, wyrzuca nieotwarte opakowania i zastępuje je nowymi. Czynności przetrwały ludzi, dla których je wykonywała. Miłość i troska trwają, ale dawne więzi działają już tylko w jedną stronę. Pustka jest tak dotkliwa właśnie dlatego, że tyle z tego życia pozostało.

Po katastrofie nie ma zgody, czy nadal czekać, czy uznać nieobecnych za zmarłych. Sekta rozstawiająca po domach podobizny zaginionych próbuje narzucić własną odpowiedź. Figury przy stołach odtwarzają widok rodziny, a zarazem dotkliwie przypominają o jej nieobecności. Sekta nie wywołała pustki, ale decyduje, kiedy i w jaki sposób inni mają jej doświadczać. Zarządzanie pustką staje się narzędziem władzy nad żywymi.

Religijne i świeckie opowieści o katastrofie mogą tworzyć wspólnoty i ustanawiać rytuały. Nie tłumaczą jednak, dlaczego strata miałaby być sprawiedliwa, konieczna albo komukolwiek potrzebna. Chwieje się więc idea Boga jako gwaranta sensu – kogoś, kto zapewnia, że pozorna przypadkowość zdarzeń składa się ostatecznie w zrozumiałą całość. Powraca podejrzenie Ciorana: obietnica sensu może mówić więcej o potrzebie człowieka niż o świecie.

Nora i Kevin, policjant, którego rodzina także się rozpadła, przez pewien czas tworzą nową rodzinę. Katastrofa otworzyła możliwości, których wcześniej nie było. Ich wspólne życie jest jednak następstwem straty, a nie powodem, dla którego musiało do niej dojść.

Nora w finale serialu twierdzi, że dotarła do świata zaginionych i odnalazła bliskich, którzy ułożyli sobie życie bez niej. Serial nie potwierdza jej relacji. Nawet gdyby była prawdziwa, wyjaśniałaby tylko, dokąd trafili nieobecni. Nadal nie byłoby wiadomo, dlaczego rozdzielono właśnie tych ludzi ani czemu miałoby to służyć.

Tak wygląda pustka, na którą zostaje się skazanym: nikt jej nie wybrał i żadna opowieść jej nie usprawiedliwi.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

Autor jest dziennikarzem Radia Kraków.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 44/2026

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek K. Zalejski
SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Katarzyna Bułtowicz | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
OKŁADKA: Aleksandra Grunholz / Studio Chaotyczne

Województwo Śląskie
Ars Cameralis Silesiae Superioris
ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

eprasa.pl 1cc070d3f1

XXXV FESTIWAL ARS CAMERALIS
PUSTKA | 3–27 listopada 2026

3 listopada | godz. 19.00
Joan As Police Woman
20 Years of Real Life Tour

4 listopada | godz. 18.00
Joanna Ostrowska, Krzysztof Tomasik, Paulina Małochleb

4 listopada | godz. 19.00
W stronę ciszy
Orkiestra Il Suonar Parlante
Kierownictwo artystyczne: **Vittorio Ghielmi**

5 listopada | godz. 18.00
Daria Grzesiek, Agnieszka Taborska, Monika Glosowitz

6 listopada | godz. 18.00
Bird Haunts
Lena Achtelik

6 listopada | godz. 18.00
Fotografie
Kasimir Zgorecki

6 listopada | godz. 19.00
Dobrawa Czocher Trio

9 listopada | godz. 19.00
aja monet

10 listopada | godz. 20.30
Ambrose Akinmusire: Starshine & Clay

13 listopada | godz. 17.30
BAFTA 2026 Shorts
A British Council Touring Programme

13 listopada | godz. 19.00
K Á R Y Y N

14 listopada | godz. 11.00–14.00
Serfenta – warsztaty wyplatania z wikliny

15 listopada | godz. 19.00
Hüma Utku

16 listopada | godz. 17.30
BAFTA 2026 Shorts
A British Council Touring Programme

17 listopada | godz. 18.00
Grzegorz Jankowicz, Justyna Sobolewska, Paulina Małochleb

18 listopada | godz. 20.30
Ciśnienie

19 listopada | godz. 18.00
Aldona Kopkiewicz, Izabela Tadra, Michał Sowiński

20 listopada | godz. 18.00
Theorema
Antoine d'Agata

21 listopada | godz. 11.00–15.00
Narysuj to źle!
Maciek Łazowski

22 listopada | godz. 19.00
Anna von Hausswolff

23 listopada | godz. 17.30
Podwójne ubezpieczenie (1944)

24 listopada | godz. 18.00
Agnieszka Jelonek, Tomasz Szerszeń, Krzysztof Muszyński

25 listopada | godz. 17.30
Harvey (1950)

26 listopada | godz. 17.30
W samo południe (1952)

26 listopada | godz. 18.00
Wiązanka
Miłosz Wnukowski

27 listopada | godz. 19.00
Miłosz Pieczonka Trio Asleep



Szczegóły wydarzeń: arscameralisfestiwal.pl

Organizator: Województwo Śląskie; Ars Cameralis Silesiae Superioris; Ars Cameralis Art Instytucja Kultury Samorządu Województwa Śląskiego

Partner: Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego; Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Patronat medialny: Tygodnik Powszechny; Katowice; Hotel Monopol; Radio Katowice; Gazeta.pl; Radio 357

Bilety: ticketmaster

PAWEŁ

Bravo:

Trufle a sprawa serbska



PLENUM – CHYBA DZIĘKI SERBSKIM studentom uda mi się odzyskać to piękne słowo, którego dźwięk przecież winien budzić przyjemne skojarzenia z pełnią i plennym łanem zboża. W tle szemrze zdrowaśkowym szeptem *gratia plena*, łaskiś pełna, trudno przejść obojętnie obok językowej urody tej modlitwy. Jako dziecko peerelu niestety mam „plenum" na sztywno złączone z KC, albowiem oprzyrządowanie symboliczne partii rzekomego postępu było poczciwie staroświeckie, na wysoki inteligencki połysk i nie bano się łaciny, obowiązkowej w czasach panów, których starcze brody łopotały na czerwonych sztandarach.

Studenci w Serbii, jak czytam – zaliczając przyspieszoną aktualizację wiedzy o tym przeważnie lekceważonym kraju – wyłaniali kandydatów do listy, która wygrała właśnie wybory, urządzając na każdej uczelni nieustanny wiec zwany plenum i debatując aż do uzyskania konsensusu, przy czym każde z ogniw tego festiwalu demokracji bezpośredniej mogło zgłosić zastrzeżenia do nazwisk zgłaszanych przez bratnie jednostki. Dajmy sobie prawo do małego kredytu zaufania, że coś z tego wyjdzie, coś spójnego, mam na myśli, dającego jakieś widoki na stabilną władzę, która zadba o zwykłe sprawy kraju, bo tylko jako taki dobrobyt może spłukać z ludzi tożsamościowy, przysłowiowy bałkański amok.

Ot, na przykład taka historyjka, akurat na ten tydzień – cmentarna. Parę tygodni temu do Sofii sprowadzono z Grecji w eskorcie myśliwców i pochowano z najwyższą pompą odnalezione szczątki cara Samuela, władającego państwem Bułgarów mniej więcej wtedy, kiedy nasz Bolesław Chrobry. Wieńce złożone, hymn odtrąbiony, koniec historii? O nie, bo zaraz wzburzyła się sąsiednia Macedonia (która, jak pamiętamy, żeby nie wkurzać Greków musi dodawać sobie do nazwy „północna"), albowiem punkt ciężkości państwa owego potężnego cara znajdował się na jej obecnych ziemiach, a stolica w Ochrydzie – mieście jak najbardziej macedońskim.

Czyj jest więc Samuel? Nawet po tysiącu lat nie zazna biedak spokoju, a chyba by mu się wreszcie należało, nikt by nie chciał skończyć tak jak on. Umarł otóż na atak serca, po tym jak ujrzał swoją pokonaną armię – parenaście tysięcy chłopa, których zwycięski cesarz Bizancjum zwany nie bez przyczyny Bułgarobójcą kazał co do jednego oślepić, zostawiając tylko co setnemu jedno oko, by mógł prowadzić resztę przez wertepy. I tak to się toczy, stulecia i epoki skracają się w jedną upiorną perspektywę wiecznego żalu. Można naprawdę docenić błogi spokój w naszych północnych stronach. Czesi nie każą nam przepraszać za Chrobrego, w sumie drobnostka, oślepił tylko jednego ich króla i długo w Pradze nie porządził. Nawet nieco bliższa czasowo rozróba w Zaolziu nie psuje zanadto pożytków z wzajemnego handlu.



TALEA CREATIVA / MATERIAŁY PRASOWE

Właśnie, handel. Dobrze by zrobiło wszystkim, gdyby odmłodzony Belgrad podjął na serio kroki ku stowarzyszeniu z Unią. Od razu by się poprawiło na rynku trufli, na które właśnie przypada szczyt sezonu. Kto wie, może nawet ten i ów spośród naszych stałych tu biesiadników udał się do Alby w Piemoncie na najważniejszy truflowy festiwal. Mało mnie to kręci, ale nikomu nie zabronię wydać pięćset euro za dziesięć deko pachnącej grzybni, z której cieniutki wiórek zdoła naznaczyć smakiem całą michę makaronu. Wiedzcie jednak, że dwie trzecie tego, co znajdziecie jako „oryginalne z Piemontu", jest sprowadzane skądinąd, bo nawet trzech Piemontów z jego dolinami by nie wystarczyło, żeby zaspokoić rosnący popyt i apetyty coraz liczniejszych przybyszów, choćby czujne psy mogły zwęszyć truflę pod każdym krzakiem i znakiem drogowym.

Sędziowie festiwalu zapewniają, że każdy okaz jest surowo oceniany pod kątem jakości. Nie mówią jednak, że są w stanie rozpoznać, skąd pochodzi grzyb. A często pochodzi właśnie z Serbii, która słynie z obfitości dobrych trufli i ma lepszy do tego klimat niż północne Włochy. Mowa o białych, najcenniejszych, te pośledniejsze czarne są w ogromnej ilości sprowadzane z Turcji i Iranu, a nad wszystkim wisi cień Chin, bo już przyzwyczailiśmy się, że nie ma praktycznie rzeczy, której by się nie dało tam podrobić. Ale pozostańmy na razie przy białych – idą z Serbii przeważnie drogą przemytu, bo tak łatwiej, żeby omijać unijne cła i limity oraz nie psuć iluzji zbyt lekkiej, by dało się dokładnie zważyć jej wartość.

eprasa.pl 1cc070d3f1



Międzynarodowe Targi Białej Trufli. Alba, październik 2026 r.

Trufle nie są objęte unijnym systemem pieczątek „ochronnych", dlatego tym bardziej wszystko opiera się na zaufaniu i niedomówieniach, na umiejętności opowiadania bajek tak, żeby nie przesadzić z ilością jednorożców na metr kwadratowy brokatowej łączki. Ale nawet urzędowe „chronione nazwy pochodzenia" i „oznaczenia geograficzne" w sumie dają niewiele, jeśli się wczytać w zawiłe ich specyfikacje. Szynka parmeńska? Musi być sezonowana w szeroko pojętym regionie Parmy, ale surowiec można ściągać z drugiego końca kraju. Speck z Górnej Adygi ma jeszcze większy luz, świnki mogą jechać nawet z Polski (i tak często bywa), a dokumenty raczej określają to, co naprawdę ważne dla nas, szukających określonego smaku. Na przykład maksymalną temperaturę wędzenia, minimalny czas i warunki dojrzewania. W ostateczności przecież smak jest najważniejszym arbitrem, a zdrowie nas, zjadaczy, nadrzędnym kryterium. Nadzieja zaś kluczowym składnikiem decyzji. Nadzieja na przykład, że producent z pieczątką zarabia o tyle więcej, że stać go na uczciwość w produkcji. A może to już nie jest nadzieja, tylko zimna kalkulacja? Mam nadzieję, że nie zabraknie tej zdolności serbskim studentom.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Mostarda vicentina

Przepisów z truflami nie będę wam podawać, cokolwiek z nimi się zrobi, i tak wyjdzie „truflowe". Jedyne, czego należy pilnować, to dobrej jakości bardzo ostra tarka (albo świeża żyletka starego typu). Dobre masło i świeży jajeczny makaron. Jajecznica. Sery? Niekoniecznie, bo dobry ser nie zasługuje, żeby go tłumić. Zajmiemy się za to innym produktem sezonowym – pigwą, która teraz jest dostępna, zarówno polska, jak i z południa, najczęściej Turcji. Mam na myśli pigwę tę o wielkości jabłka, nie drobnego pigwowca, który jest z racji małych rozmiarów obłędnie pracochłonny. Pigwa stanowi podstawę jednego z najbardziej charakterystycznych dodatków do sera z północy Włoch – produktu, który zwie się mostarda, bo pierwotnie zawierał wygotowany moszcz (mosto). Związek z naszą „musztardą" zaraz okaże się oczywisty, choć ona nie zawiera ani grama moszczu. W wielu regionach mostarda to drobno pokrojone kandyzowane owoce w ostrej zalewie, ale w okolicach Vicenzy robią ją inaczej, w wersji, która jest najłatwiejsza w użyciu. Uwaga techniczna: przepis właściwy przewiduje użycie oleju z gorczycy – ale jest to w Polsce rzadki produkt, trudno dostępny (i niebezpieczny, trzeba ostrożnie się obchodzić). Dlatego możemy go zastąpić utartą w moździerzu białą gorczycą.

SKŁADNIKI:

0,5 kg pigwy 0,5 kg renet 0,5 kg gruszek (łatwo rozpadających się) 0,5-0,7 kg cukru 250 ml białego słodkiego wina (opcjonalnie) ▪ ząbek czosnku ▪ sól ▪ olej z gorczycy lub ziarna gorczycy

Obieramy i kroimy na drobne kawałki pigwę, wkładamy do garnka, wlewamy do ok. połowy jej wysokości wodę pół na pół ze słodkim winem (albo samą wodę nieco osłodzoną), gotujemy na wolnym ogniu pod przykryciem godzinę albo dłużej, aż będzie zupełnie miękka. Przecieramy przez sito albo miksujemy blenderem. W osobnym garnku dusimy aż do całkowitego rozpadu jabłka, w trzecim zaś drobniutko pokrojone gruszki, które też na koniec zblendujemy. Każdy z trzech musów ważymy i dajemy mniej więcej równe ilości do dużego garnka (choć ja często daję mniej gruszki). Wsypujemy cukier w ilości około połowy wagi trzech musów (albo nieco więcej, niektóre przepisy podają proporcje 1:1, ale moim zdaniem to za słodkie). Podgrzewamy na bardzo wolnym ogniu, żeby jeszcze trochę zagęścić – przy czym uważajmy, bo pigwa ma sporo pektyny i szybko gęstnieje. W trakcie podgrzania dodajemy tyle soli, żeby zrównoważyć słodki smak. Po ok. godzinie gotowania wciskamy przeprasowany ząbek czosnku, mieszamy. Trochę studzimy i ostrożnie (uwaga na oczy!) wkraplamy olej z gorczycy, stale mieszając i próbując, czy już jest ostre – na ok. 1 kg owocowego musu zwykle wystarcza ok. 20 kropel. Jeśli nie mamy oleju, wsypujemy ok. płaskiej łyżki utartych w moździerzu ziarenek gorczycy, musimy działać na wyczucie. Przy tym pamiętajmy, że ten ostry aromat z czasem słabnie, więc możemy troszkę przesadzić z ostrością. ©℗



PRINTEMPS / ADOBE STOCK

eprasa.pl 1cc070d3f1

DNI ZADUSZNE



NIEŚMIERTELNA CHMURKA

Wszyscy wiemy, czym jest dusza: to taka świetlista chmurka,
która wisi mi gdzieś w klatce piersiowej,
a po śmierci ulatuje do nieba.
To może dałoby się ją złapać do słoika i zbadać jej skład chemiczny?

ŁUKASZ LAMŻA

eprasa.pl 1cc070d3f1

Przejdźmy się może z mikrofonem po świecie i zadajmy wszystkim napotkanym ludziom kilka prostych pytań o człowieka. Czym właściwie jest człowiek? Co sprawia, że żyje, czuje i myśli? Czy jest tylko porcją mięsa, które w pewnym momencie zacznie się psuć, czy może czymś troszkę więcej?

Jeżeli wierzyć instytutom badawczym, to mniej więcej 2/3 mieszkańców tej planety odpowie, że człowiek jest istotą wieloskładnikową, która oprócz materialnego ciała posiada również trwalszy od ciała aspekt niematerialny – duszę. Nawiasem mówiąc, 64 proc. to średnia światowa oraz, czystym przypadkiem, również wynik dla Polski: taki procent naszego społeczeństwa odpowiada „tak" na pytanie, czy człowiek posiada duszę, która przetrwa śmierć jego ciała. Zanim zastanowimy się bliżej nad tym, czym owa dusza jest, po co ona właściwie jest i czy cokolwiek z niej zostało w naukowym obrazie świata, poprośmy może naszych respondentów o nieco dłuższą wypowiedź niż dla ankieterów Pew Research.

Moja druga dusza

Pierwsze zaskoczenie: standardem na świecie jest raczej wiara w dwie dusze niż jedną – co może trochę zaskakiwać nas, Polaków, wychowanych w kulturze judeochrześcijańskiej. Zacznijmy od poziomu językowego. Gdy popytamy trochę staranniej przedstawicieli różnych kultur, żywych i wymarłych, o niematerialny komponent człowieka, z ich ust nie padnie raczej słowiańskie słowo „dusza", lecz rozliczne terminy greckie (*psyche, pneuma*), łacińskie (*anima, spiritus*), arabskie (*rūh, nafs)*, sanskryckie (*jīva, atman*), chińskie (*hun, po*), akańskie (*okra, sunsum*) czy keczuańskie (*kamaqnin, upani*).

Pytanie za sto punktów nie brzmi więc, „czym jest dusza", a raczej co konkretnie znaczą te słowa i na ile zgadzają się z sensem słowiańskiego słowa „dusza". Jedyną bodaj cechą wspólną tych wszystkich koncepcji jest wiara w istnienie w człowieku „czegoś więcej" niż materialne ciało. Są najróżniejsze sposoby na rozegranie tej intuicji, ale najbardziej typowy jest system dwuskładnikowy, którego składniki w powstającej właśnie książce „Metafizyka" – mojej skromnej próbie uporządkowania całej rzeczywistości – postanowiłem określić prosto jako „pierwsza dusza" i „druga dusza".

„Pierwsza dusza" (chińskie *po*, grecka *psyche*, łacińska *anima*) to z grubsza „niematerialna zasada życia": to coś, co sprawia, że jesteśmy żywą, ciepłą, ruchliwą, czującą ból i przyjemność istotą, a nie martwym kamieniem albo kupką błota. Zwykle uznaje się, że pierwszą duszę posiadają wszystkie zwierzęta – no może z wyjątkiem „robaków" – a co bardziej empatyczne kultury doszukują się jej istnienia również w roślinach. „Druga dusza" (chińskie *hun*, greckie *pneuma*, łaciński *spiritus*) to coś znacznie poważniejszego: już nie tyle zasada życia, co umysłu. Drugą duszę posiadają tylko istoty myślące, a odpowiada ona za wyższe funkcje człowieka, takie jak możliwość rozważania prawdy i fałszu, zdolność do czynu, odpowiedzialność moralna czy relacje z Bogiem.

Oczywista oczywistość

Drugie zaskoczenie: dusza wcale nie musi być trwalsza od ciała. Nieśmiertelność duszy to kolejne „oczywiste przekonanie", które wszczepiło nam wychowanie w bliskowschodnim kręgu kulturowym, a za sprawą którego fraza „nieśmiertelna dusza" wydaje się praktycznie pleonazmem. Oczywiście, że nieśmiertelna!

A figę. Zauważmy od razu, że śmiertelna jest w sposób oczywisty pierwsza dusza, ale nawet druga dusza mogłaby przecież rozwiać się, gdy tylko umrze jej nosiciel – bo czemu właściwie nie? Pięknym zapisem wątpliwości na ten temat jest dialog platoński „Fedon", w którym Sokrates zastanawia się w gronie przyjaciół, czy dusza „miałaby rozłączywszy się z ciałem rozwiewać się natychmiast i ginąć, jak mówi wielu spośród ludzi". Jest to rozmowa o tyle gorzka, że Sokrates prowadzi ją w ostatnim dniu swojego życia, a spokojną debatę przerywają lamenty jego towarzyszy (w czym przodował zwłaszcza Apollodoros, który w pewnym momencie „ryknął spazmem tak okropnym i taką skargą wybuchnął, że dreszcz poszedł po wszystkich obecnych, oprócz samego Sokratesa").

Doprecyzujmy więc może: w dalszej części interesować nas będzie wyłącznie dusza druga, a w dodatku w swojej wersji nieśmiertelnej. Czy człowiek XXI w., który miałby chętkę uzgodnić swój światopogląd z aktualnym stanem wiedzy naukowej na temat kosmosu, cząstek, pól, życia, ewolucji, mózgu i świadomości, może utrzymać wiarę w istnienie tak rozumianej duszy? I jak pogodzić ją z resztą nowoczesnego obrazu świata?

Duch w kanalikach

Wróćmy do przeglądu etnologiczno-religioznawczego. Jak świat długi i szeroki, proponowane są rozmaite naturalne opisy duszy. Jest to o tyle sensowne, że jeżeli uważam duszę za coś rzeczywiście istniejącego, logiczne jest, że powinna być jakoś podobna do innych rzeczy realnych, składając się łącznie na spójny, sensowny świat. Co więcej, chociaż dusza jest niematerialna, to jednak wydaje się uczestniczyć w świecie przyrody. Przykładowo, moja dusza jest raczej tutaj niż tam! Pociąg relacji Katowice–Kraków jest więc wypełniony nie tylko spoconymi ciałami, ale i setką dusz, które nie tylko grzecznie wędrują za swoimi ciałami, ale – jak można przypuszczać – przestrzegają granic swych domen. Nie sądzicie chyba, że dusza siedzącego obok faceta nieuważnie rozlewa się na wnętrze mojej nogi! Fuj. Tego typu rozważania szybko prowadzą do bardzo konkretnych rozstrzygnięć. Gdy poczyta się kulturowe opisy duszy, okazuje się, że w kółko odgrzewanych jest kilka tych samych metafor.

Absolutnym hitem na skalę światową jest powietrze. Słowa na duszę i powietrze/oddech bywają tożsame lub blisko ze sobą spokrewnione (hebrajski *nishmat*, łacińska *anima* i *spiritus*, arabski *nafs*, greckie *pneuma*, nawet i nasza swojska dusza, poprzez „dech"). Powietrza jednak zwykle nie widzimy, a ponadto ma ono zdolność przepajania, przepełniania i przelewania. Ba, życie zaczyna się na dobre z pierwszym oddechem i trwa aż do, no cóż, ostatniego tchu. Świetnie!

Drugim standardowym pomysłem jest płyn. W starożytnych Indiach popularny był model, w którym dusza jest swego rodzaju świetlistą cieczą wędrującą najdrobniejszymi kanalikami ciała ludzkiego, za dnia wpływając do mózgu, a nocą odpoczywając w osierdziu. Jeszcze Kartezjusz (XVII w.) fantazjował, że choć dusza (*l'âme*) jest teoretycznie niematerialna i nieprzestrzenna, to pozostaje scalona z ciałem, a w szczególny sposób z rozpuszczonymi w ciele „tchnieniami życiowymi" (*les esprits animaux*). Najważniejszym punktem styku „rzeczy ↦

KATEEJ / ADOBE STOCK

eprasa.pl 1cc070d3f1

↦ myślącej" z warstwą materialną człowieka jest zaś „pewien niewielki gruczoł" zawieszony w środku mózgu – dziś nazywamy go szyszynką.

Ile waży dusza

Model „gazu duchowego" albo „płynu dusz" jest szalenie kuszący. Jeżeli uważamy, że dusza jest naprawdę częścią świata – w dodatku sprzęgnięta z czymś tak oczywiście materialnym jak ciało – to nie ma żadnego dobrego powodu, aby pozostawała całkowicie odmienna od obiektów naturalnych i całkowicie ukryta. A może jest po prostu tylko... subtelna? Nic więc dziwnego, że przyrodoznawcy długo podejmowali próby zaobserwowania, zmierzenia, zważenia, a później również sfotografowania i sfilmowania duszy.

Najsłynniejsze były badania amerykańskiego lekarza Duncana MacDougalla nad masą duszy, opublikowane w 1907 r. MacDougall postanowił precyzyjnie zmierzyć masę ciała umierających osób – i psów – aby sprawdzić, czy w momencie śmierci masa ta spada. Udało mu się zorganizować ten eksperyment z udziałem sześciu umierających osób, a w jednym z tych przypadków masa ciała spadła w momencie śmierci o „trzy czwarte uncji". Później przeszło to do popkultury jako teza, że dusza waży 21 gramów. Metodologia badań MacDougalla była jednak kiepska, a jego wiarygodności nie podnosi opis 15 doświadczeń z umierającymi psami, ponieważ autor niezbyt wyraźnie wyjaśnił, jaka była właściwie przyczyna ich śmierci, pozostawiając to domysłom czytelników.

Zatrzymajmy się jednak nad metafizycznym tłem tego typu eksperymentów. A jest nim przekonanie, że dusza stanowi substancję przyrodniczą w takim samym sensie, w jakim jest nią kisiel, granit czy powietrze, może tylko nieco bardziej subtelną. Jest to solidna, dobrze sformułowana hipoteza. Której wszystkie wyobrażalne wersje zostały już obalone.

Wyjdź na pole

W XIX i XX w. poszukiwacze naturalistycznej metafory dla duszy otrzymali niespodziewany prezent od fizyków. Fizyka bowiem, ta najtwardsza z dyscyplin przyrodniczych, zaczęła się wypełniać obiektami o naprawdę nieoczywistym charakterze. Ulubieńcem mistyków i parapsychologów szybko stało się pole.

Pole to naprawdę fascynujący twór – jedna z pierwszych rzeczy w fizyce nowożytnej, która jest raczej świetnym pomysłem niż zaobserwowanym obiektem. Powiedzmy to może wyraźnie: nikt nigdy nie zaobserwował żadnego pola fizycznego, od klasycznych pól elektrycznych, magnetycznych i grawitacyjnych, po ich zaawansowane współczesne odmiany, jakimi są pola kwantowe. Obserwowane są wyłącznie skutki ich działania: przesuwające się opiłki żelazne, stające dęba włosy, a także miliony precyzyjnych przewidywań eksperymentalnych, które wydają się mieć sens tylko wtedy, jeśli założymy, że poza tym, co naprawdę widzimy, kryje się uniwersum niewidzialnych pól.

To delikatny temat. Fizyka faktycznie już dawno pożegnała się z prostą zależnością „istnieje to, co zaobserwowaliśmy", ale istnieją rozmaite metody zabezpieczania się przed zalewem nieobserwowalnych obiektów. Fizycy zwykle powstrzymują się przed postulowaniem, że to-i-to istnieje, dopóki nie ma wielokrotnych, wielostronnych, ilościowych korzyści z poczynienia takiego założenia. Nieobserwowalne pola weszły na stałe do języka fizyki, ponieważ stanowią świetne wytłumaczenie tego, co faktycznie obserwujemy. Niestety, raz otwartych drzwi do nieobserwowalnych obiektów, które mają jednak moc wyjaśniania, nie da się już przymknąć.

MacDougall postanowił sprawdzić, czy w momencie śmierci masa ciała umierających osób spada. **Do popkultury przeszło to jako teza, że dusza waży 21 gramów.**

Czy można by zastosować ten sam sposób rozumowania do problemu duszy? Pole duchowe mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać świetnym pomysłem! Pole takie mogłoby wypełniać całą przestrzeń, a tylko w stosownym momencie – na przykład, dajmy na to, w czterdziestym dniu ciąży – zacząć zagęszczać się wokół powstającego właśnie nowego ciała ludzkiego.

Patrząc na to mechanicznie, można by bez trudu wymyślić jakiś sprytny sposób, w jaki aktywność mózgu ludzkiego generuje lub ściąga ku sobie pole duchowe, posługując się choćby analogicznym zjawiskiem po stronie elektromagnetyzmu, czyli teorią dynama samowzbudnego. Jeżeli tylko fantazja pociągnie nas dalej, możemy następnie powołać do istnienia dodatkowy wymiar geometryczny, do którego dostęp ma wyłącznie pole duchowe, będące więc jedynym 5-wymiarowym tworem pośród 4-wymiarowych pól fizyki. Po śmierci ciała pole duchowe wycofuje się do owego niematerialnego wymiaru... czy coś takiego.

Podobne teorie można bez trudu posklejać z literatury spirytystycznej II połowy XX w. Ba, przy odrobinie wprawy można by opakować tego typu scenariusz tak dużą dawką zaawansowanej i wiarygodnie brzmiącej matematyki, że mucha nie siada. Podręcznik fizyki duszy mógłby na pierwszy i nawet drugi rzut oka wyglądać jak poważny akademicki traktat, włącznie z groźnie wyglądającymi polami tensorowymi, lagranżjanami i wyrafinowanymi mechanizmami sprzęgnięcia pola duchowego z elektromagnetycznym.

Wszystko można

Jak zwykła jednak mawiać moja profesorka z liceum: wszystko można, tylko po co? Fizyk, przysłuchujący się tego typu scenariuszom – jeżeli tylko wytrzyma pierwszy dreszcz żenady i obrzydzenia – mógłby słusznie zapytać, po co właściwie tworzyć tego typu koncepcje? Jakie konkretnie fakty eksperymentalne chcemy wyjaśnić, powołując do istnienia takie potworki?

W ten sposób dochodzimy do kluczowego pytania: co pozostaje do wyjaśnienia? Uproszczę może długą debatę na ten temat i wypowiem się apodyktycznie. Nie znajdziemy żadnego zjawiska naturalnego (czyli dotyczącego ciał ludzkich, mózgów, neuronów i neuroprzekaźników), które domagałoby się tego typu rozszerzenia. Nie ma i nigdy nie będzie niczego w ludzkim zachowaniu – i w jakimkolwiek obserwowalnym naukowo aspekcie ludzkiej egzystencji – co domagałoby się hipotezy „duszy naturalistycznej": brakującego czynnika w równaniach,

eprasa.pl 1cc070d3f1

luki w wyjaśnieniach neuronaukowych, wielkiej fizycznej tajemnicy na skalę ciemnej materii. Nie liczmy na to.

Myślę jednak, że to bardzo dobrze. Dusza sprowadzana do uczesanego równaniami „pola duchowego” albo grecko-indyjskiego „płynu dusz”, delikatnie naciskającego na membrany ludzkich neuronów, to propozycja blada, biedna i filozoficznie nieinteresująca. Wróćmy na pole start. Po co jest dusza? We wstępie do tego tekstu wymieniłem cztery przykładowe jej funkcje: rozważanie prawdy i fałszu, zdolność do wolnego działania, odpowiedzialność moralna i relacje z Bogiem. Czy „dusza naturalistyczna” byłaby w stanie wypełniać którąkolwiek z tych funkcji?

Znów będę zmuszony do brutalnego przecięcia pewnej długaśnej i niemożliwie zawęźlonej dyskusji. Jakikolwiek naprawdę naturalistyczny model świata – nawet taki, który odwołuje się do mętnej metaforyki i poezji, żeby ukryć przed światem, jak bardzo w istocie jest płaski – nigdy nie da nam opisu prawdy, woli, moralności i Boga.

Nie w takim sensie, w jakim przeczuwamy w tych słowach coś więcej niż tylko słowa.

Naturalistyczna teoria świata – i duszy – w najlepszym razie jest nam w stanie wytłumaczyć tylko tyle, dlaczego pewna porcja materii ukształtowała się w ciała nagich małp i dlaczego aktywność elektryczna w czaszkach tych małp sprawia, że wydają dźwięki i stawiają kropelki tuszu na sposób, który można konwencjonalnie zapisać jako „prawda”, „dobro” czy „Bóg”, a w reakcji na fizyczne instancje tych słów wykonują rozmaite czynności, takie jak przekazywanie swoich zasobów innym osobnikom, rumienienie się albo padanie na kolana i robienie przy tym dziwnych oczu. Tyle.

W pakiecie

Jeżeli hipoteza duszy ma mieć sens, jeżeli ma mieć autentyczne zęby, to musi wystąpić w metafizycznym pakiecie z czymś więcej: światem Wartości, światem Prawdy, światem Boga. Nie ma sensu dusza, której całym sensem jest takie sterowanie tkanką mózgową, aby sprzęgnięta z nią małpa reagowała w określony sposób na słowa „odpowiedzialność”, „wolność” i „bóg” – przynajmniej dopóki słowom tym nie odpowiada żadna prawdziwa Odpowiedzialność, Wolność albo Bóg. Nie ma sensu dusza w rzeczywistości całkowicie ograniczonej tylko do świata fizycznego.

Jeżeli więc rzeczywiście 2/3 Polaków twierdzi, że „prawdopodobnie” albo „na pewno” istnieje nieśmiertelna dusza, to nie dajmy się zepchnąć do rogu, próbując na siłę wykroić sobie prawdopodobnie brzmiący model fizyczny stworzony tylko po to, żeby wytrzymać średniej intensywności atak sformułowany w oparciu o ekwiwalent pięciu lat studiów przyrodniczych. Więcej odwagi!

Jeżeli należymy do owych dwóch trzecich, to powiedzmy może szczerze – światu, ale przede wszystkim sobie – że dusza nie ma służyć do zwiększania stężeń neuroprzekaźników w tych momentach, kiedy naukowcy nie potrafią tego akurat wytłumaczyć, lecz ma stanowić pomost pomiędzy nami a Wyższymi Formami Rzeczywistości. I dalej: nie wierzymy, aby nawet bardzo złożone kupki atomów były w stanie nawiązać komunikację z Dobrem-jako-takim. Nie wierzymy, aby litr różowawej tkanki był odpowiednim sparingpartnerem dla Prawdy. Nie wierzymy, że ruchy wykonywane przez ciepły włochaty worek na cytoplazmę kwalifikują się jako Czyn wykonany z Wolną Wolą. Nie wierzymy w końcu, że z przyczyn czysto mechanicznych w kosmosie pojawiają się pola duchowe, jak pola magnetyczne w roztopionym żelazie, i że ich przeznaczenie po śmierci ciała da się opisać przy pomocy takich samych równań matematycznych, za pomocą których fizycy opisują losy wybuchających gwiazd.

Dopiero jeżeli zgodzimy się na to wszystko, będziemy w stanie rozmawiać naprawdę poważnie o duszy. Nie udało się uzyskać naukowego dowodu na jej istnienie? Świetnie! Dokładnie tego powinniśmy się spodziewać po Duszy, która stanowi pierwiastek boski w człowieku i wrota do Nieskończoności. Dusza, którą da się precyzyjnie opisać albo, co gorsza, zaobserwować, to tylko jej tani, plastikowy substytut.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 1cc070d3f1

TOMASZ

Stawiszyński:
Czarne jest czarne



Niezależnie od tego, jak bardzo wyrafinowane środki stylistyczne i pojęciowe zaangażuje się do obrony dewastowania, niszczenia, plądrowania, kradzieży i pobić, pozostaną one tym, czym są w istocie: ślepą przemocą, pustym wandalizmem. Niezależnie od tego, jakich się dokona intelektualnych ekwilibrystyk, żeby spalenie ratusza w Limoges wpisać w „społecznie wrażliwy" dyskurs taki lub siaki; uznać go za „zasadny przejaw" tej czy innej emocji, takiej czy innej potrzeby; za „dopuszczalny środek wyrazu" z uwagi na – odpowiednio: „wykluczenie", „historię zachodniego kolonializmu", „opresję patriarchatu" czy też „odzyskiwanie sprawstwa" – pozostanie ono tym, czym jest w istocie. Złą radością anihilacji, która pochłania nie tylko obiekty o określonej wartości materialnej, lecz przede wszystkim realny i symboliczny dorobek wcześniejszych i obecnych pokoleń. Dorobek, dziedzictwo, wobec którego rozwścieczony tłum żywi wyłącznie agresję i nienawiść, choć przecież jest to matryca, która umożliwia mu istnienie.

Podobnie czystą przemocą i wandalizmem jest plądrowanie i niszczenie drobnych sklepów i biznesów. Nieważne: w Paryżu, Marsylii czy gdziekolwiek indziej, przy okazji takich lub innych zamieszek, takich lub innych demonstracji, protestów czy wieców. Unicestwianie życiowych dorobków uczciwie pracujących ludzi i ich rodzin, bez względu na to, pod jakim się odbywa sztandarem, nigdy nie jest i nie będzie działalnością uzasadnioną lub pożyteczną. Niezależnie od tego, do jakich teoretyków antykapitalizmu, anarchizmu albo innego -izmu sięgniemy, niezależnie od tego, do jakich narzędzi pojęciowych rodem z któregokolwiek *studies* się odwołamy – nic to nie zmieni. Podobnie rzecz się ma, dajmy na to, z wtargnięciem rozwścieczonego tłumu na amerykański Kapitol w styczniu 2021 r. albo z socjopatycznym osobnikiem strzelającym w plecy dyrektorowi firmy ubezpieczeniowej. Witać te zdarzenia z najmniejszą nawet aprobatą, widzieć w nich zasadną formę „oporu" wobec tego albo owego – to wmawiać sobie i innym, że czarne jest białe.

Oczywiście, możliwość protestu to warunek konieczny demokracji i wolności. To znak sprawstwa, środek wywierania presji na władzę, która nie wypełnia swoich zadań. Oczywiście, protesty, żeby były skuteczne, muszą być wyraziste i dotkliwe, a ich forma powinna przekraczać stosowane na co dzień reguły i granice. Oczywiście, kiedy ludzie czują, że politycy ignorują ich potrzeby, zaniedbują ich dobrostan, skazują ich na funkcjonowanie w niepewności i lęku, powinni wówczas móc dać upust swojej beznadziei czy rozpaczy; zmusić władzę do zmiany lub pozbawić ją legitymacji.

Pomiędzy tym wszystkim jednak a ślepą przemocą i pustym wandalizmem istnieje gigantyczna, niemożliwa do zniwelowania inaczej jak tylko poprzez ideologiczne oszustwo różnica. Naturalnie, także i tutaj działa plemienna logika. Ludzie, którzy pięć lat temu potępiali tłum demolujący Kapitol oraz polityka, który do tego zachęcał, dziś piszą teksty pełne wyrozumiałości dla demolowania francuskich miast. Ludzie, którzy co roku dostrzegają widmo faszyzmu we flarach odpalanych na marszu niepodległości, w zamaskowanym tłumie ekstatycznie krzyczącym na tle podpalonego ratusza w Limoges dostrzegają słuszny gniew uciskanych. Ci zaś z kolei, którzy cieszyli się z obecności rogatego szamana na Kapitolu i wyśmiewali się z wieszczonego wówczas „końca Ameryki", teraz wznoszą apokaliptyczne okrzyki o „końcu Francji".

Francja oczywiście ani się nie skończyła, ani prędko nie skończy, choć zmaga się z potężnymi problemami. Francja – i Europa – się nie skończyła i prędko nie skończy dopóty, dopóki będą działać francuskie – i europejskie – instytucje, czyli warunki istnienia takich wartości jak bezpieczeństwo, ład społeczny, wolność, prawa człowieka i inne zdobycze cywilizacji. Iluzja, że się da i powinno je zmieść z powierzchni ziemi, a następnie postawić na tym miejscu jakiś nowy wspaniały świat, w którym zapanuje idealna harmonia i w którym nie będzie już żadnych hierarchii i problemów, wielokrotnie została w historii negatywnie zweryfikowana. Nie ma sposobów na stworzenie doskonałego świata, są tylko metody negocjowania i modyfikowania jego kształtu na lepszy, krok po kroku, zawracając, błądząc, a potem wracając na właściwą ścieżkę.

Do arsenału tych metod z pewnością nie należy jednak ślepa, pusta przemoc, która niweczy wszystko, co tylko napotka na swojej drodze, powodowana dojmującą nienawiścią do tego, co istnieje. Że zasadne i ważne społecznie protesty otworzyły śluzę, z której ta siła wychynęła na taką skalę; że państwo francuskie nie było w stanie ochronić się przed tym chaosem, ba, że w pewnym stopniu samo go wygenerowało – są to okoliczności głęboko niepokojące.

Podobnie jak plemienna logika, w myśl której nieprawomocna jest wyłącznie przemoc czyniona przez politycznych przeciwników, „nasza" natomiast bywa dopuszczalna, ponieważ służy „dobrej sprawie". Tymczasem ślepa destrukcja, chaos i przemoc nie służą niczemu poza sobą. I prędzej czy później obracają się zarówno przeciw tym, którzy się nimi posługują, jak i tym, którzy starają się je najrozmaitszymi sposobami legitymizować, sądząc mylnie, że działają one w ich interesie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 1cc070d3f1

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ALGORYTMY PRZYSZŁOŚCI

WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

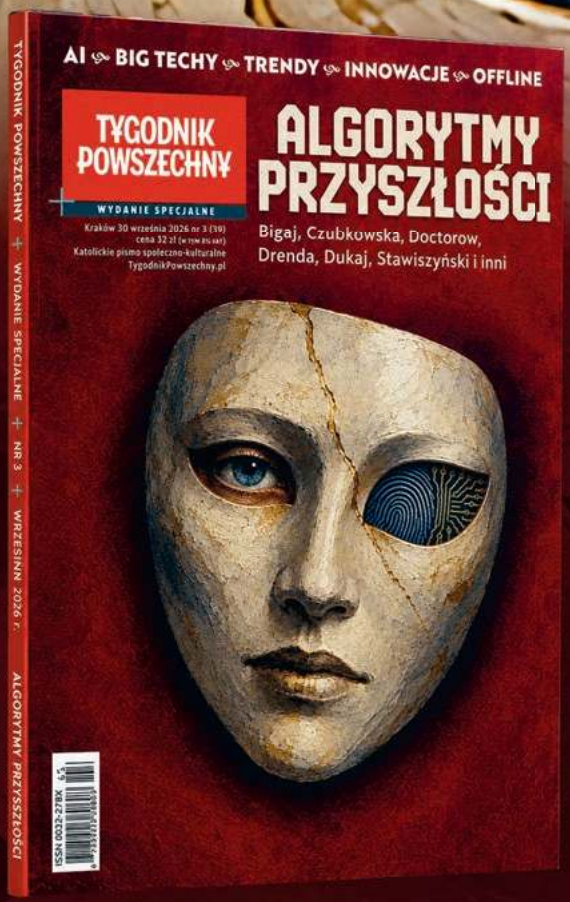

Sztuczna inteligencja już zmieniła nasze życie. Pytanie brzmi: na czyich warunkach?

Choć często się jej boimy, korzystamy z niej każdego dnia. W najnowszym wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego” pytamy, czy w starciu z technologią człowiek jest skazany na porażkę, czy przeciwnie – może nauczyć się czerpać z niej to, co najlepsze. Głos zabierają eksperci od funkcjonowania w cyfrowym świecie, m.in. Sylwia Czubkowska, Magdalena Bigaj, Tomasz Stawiszyński, Agata Kaźmierska i Wojciech Brzeziński.

Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” znajdziesz w kioskach, salonach prasowych i online!

ZAMÓW ONLINE

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 1cc070d3b

REKLAMA

SUBARU **CROSSTREK**
JUŻ OD 668,62 PLN
NETTO MIESIĘCZNIE*



*Propozycja najmu Erste Leasing S.A. skierowana do przedsiębiorców. Powyższą kalkulację przygotowano dla samochodu o wartości 117 073,17 PLN netto, dla umowy zawartej na 36 miesięcy, przy 37,14 % wpłacie własnej, roczny przebieg 15 000 km, miesięczny koszt ubezpieczenia 424,10 PLN, miesięczny koszt serwisu 168,69 PLN, czynsz najmu 668,62 PLN netto. Wartość opłat należy powiększyć o podatek VAT wg aktualnej stawki. Propozycja nie jest ofertą w rozumieniu Kodeksu cywilnego i może ulec zmianie. Decyzja o przyznaniu finansowania oraz warunki umowy zależą od wyniku badania zdolności kredytowej oraz oceny ryzyka kredytowego.

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

ERSTE Leasing

ENEOS MOTOR OIL

ERGO HESTIA

YOKOHAMA

eprasa.pl 1cc070d3f1